

Danuta Orłowska

Zielona jarzębina

Nasza Księgarnia 1970

*Pani Marii Ziółkowskiej,
której życzliwym radom i wskazówkom,
zawdzięczam napisanie tej książki -
Danuta Orłowska*

I

Walki wewnętrzne w Rzymie... Pierwsze powstanie niewolników. Przeciw nadmiernemu uciskowi niewolnicy nieraz się buntowali, choć karą za to była przeważnie śmierć na krzyżu...

Magda z niesmakiem odwraca wzrok od książki. Sprawy rzymskich niewolników są dla niej w tej chwili tak odległe, jak nigdy dotąd. Nie chodzi o te dwa tysiące lat (z kawałkiem), które stoją między tamtymi wypadkami a dniem dzisiejszym. Chodzi po prostu o to, że Magda nie ma dziś zupełnie głowy do nauki.

A jutro zapowiada się ciężki dzień. Klasówki - z historii i z fizyki, powtórzenie z biologii, no i „to” do załatwienia. Biologię powtarzała wczoraj, dziś już nie zajrzy do książki, niech się odleży. Na fizyce ma zapewnioną „pomoc w nagłych wypadkach” w osobie Sławki. Ostatecznie trzy wypracowania, za które Sławka leciutko złapała trójkę plus, czwórkę i czwórkę minus, powinny ją zobowiązać do rewanzu.

Nie, fizyką nie musi się przejmować, ale historia jest rzeczą poważną i nie należy jej lekce sobie ważyć. Historia i język polski to specjalność Magdy. Podziału na specjalności dokonano na początku roku i jak do tej pory, system branżowy doskonale zdaje egzamin. Co prawda, istnieją jednostki społeczne, pracujące na własny rachunek, jak również tacy, którzy korzystają z pomocy innych, nie rewanzując się niczym. No cóż? W każdym społeczeństwie znajduje się odsetek pasożytów, niebieskich ptaków, co to nie sieją, a istnieją. Klasa I b nie jest tu wyjątkiem.

Pogotowie klasowe działa na ogół sprawnie i Magda musi być jutro w dobrej formie, odpowiada nie tylko za siebie.. Ma obowiązki wobec koleżanek i kolegów. Bez entuzjazmu więc wraca do książki. Usiłuje zrozumieć, o co chodziło wyzyskiwanej ludności buntującej się przeciw panowaniu rzymskiemu. Rozpracowuje wystąpienie niejakiego Tyberiusza Semproniusza Grakcha i wbija w głowę nazwy wzajemnie zwalczających się stronnictw. Opornie jej to idzie. Próbuje więc czytać półgłosem:

- ... po zabiciu Tyberiusza Grakcha przez optymatów, z programem nowych reform wystąpił niebawem jego młodszy brat i współpracownik, Gajusz Semproniusz Grakchus, którego wybrano trybunem ludowym na rok sto dwudziesty trzeci przed naszą erą.

No, tak. Kiedyś to byli bracia. Jeden za drugiego gotów głowę położyć. Solidarni i w ogóle. A dziś? Czy na przykład brat Magdy pomógłby jej? Nawet gdyby umiał? Powiedziałby na pewno: „Co się martwisz? A bo to twoje?” Taka jest ta dzisiejsza młodzież. Mięczaki. Z bratem nie ma co rozmawiać na „ten” temat. Nie dlatego, że młodszy, bo mimo młodego wieku posiada dużo zdrowego rozsądku, ale jest jakiś taki cyniczny, niezaangażowany.

Może do mamy udać się z tym zmartwieniem? Nie, lepiej nie. Trzeba samej znaleźć jakąś radę. Tylko jaką? Zmęczona głowa nie chce pracować. Życie to nie bajka. Nawet kiedy ma się piętnaście lat i już za rok wolno będzie legalnie oglądać programy telewizyjne, przeznaczone „wyłącznie dla widzów dorosłych”.

Właściwie od momentu, kiedy zmieniła niebieską tarczę na czerwoną, zaczęła się w jej życiu nowa era, mimo że rodzice nadal traktują swoją pierworodną jak dziecko, brat nie myśli

darzyć jej szacunkiem, a świat nie zmienił się ani na jotę. To tylko ona, Magda, czuje się inaczej, sama sobie dodaje powagi i ważności. Tylko ona jedna przeżywa serio swoją dorosłość.

Na razie ma dorosłe kłopoty, a doświadczenie dziecka. Że też musiała się tak głupio wplątać w tę sprawę. A finał ma nastąpić jutro na szóstej lekcji.

Pierwsza - historia, potem fizyka, następnie pewu, biologia i angielski, wreszcie godzina wychowawcza. Na wychowawczej trzeba to jakoś załatwić. Magda liczy trochę na profesorkę Sowińską, która zna wiele skutecznych sposobów na wyjście z trudnej sytuacji.

„A jeśli nic nie wymyśli? Niemożliwe! Nie zostawi mnie przecież bez pomocy. Sowa jest bezkonkurencyjna”. Jednak niepewność przeszkadza Magdzie w skoncentrowaniu się na historycznym znaczeniu powstania Spartakusa. Nie lubi sytuacji niepewnych. Woli mieć wszystko zaplanowane, porządnie uszeregowane i jasno określone.

- Niepewność mnie zabija - mówi często, a brat wyraża zdziwienie, jak ona to robi, że jeszcze żyje.

Magda wbija wzrok w wizerunek legionisty rzymskiego, który wcale nie wygląda anachronicznie. Jego mini-zbroja sięgająca do pól uda jest jak najbardziej na czasie, a sandały i sznurowane łydki też są zupełnie dzisiejsze. „Wygląda jak Jagoda w swojej spódnicy ze skaju i łydkami oplecionymi plastikowymi sznurowadłami”. Skojarzenie jest zabawne, chociaż właściwie nie ma się z czego cieszyć. Myśl o Jagodzie przypomina zaraz tamtą sprawę.

Coś takiego zdarzyło się po raz pierwszy od wielu lat. Ale dlaczego akurat teraz, kiedy Magda objęła funkcję gospodyni klasy? To, co zaszło dziś po wuefie, było dla niej bardzo przykre. Czy tylko dla niej? Och, na pewno nie. Dla Sowy przede wszystkim. Była tak zaskoczona, że nie potrafiła nadać sprawie właściwego biegu. A dla Jagody? Po niej pewne rzeczy spływają jak woda po kaczce i nigdy nie wiadomo, czego się po tej dziewczynie spodziewać. Jeśli coś odczuła, to chyba jedynie stratę materialną, a przecież ważniejsza była strona moralna tego wydarzenia. Kradzież jest zawsze niemoralna, bez względu na to, czy skradziono trzysta złotych, czy trzysta tysięcy. Cóż z tego, że na biednego nie trafiło?

Jagoda wspaniałomyślnie zrezygnowała z propozycji profesor Sowińskiej, dotyczącej zwrotu skradzionej sumy ze składek klasowych. Powiedziała:

- Nieważne, pani profesorko! Przeżyję te głupie trzy stówki. Tylko jestem ciekawa, komu przydały się moje pieniądze i na co?

Magdzie zrobiło się gorąco. Sama, nie wiedząc dlaczego, zapragnęła nagle udowodnić Jagodzie, że nie była to zwykła, ordynarna kradzież z niskich pobudek (jakby istniała kradzież z pobudek wzniosłych), ale jakiś szczególny przypadek zmuszający kogoś do wyciągnięcia ręki po cudzą własność. Wstała i powiedziała:

- Sądzę, że te pieniądze się znajdują. Muszą się znaleźć! Nie wyobrażani sobie, aby ktoś z nas był zdolny... Jagoda! Sprawdź jeszcze raz! Może włożyłaś do innej kieszeni albo do zeszytu...

Trzeba było widzieć w tym momencie twarz Jagody. Ten ironiczny uśmiezek, to politowanie, z jakim spojrzała na Magdę. Potem bez pośpiechu, ale z miną wybitnie pogardliwą, zaczęła ostentacyjnie wywracać kieszenie i całą zawartość torby. Czego ona nie wyłożyła na stolik! I puderniczkę, którą dyskretnie przysłoniła chusteczką do nosa, i szminkę (podobno bezbarwną, do ochrony warg przed spierzchnięciem), i szereg innych drobiazgów, ale trzech czerwonych stułotówek nie było. Niestety.

Jagoda z wyraźnym zadowoleniem stwierdziła, że jednak kradzież popełniono. Co Magda miała do tego? Niby nic, ale odczuła wyraźną przykrość, ponieważ stało się to w czasie, kiedy ona jest przewodniczącą. Poczuli się odpowiedzialni za klasę, za jej moralne oblicze.

W siódmej i ósmej gospodynią klasy była Jagoda i żadna kradzież się nie zdarzyła, a teraz w pierwszej licealnej, kiedy Magda nagle zyskała popularność i zaufanie, musiało się przytrafić coś takiego!

Jagodzie poszło trochę po nosie, kiedy nie została wybrana po raz trzeci, ale gratulowała rywalce, jakby naprawdę dobrze jej życzyła, musiała jednak zachować jakąś zadrę na wątrobie, bo czasem rzucała od niechcenia:

- Jaka jestem szczęśliwa, że mam to całe przewodniczenie z głowy. Martwić się o wszystko, a potem zbierać obciachy, jak coś nie gra, średnia przyjemność.

Nieszczerością wiało z tych wypowiedzi na odległość. Magda nie miała wyżej wspomnianych obciachów i bardzo sobie chwaliła uzyskane stanowisko. W domu ojciec przez parę dni zwracał się do niej przez: pani przewodnicząca. Mama troszczyła się, czy przypadkiem ta funkcja nie zaważy na nauce, a brat zdecydowanie pokpiwał sobie, twierdząc, że u nich wybory gospodarza odbywają się na zasadzie „robienia w konia”, czyli nominację otrzymuje ten, kogo się najbardziej nie lubi. Jakiś kujon albo podlizuch.

Złośliwy jest ten braciszek. Udał się, nie ma co! W jej przypadku nie działały na pewno wymienione przez niego względy. Bo kujonem nie jest, a szkoda, mogłaby konkurować z Zygmuntem o najwyższą przeciętną. Gdyby posiedziała trochę więcej nad matematyką i fizyką, udałoby się prawdopodobnie zlikwidować te trójczyny. Ale po co? Przecież specjalizuje się w kierunkach humanistycznych. Podlizuchem też nigdy nie była i nie będzie. A więc chyba tylko sympatia klasy wcisnęła w jej ręce berło rządów?

Okazuje się, że wyróżnienie często ciągnie za sobą nieprzewidziane kłopoty. Coś trzeba było zrobić z tym złodziejstwem. Profesorka Sowińska, znając z doświadczenia bezowocność wszelkich rewizji, odwołała się do honoru klasy, której wychowawczynią była od czterech lat. Miała zapewne jak najszlachetniejsze intencje, ale Magda stwierdziła, iż łagodne perswazje nie doprowadzą do zwrotu pieniędzy, więc żeby przegonić ten ironiczny uśmiech z twarzy Jagody, postanowiła nagle iść na całego. Wstała i zapominając o obecności wychowawczynie rąbnęła mowę głosem zdecydowanie stanowczym:

- Daję złodziejowi dwadzieścia cztery godziny czasu. Do jutra pieniądze mają być zwrócone. Nie pozwolę, żeby na naszą klasę padł cień. Tego u nas nie było i nie będzie. Jest jedyne honorowe wyjście: zwrot.

- W duchy wierzysz? - rzucił głośnym szeptem Markiewicz.

- Na razie jeszcze wierzę w człowieka - odparowała wyniośle, na co klasa zareagowała dyskretnym chichotem.

- A jeśli ktoś będący w potrzebie pożyczyl tylko zaginioną sumę i zobowiąże się zwrócić ją z odsetkami? - nie ustępował Markiewicz.

Teraz już śmiano się na całego.

Magda nie była zadowolona z takiego obrotu sprawy. Za wszelką cenę chciała utrzymać poważny nastrój. Było to jej „być albo nie być”. Wychodziła z siebie, żeby rzecz mądrze rozegrać. Powiedziała głośniejszym głosem, niż zamierzała:

- Portfel Jagody nie jest kasą zapomogowo-pożyczkową, ale jeśli wolisz słowo pożyczka od słowa kradzież, to niech będzie pod warunkiem, że do jutra nastąpi zwrot. Bez odsetek. W przeciwnym razie złodziej zostanie potraktowany tak, jak na to zasługuje.

- To znaczy?

- Nie wiesz, jak się traktuje złodzieja?

- Wiem, bransoletki na rączki, tylko że trzeba go najpierw wytropić, potem udowodnić winę, a dopiero na końcu spełnić tę miłą powinność.

- Właśnie, co zrobimy, jeśli do jutra nic się nie wyjaśni? - zatroszczyła się bojaźliwie jak zawsze Helenka.

- Co zrobimy? Musimy znaleźć tę kreaturę. I znajdziemy. Moja w tym głowa. Taka sztuka to na raz. Przy najbliższej okazji zasypie się ten... ten...

- A może ta, nie ten - obruszył się Markiewicz.
- Chciałam powiedzieć: ten złoczyńca. Do tej pory nie ma żeńskiego odpowiednika tego słowa...

- Najwyższy czas uzupełnić braki w słownictwie kryminalnym. Proponuję: złoczyńcy. Czy pani profesorka się zgadza?

- Z punktu widzenia gramatyki byłoby to uzasadnione. Przestępca - przestępczyni. Złoczyńca - złoczyńcy. Ale wyraz ten nie ma tradycji w naszym słownictwie. Po prostu nie przyjął się. W tej chwili byłby dość sztucznym tworem językowym.

Magda była zła na Sowę. Też znalazła sobie moment do rozważań gramatycznych! „Przecież chodziło o rzecz znacznie ważniejszą. O to, kto ukraść. Profesorka wydawała się spokojna jak zazwyczaj, opanowana i rzeczowa.

Magda odwrotnie. Była wzburzona i przytłoczona ciężarem odpowiedzialności. Nie bardzo więc wiedziała, co mówi:

- Niech tylko ten czy ta wpadnie w moje ręce. Nie pozbiera się łatwo. Jak go dorwę, to zamaluję z lewej, z prawej, a potem każdy będzie mógł zrobić to samo.

Już nie panowała nad sobą. Czuła, że za sekundę rozplacze się jak dziecko.

Było jej głupio i źle. Na szczęście nieoceniona Sowa dała znak do rozejścia się. Klasa opustoszała w oka mgnieniu i zanim Magda zdążyła zapiąć teczkę, stwierdziła, że są tylko we dwie.

- Uspokój się, Magdo - powiedziała wychowawczyni, kładąc jej rękę na ramieniu - sytuacja jest nieprzyjemna i trudna.

- Tak mi głupio, pani profesorko. Nagadałam tyle różnych rzeczy i wcale nie wiem, jak z tego wybrnąć. Nie mam pojęcia, co zrobię, jeśli te pieniądze nie zostaną zwrócone.

- Należy się przygotować na najgorsze. Złodziej miał odwagę ukraść, ale do zwrotu może mu już nie starczyć fantazji. Zrobiłaś wszystko, co można było w tej sytuacji zrobić. Muszę ci pogratulować właściwego podejścia do sprawy. Ostatecznie mogłaś sobie darować obietnicę rękoczynów, ale kto wie, czy to nie będzie najpoważniejszy argument.

- Przepraszam - Magda uświadomiła sobie całą niestosowność swojego wystąpienia. - Poniosło mnie, nie przychodził mi żaden inny sensowny pomysł do głowy. Teraz widzę, że się zagalopowałam.

Robiło jej się coraz bardziej niewyraźnie. Zawsze była z siebie niezadowolona, kiedy rzucała obietnice na wyrost. Po ochłonięciu nie bardzo wiedziała, jak się zabierze do wykrycia złodzieja.

- Czy masz jakieś podejrzenia? - zapytała Sowa, widząc rozterkę wychowanki.

- Absolutnie żadnych, pani profesorko. Za dziewczęta mogłabym ręczyć jak za siebie samą.

- A za chłopców?

- Pieniądze zginęły na wuefie. Chłopcy nie mają wstępu do naszej rozbieralni. Po lekcji Jagoda podniosła krzyk: „Oddajcie mój golf! Bez głupich kawałów! Która to taka pomysłowa?”

- Więc jeszcze golf jej zginął? - zafrasowała się Sowa.

- Nie, pani profesorko. Miała trzysta złotych na nowy sweterek z anilany, w którym chciała wystąpić na „andrzejkach”.

- Ach, tak? Więc to dla niej duża przykrość.

„Dla mnie większa - pomyślała Magda. - Nie tylko, że nie będę miała nic nowego na zabawę, ale jeszcze muszę sobie głowę truć przez tę idiotkę”.

- A co sądzisz o Mirce? Czy jej przyjaźń z Jagodą jest rzeczywiście szczerą i opartą na wzajemnym zaufaniu?

- W sprawie przyjaźni wolę się nie wypowiadać - Magda miała własny pogląd na tę sprawę. - Wiem natomiast, że Mirka to firma bidna, ale solidna. Uważam, że jest poza podejrzeniami. Równie dobrze mogłabym podejrzewać każdą z nas, nie wyłączając siebie.

- A jednak pieniądze zginęły.
- Niestety. Zmieniły właściciela.
- Czy Jagoda jest lubiana w klasie?
- Myślę, że tak.
- Ty też ją lubisz?
- Średnio.

Magda wolałaby nie ujawniać przed Sową niechęci do Jagody. Za co ją właściwie miała lubić? Za zadzieranie nosa powyżej uszu? No to co, że ojciec Jagody jest marynarzem i różne ciuchy z zagranicy jej zwozi! Magda nie zazdrości nikomu rodziny, jest zadowolona ze swoich starych, tylko nie cierpi, kiedy ktoś uważa się bez powodu za coś lepszego od innych. Na zewnątrz brylony i tergal, a wewnątrz ograniczona gaska.

Magdę niełatwo wpędzić w kompleksy, ale Kazia czy Mirka - wartościowe dziewczyny, a Jagoda wodzi je za nos. Od Kazi przepisuje matkę, bo:

- Wróciłam wczoraj o pierwszej do domu. Byłam z mamą i jednym takim w Kongresowej.

- W Sali Kongresowej - uściśla Kazia.
- Nie, głuptasku. W restauracji Kongresowej. Jadłam homara...

Następnie Jagoda wymienia skomplikowane nazwy zagranicznych trunków. Kazia słucha jak urzeczona i nie zdaje sobie sprawy, że gdyby koleżanka spróbowała tego wszystkiego choćby po naparstku, miałaby trudności z przyjściem nazajutrz do szkoły.

Mirka natomiast jest zaprzędana Jagodzie z ciałem i duszą za kilka używanych ciuchów. U Mirki jest krucho z forszą, ale co to za usprawiedliwienie.

Nie, Magda nie lubi Jagody, ale nie należy ujawniać tego przed wychowawczynią. Trzeba powiedzieć coś dodatniego o koleżance.

- Uważam, że Jagoda zmieniła się na korzyść, odkąd przystąpiła do klubu antysnobów.
- Antysnobów? Co to takiego?

Magda ugryzła się w język, ale o moment za późno. Niepotrzebnie się wygadała. Przecież cały ten klub to dziecinada i Sowa może pomyśleć, że panny z Ib cofnęły się w rozwoju umysłowym. Wolałaby nie wtajemniczać profesorki w szczegóły, ale nie ma rady. Powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć „b”.

- To nic poważnego, pani profesorko - decyduje się w końcu na wyjaśnienie. - Postanowiłyśmy przyjąć jako zasadę stawianie na pierwszym miejscu wszelkiej produkcji krajowej, a więc polskie filmy, piosenki, a przede wszystkim przemysł odzieżowy. Ubieramy się tylko po polsku, a jak któraś ma coś zagranicznego, odprowadza metkę i przysięga, że wyrób jest „Made in Poland”.

Sowa śmiała się, pokazując równe, białe zęby z jedną złotą koronką z boku.

- Dziecinne to, bo dziecinne, ale sympatyczne. Kto wpadł na ten pomysł?

Magda skromnie przemilczała pytanie. Profesorkę jednak problem nurtował dalej.

- Więc mówisz, że Jagoda zmieniła się od chwili przystąpienia do klubu?

- Poniekąd. Właśnie, żeby zademonstrować swój patriotyzm, miała nabyć jakiś szalowy golf z anilany za trzysta złotych polskich. Pech chciał, że pieniądze wyparowały, a ja się tak głupio wkopałam.

- Nie myśl o tym do jutra - powiedziała Sowa na pożegnanie.

Magda wie, że najlepiej nie myśleć, ale tak bardzo chciałaby Jagodzie udowodnić, że ma wpływ na klasę, że potrafi sobie poradzić w nieprzyjemnej i trudnej sytuacji i że człowieka nie należy sądzić po ubiorze, tylko po czynach i całej postawie życiowej.

Kiedy człowiek jest coś wart, będzie miał i u innych szacunek i poważanie. Otóż to! Szacunek i poważanie!

Tymczasem człowiek siedzi nad podręcznikiem historii z oczami wbitymi w nagłówek: „Podbój Galii przez Cezara” i ani rusz nie może przebrnąć przez ten rozdział.

„Mam autorytet w klasie czy nie mam? - zadaje sobie pytanie. - Co wart autorytet pięści?” Wątpliwości mnożą się.

„Aby do jutra!” - Magda chciałaby być starsza o jedną dobę albo nawet o kilka, żeby tylko mieć z głowy ten kłopot. Jest zła na siebie, że tak bardzo się przejmuje.

Dla Jagody trzysta złotych to drobiazg, a ten, kto wyciąga rękę po cudzą własność, może się stoczyć moralnie bez względu na wewnętrzną rozterkę Magdy.

„Najgorzej, kiedy ktoś czuje się odpowiedzialny za miliony” - próbuje ironizować, ale wie dobrze, że w grę wchodzi również jej prestiż i pozycja przewodniczącej.

„Gdyby ta idiotka nie latała po klasie i nie szeleściła czerwonymi papierkami przed oczami wszystkich, może obeszloby się bez całej imprezy, ale ona zawsze musi być w centrum zainteresowania. Ciekawe, co teraz robi? W każdym razie nie hamletyzuje, bo to do niej niepodobne”.

Magda nie może oprzeć się pokusie zadzwonienia do Jagody. Na szczęście nikt nie podnosi słuchawki. Na szczęście, bo Jagoda nigdy do niej nie telefonuje, więc dlaczego Magda ma uczynić pierwszy krok?

A swoją drogą, ona się tu zamartwia, a najbardziej poszkodowana osoba bywa nie wiadomo gdzie i nie przejmuje się ani klasówkami, ani w ogóle niczym. I też przejdzie przez życie. Można i tak. Magda wie jednak, że ona sama musi inaczej. Nie odpowiada jej postawa życiowa Jagody.

„Głupia jestem, ale dobrze mi z tym” - stwierdza nie bez satysfakcji.

Książka do historii leży wciąż otwarta w tym samym miejscu. Brat siedzący z drugiej strony stołu rzuca podejrzliwe spojrzenia. Tak jej się przynajmniej wydaje.

- Co mi się tak przyglądasz? - zaczyna Magda zaczepnie. - Pierwszy raz mnie widzisz?

- To raczej ty patrzysz na mnie, jakbym ci ojca zjadł. Spójrz w lustro, sama się przestraszysz. Wzrok błędny, włos w nieładzie.

Magda nie daje się sprowokować, nie wstaje od stołu, usiłuje w dalszym ciągu zmobilizować się do nauki. Na próżno.

„Temu to dobrze - myśli z zazdrością o bracie. - Żadne zagadnienia natury moralnej nie mącą mu spokoju”.

Janusz siedzi okrakiem na krześle opartym poręczą o stół i wertuje książkę o tranzystorach. Policzki ma zaróżowione, niedawno wrócił ze zbiórki harcerskiej. „W głowie mu tylko podchody i ćwiczenia w terenie, a w przerwach między jedną a drugą zbiórką technika i motoryzacja”. Magda musi przyznać, choć niechętnie, że to wcale nie jest mało. Próbuje nawiązać rozmowę.

- Interesuje cię ta lektura?

- Cokolwiek - odpowiada lakonicznie Janusz. Teraz wśród ósmoklasistów panuje moda na „mamtownosizm”. Do dobrego tonu należy niepasjonowanie się niczym, nieokazywanie entuzjazmu ani głębszych zainteresowań.

Magda wie, że brat ma zainteresowania techniczne, chociaż nie lubi się nimi chwalić. Ma nawet niezłe osiągnięcia w tej dziedzinie. Skonstruował prostą maszynę liczącą na konkurs szkolny „Z techniką na ty”. Jego eksponat zajął pierwsze miejsce w eliminacjach wojewódzkich. A kiedy mu gratulowano, odpowiadał: „małe piwo”, udając, że sukces nie zrobił na nim większego wrażenia.

Magda przygląda się bratu uważnie. Przecież to już dorosły chłopak. „Następny do podrywania”. Wąs mu się sypie i na brodzie pojawił się delikatny meszek. Gdyby nie był jej osobiście znany, mogłaby go określić: przystojniacha.

W rozmyślania nad urodą brata wdziera się dźwięk telefonu. Magda wsuwa nos w książkę wracając do tej nieszczęsnej Galii.

„Nie będę się rozpraszać, niech ktoś inny zajmie się telefonem” - decyduje, zakrywając uszy rękami.

Mamę słycać w łazience, znowu robi przepierkę, ojciec chyba śpi po obiedzie albo czyta gazetę, co na jedno wychodzi, bo i tak nie podejdzie do aparatu.

- Dostyc mam telefonów w biurze - wytacza zawsze swój żelazny argument. - Przez osiem godzin albo rozmawiam przez telefon, albo muszę słycać, jak inni rozmawiają.

Magda rozumie ojca i wie, że na niego nie ma co liczyć.

- Janusz! Bądź bratem i odbierz. Jeśli do mnie, jestem nieobecna. - Nie ma dziś zupełnie nastroju do rozmów. Czasem koleżanki czy koledzy dzwonią z byle powodu albo kompletnie bez powodu, plotą głupstwa, cenny czas się wytraca. Magda często każe mówić, że jej nie ma.

Janusz podnosi się ociężale z krzesła, ale zanim dotknie słuchawki, woli się upewnić:

A gdzie jesteś? Ostatnio ciągle wychodziłaś z koleżanką, wymyśl coś nowego.

- Możesz powiedzieć, że tym razem wyszłam z kolegą.

- Fiu, fiu, fiu - przez otwarte drzwi Janusz daje Magdzie znak brodą.

A więc do niej telefon.

- Magda właśnie wy...

- Poczekaj! - zdecydowała nagle.

Jak błyskawica olśniła ją myśl, że może zgłasza się ktoś w sprawie dzisiejszego wydarzenia. Może powie tajemniczym szeptem: „Pieniądze są schowane tu i tu...” Dałaby wiele za takie lub podobne słowa. Zrywa się ożywiona nadzieją i wyciąga rękę do aparatu. Janusz zdążył jeszcze zagaić:

- Magda właśnie wyrywa mi słuchawkę... - i wyszczerzył się do siostry w nieładnym grymasie.

- Słucham - w głosie jej było oczekiwanie na cudowną, uspokajającą wiadomość.

- Mówi Helena. Czy coś się wyjaśniło w sprawie kradzieży?

- Nic mi o tym nie wiadomo. A ty coś wiesz?

- Skąd! Mnie przecież nikt nie będzie informował. Kto się ze mną liczy? Dzwoniłam do Jagody, ale nie ma jej w domu. Może... Wiesz, ja jestem czasem taka głupia i dziecinna... Tylko nie śmiej się, Magda, błagam cię... Może Jagoda dostała anonim i poszła odebrać pieniądze schowane w jakimś sekretnym miejscu?

- Okaze się jutro - Magda usiłuje ukryć rozczarowanie, a jednocześnie rozwesela ją myśl, że Helena ma podobnie jak ona nedorzeczne przypuszczenia.

- Ja nie wytrzymam do jutra! - gorączkuje się spokojna zazwyczaj Helenka.

- Pociesz się, że i mnie niepewność zabija - uspokaja ją Magda. - Jak będę coś wiedziała, zaraz cię powiadomię.

- Kochana jesteś! Myślę, że wszystko będzie dobrze. Intuicja mi to mówi.

- Jeśli twoja intuicja nie zawiedzie, masz u mnie wszystkie wypracowania z

Kochanowskiego - Magda jest hojna, bo nie bardzo wierzy, że rewanż będzie potrzebny.

Wraca do książki. Rozmowa z Heleną poprawiła jej samopoczucie. Uporawszy się jako tako z historią, zaczyna przeglądać prasę. Znowu dzwoni telefon. Tym razem do mamy. Następny do jakiegoś Maszkalewicza czy Masztalewicza. Magda z satysfakcją informuje rozmówcę o pomyłce, zwłaszcza że jego głos zdradza niedawny kontakt z butelką.

„Chyba czas zakończyć pracowity dzień - decyduje i zaczyna upychać w teczce książki i zeszyty na jutro. - Muszę się dobrze wyspać, żeby mieć kondycję” - rozmyśla, wiedząc, że i tak nie uśnie prędko. Chociaż, kto wie, czy bezsenność to taka zła rzecz? Czasem stwarza możliwość przemyślenia wielu rzeczy, spokojnego przeanalizowania ich i podjęcia roztropnych decyzji.

Ostatnio niewiele czasu pozostaje na taki luksus, jak myślenie o rzeczach nie związanych ze szkołą. Nauki po uszy, a doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny. Stąd ciągle zmęczenie, pobudliwość, utarczki słowne (a czasem i ręczne) z bratem, nieeleganckie odburkiwanie rodzicom. Aby do wakacji! Wyjechać gdzieś daleko! Przeżyć coś ciekawego! Dobra myśl, ale jak ją zrealizować? Dopiero początek listopada. Do czerwca całe 8 miesięcy. Słownie: osiem.

Magda chciałyby poznać kogoś interesującego. Wstyd się przyznać, ale jeszcze się nigdy nie kochała. Bo i w kim? W kolegach z klasy czy ze szkoły? Miernota, nie ma w czym wybierać. Albo mało poważni i nie na poziomie, albo mądrzy, ale nudni, pozbawieni poczucia humoru i zaradności życiowej. A spoza szkoły też nikogo nie zna. Najwyżej kuzynów bliższych lub dalszych, ale ci przecież nie liczą się. Na takich nie można stawiać.

Magdzie marzy się głębokie, porywające uczucie, ktoś mądry, ale niezrozumiały, wesóły, ale niegłupi, i w ogóle, żeby był Niebylekto. Niestety, ten ideał opóźnił pojawienie się na horyzoncie jej życia i nawet nie rysował się w mglistych konturach.

„Najwyżej zostanę kobietą samodzielną. I z głowy! - nuci piosenkę Młynarskiego: «Nieszczęścia chodzą parami». - Ten ma globus! Jak popełni piosenkę, to nic ująć, nic dodać. Mądrze i dowcipnie”. Jagoda mówiła, że widziała go w zeszłym roku w Sopocie. Chodził na plażę z żoną i córeczką. Jak każdy przeciętny śmiertelnik. W takim mogłaby się zakochać, ale niestety, już go inna złapała, a poza tym za stary, ma ponad dwadzieścia. Odpada.

Znowu telefon. Jest prawie dziewiąta. Na pewno jeszcze jeden obywatel „dobrze obsłużony”. Że też na pijaków nie ma rady. Gdyby Magda miała żyłkę techniczną, wystąpiłaby z pomysłem racjonalizatorskim. Skonstruowałaby aparat telefoniczny reagujący na opary alkoholu i automatycznie blokujący połączenie. Ale Magda nie posiada wyżej wymienionego talentu i nigdy czegoś podobnego nie skonstruuje. Projekt zostanie jedynie w sferze jej marzeń.

A telefon dzwoni i dzwoni.

- Bracie, odbierz! Mnie teraz naprawdę nie ma.

Janusz mozoli się właśnie nad „Zorbą”, która w jego wykonaniu gitarowym wychodzi nieszczęśliwie.

- Do stu tysięcy zakochanych krasnoludków! Czy tylko ja jestem w tym domu? - denerwuje się. - Słucham! - warczy w słuchawkę.

- Przepraszam pana, że przeszkadzam o tak późnej godzinie. Czy mogłabym mówić z Magdą? Jagoda.

- Janusz - przedstawia się, udobruchany jej przymilnym głosem i słowem „pan”, które jeszcze nie zdążyło mu spowszednieć. - Magda jest zajęta rozważaniem problemu niezwyklej wagi. Musi podjąć decyzję, czy jest w domu, czy jej nie ma.

- Cha, cha, cha - Jagoda śmieje się w sposób szczególnie dystyngowany. - Jeśli zdecyduje, że jest, mam jej coś ważnego do powiedzenia.

- Czy to tajemnica?

- W pewnym sensie.

- Ja też lubię tajemnice. Proszę mi ją zdradzić, a obiecuję sprowadzić Magdę choćby siłą.

Magda zatrzymuje się w połowie drogi do łazienki. „Z kim ten smarkacz rozmawia? Dowcipkują, a więc nie Helena. Jagoda też chyba nie? Przecież nigdy do siebie nie dzwonią. Chodzi o jakąś tajemnicę. Może któryś z chłopców? Nie, na pewno dziewczyna, inaczej Janusz nie uśmiechałby się tak głupkowato do słuchawki. Najgorsi są ci początkujący podrywacze. Kto to dzwoni?” - unosi brwi, robiąc twarz w znak zapytania. Musi ten zabieg powtórzyć kilkakrotnie, ponieważ brat ani myśli udzielić odpowiedzi. Słucha z widocznym zadowoleniem, rozmowa zdecydowanie go bawi.

Magda jest już u szczytu wytrzymałości. Usiłuje odebrać bratu słuchawkę, ale to nie takie proste. Janusz robi skuteczne uniki, wreszcie informuje szeptem:

- Koleżanka Czereśnia.

„Więc jednak! Musiało się stać coś ważnego, kiedy Jagoda zdecydowała się zadzwonić o tej porze”.

Udaje się jej dorwać do słuchawki, w którą prawie krzyczy:

- Jestem! Czy coś zaszło?

- Cześć! Magda! - głos Jagody brzmi dziwnie przez telefon, mniej piskliwie i w ogóle tak jakoś sympatycznie. - Przerwałaś mi interesującą rozmowę. Fajnego faceta ukrywasz przed koleżankami. Kuzyn z głębokiej prowincji? Bo chyba nie ojciec?

- Jeszcze gorzej - Magda też potrafi być tajemnicza.

- Nie bądź żyła! Powiedz, kto to?

- A, jeden taki...

- Tylko nie taki, tylko nie taki... - włącza się Janusz.

- Jeden taki, małoletni.

Janusz grozi siostrze pięścią, a Jagoda jest wyraźnie zdezorientowana.

- O kim ty mówisz?

- O pewnym interesującym pętaku, który przez omyłkę losu nosi miano mojego brata.

- Chyba nie mówisz o tym małym Januszkę z podstawówki?

Rozczarowanie Jagody sprawia Magdzie satysfakcję.

- Innym bratem nie dysponuję, ale tego chętnie ci przedstawię. Mogę go przyprowadzić na „andrzejki”. Zdaje się, że umie nawet tańczyć.

- Przepraszam za nieporozumienie. Wzięłam go za kogoś starszego - Jagoda zdołała już ochłonąć, a Magda zaczyna dopiero bawić się na dobre.

- Nie rezygnuj pochopnie. To niezły chłopak, chociaż jest moim bratem.

- Wierzę, ale nie o to chodzi. Wzięłam go za starszego. Jego głos sugerował mi kogoś około dwudziestu.

- Świeżo po mutacji. Niedługo kończy czternaście. Dobry z matmy i fizyki. No, co?

Decydujesz się?

- Dziękuję, nie skorzystam. Ja do ciebie w zupełnie innej sprawie.

- Domyślam się - Magda czuje, że zabawa się skończyła.

Serce zaczyna jej bić mocniej. W drodze do łazienki postanowiła, że jeśli nie uda jej się załatwić sprawy kradzieży, poprosi o zwolnienie ze stanowiska przewodniczącej. Jeśli nie ma żadnego autorytetu, nie powinna reprezentować klasy. Jest prawie pewna, że Jagoda w tej właśnie sprawie dzwoni.

- Słucham - mówi pozornie obojętnym głosem, chociaż niepewność ściska ją za gardło jak przed najtrudniejszym egzaminem.

- Wyobraź sobie - mówi Jagoda zupełnie bez troski i niefrasobliwie - pojechałam z Krzysztofem do Warszawy...

- Po ten sweterek, oczywiście?

- Nic podobnego. Właściwy człowiek na właściwym miejscu. Po sweterek miałam jechać z Mirką. Krzysztof jest na bardziej uroczystej okazji. Zresztą, nie miałam pieniędzy. Ostatecznie trzysty złotych nie znajduje się na ulicy. Matce nie mogłam nic powiedzieć, ponieważ tę forszę pożyczylam od niej po cichu, na rachunek miesięcznej pensji. Mama ostatnio zrobiła się oszczędna i każe mi ograniczać wydatki.

Magda pomyślała z życzliwością o matce Jagody, natomiast ze zdecydowaną niechęcią o koleżance. Sama nie była rozpieszczana finansowo przez rodziców, ale nie wzięłyby po kryjomu ani grosza.

- Pojechaliśmy do kina. Byłaś na „Markizie Angelice”? Mówię ci, bomba! To trzeba zobaczyć. Mieliśmy jeszcze zabawić się gdzieś, ale Krzysztofa zaczęła rozbierać grypa, więc wróciliśmy wcześniej.

„Do rzeczy, do rzeczy” - niecierpliwi się Magda. Krzysztof i jego grypa obchodzą ją w tej chwili tyle, co któryś z kolei mąż Elizabeth Taylor. Ale Jagoda tego nie wyczuwa i jakby celowo krąży dokoła tematu, opóźniając wyjawienie najważniejszego.

24- Wyobraź sobie, wchodzimy na klatkę schodową, żeby nie żegnać się na ulicy, a wiesz, jak Krzysztof potrafi przeciągać ostatnie chwile...

Magda nie wie i nie chce wiedzieć, chce usłyszeć, co skłoniło koleżankę do zatelefonowania. „Jąkaj się szybciej, gaduło” - ponagla ją w myśli.

- Słuchasz? - upewnia się Jagoda, zaniepokojona milczeniem.

- Ależ tak. Cała zamieniłam się w słuch.

- Więc kiedy tak stoimy na schodach i żegnamy się, Krzysztofowi przypomniał się dowcip o biednych studentach. Może go już słyszałaś?

- Nie słyszałam, ale błagam cię, może innym razem. Dziś jestem skonana i nie poznam się na najlepszym dowcipie.

- Już się streszczam. Na czym to ja stałam?

- Na Krzysztofie. Żegnacie się i żegnacie...

- Właśnie. Żegnamy się i żegnamy. W pewnej chwili drzwi wejściowe otwierają się i wchodzi facet, ale jaki! Magda! Przysięgam, w życiu nie widziałam tak szalowego chłopaka. A on podchodzi do listy lokatorów, długo się w nią wgapia, bo na korytarzu jest ciemnawo, wreszcie zbliża się do skrzynek na listy i wrzuca do jednej z nich niebieską kopertę... Stałam dość daleko, nie widziałam dokładnie, do której skrzynki, ale zdawało mi się, że do naszej. Zanim zbiegłam z tych paru schodków, chłopak zdążył się ulotnić. A ja, głupia idiotka, zamiast pogonić za nim, zaczęłam się siłować z wyjęciem listu. Wyobraź sobie, był adresowany do mnie, nieznanym charakterem pisma: „Koleżanka Jadwiga Makulska”. Każde „a” na końcu wyrazu miało taki fantastyczny zawijas...

- No i co? - Magda już nie wytrzymuje tej tasiemcowej opowieści.

- Zgadnij, co było w liście?

- Moja głowa dziś zupełnie nie pracuje, ale spróbuję zgadnąć. W najgorszym wypadku prosił cię o rękę.

- Nie zgadłaś!

- Zaproponował wyjazd na Wyspy Kanaryjskie.

- Też nie.

- Wobec tego przejażdżkę statkiem do Młocin. Więcej nie zgaduję.

- Widzę, że muszę ci powiedzieć prawdę, chociaż zgodziłabym się na każdą z wymienionych przez ciebie możliwości. Chłopak był fantastyczny. Oczarował mnie z kaptami.

- Przez minutę, i w dodatku po ciemku? - Magda musi podrwić trochę z Jagody, żeby zrekompensować sobie tę długą i bezowocną rozmowę.

- Po ciemku czy nie po ciemku, takie rzeczy wie się od razu, od pierwszego wejrzenia.

- A co Krzysztof na to?

- Krzysztof, jak to Krzysztof, wołał śmiało spojrzeć prawdzie w oczy, rozerwał kopertę, którą ja bezskutecznie usiłowałam odkleić bez uszkodzenia, no i...

- No i...

- W kopercie było, ni mniej, ni więcej, tylko trzysta złotych, te same, które rano wyparowały mi z portmonetki. Co ty na to?

Zapanowała chwila ciszy.

Magda usłyszała dzwonienie w uszach, a potem zwariowane bicie własnego serca. „Więc jednak, więc jednak” - tłuło jej się po głowie.

- Słuchasz? - Jagodzie wydało się dziwne takie długie milczenie.
- Słucham, ale powtórz to jeszcze raz, bo nie jestem pewna, czy się nie przesłyszałam.
- Najlepiej od końca - Magda już odzyskała panowanie nad sobą. - Cieszę się, że pieniądze wróciły na swoje miejsce i możemy sprawę uważać za załatwioną.
- Ty możesz - Jagoda nie miała zamiaru skończyć. - Ale ja muszę dojść, kto to był. Taki chłopak!
- Baw się dobrze. Cześć!
- Cześć!

Magda odkłada słuchawkę i jest szczęśliwa. Tak bardzo szczęśliwa, że nie panując nad sobą całuje brata w sam środek jasnej czupryny.

- Co tobie? - dziwi się Janusz. - Jesteś pewna, że nic ci nie dolega?
- To od Jagody - kłamie zupełnie odruchowo. - Oczarował ją twój aksamitny baryton i kazała cię pozdrowić.

Do Heleny nikt nie zadzwonił.

II

Nazajutrz Magda wstaje z bólem głowy. Przez całą noc miała niesamowite sny. Ktoś ją gonił, wymachując czerwonymi stuzłotówkami. Potem, nie wiadomo skąd, kilka paczek banknotów znalazło się u niej w teczce. Włosy zaczęły się jej jeżyć na głowie, kiedy w pewnym momencie znalazła się na środku klasy i ktoś wyrwał jej teczkę z kurczowo zaciśniętej dłoni, wysypując zawartość na stolik profesora. Wszyscy otoczyli ją wianuszkami i wskazywali palcami:

- Złodziejka! Złodziejka!

Magda stwierdziła, że w tej sytuacji najlepszym wyjściem będzie obudzenie się, co też uczyniła, wielce zadowolona, że dzień wbrew przewidywaniom zapowiada się pomyślnie.

Usnęła ponownie koło szóstej i zasnęła, spóźniając się na historię. Na szczęście Cezar był tego dnia przyjaźnie usposobiony. Ograniczył się do krótkiej uwagi:

- Przewodnicząca, jako pierwsza po Bogu, nie powinna ostatnia zjawiać się w klasie.

- Panie profesorze, przewodnicząca też człowiek i nic, co ludzkie, nie jest jej obce.

Cezar uznał usprawiedliwienie za wystarczające, uśmiechnął się i powiedział:

- Nadrabiaj, nadrabiaj, bo dwójeczka też ludzka rzecz, ale mało chwalebna.

„Spokojna głowa” - pomyślała Magda i zabrała się do roboty. Z trzech tematów do wyboru najmożliwszy wydał jej się: „Upadek republiki rzymskiej”.

Klasówkę oddała ostatnia, i to na wyraźne życzenie Cezara, bo mogłaby na ten temat jeszcze pisać i pisać. Dopiero po wyjściu profesora zorientowała się, że nikt nie prosił jej o pomoc. Nie było jednak czasu na głębsze przeanalizowanie tego problemu.

Pierwsza rzuciła się na nią Helena.

- Widzisz, widzisz! Mówiłam, że wszystko będzie dobrze. - Ścisnęła Magdę, całowała i miała w oczach prawdziwe łzy wzruszenia.

- Wypracowanie z Kochanowskiego będziesz miała, umowa stoi - przypomniała sobie Magda i zrobiło jej się głupio, że zapomniała zadzwonić wczoraj do Heleny, która okazała jej tyle życzliwości i zainteresowania sprawą.

- Daj spokój, nie wzięłam tego poważnie.

- Za to ja chętnie skorzystam - zaofiarował się Markiewicz.

- Każdemu według zasług - zgasiła go Magda.

- Nie według zasług, tylko według potrzeb - poprawił.

- Właśnie, potrzeb - Magda poszukała wzrokiem Sławki. - Skarbowska, skarbie, polecam się na fizyce, bo u mnie kompletne pustogłowie.

- Możesz liczyć na mnie jak na siebie samą - Sławka była niezawodna.

- Liczenie na siebie niewiele mnie urządzi, wiesz dobrze. Wierzę tylko w ciebie.

- Ostatnio sami wierzący w naszej klasie - zauważył Markiewicz. - Magda wierzy w Skarbowską, Zygmunt wierzy w Magdę, tylko patrzeć, jak zacznie praktykować.

- Co znowu dolega Zygmuntovi?

- Powiedział wczoraj: „Wierzę w Magdę. Ta kradzież musi się wyjaśnić”.

Magdzie robi się ciepło koło serca. Wczorajsza rozterka zostaje wynagrodzona sownicie. Nie zależy jej specjalnie na zdaniu Zygmunta, ale w ogóle wyczuwa wokół siebie aurę podziwu i uznania.

Jagoda nie bierze udziału w rozmowie. Przed lekcjami ona była bohaterką dnia, na niej skupiała się uwaga klasy. Wszyscy słuchali z podziwem jej opowiadania. A teraz Magda wchodzi na warsztat.

Jagodę to złości. Magda orientuje się i chce być uprzejma.

- Jak ci się spało?

- Nie narzekam.

- Stawiam zakład, że śnił ci się wczorajszy bohater.

- Wygrałaś. Rzeczywiście śnił mi się przez całą noc. Przeprowadziłam ankietę wśród dziewcząt. Żadna nie przyznaje się do znajomości z kimś podobnym.

Magdę śmieszy naiwność Jagody.

- Zastanów się, czy ktoś logicznie myślący zdradziłby się w tej chwili.

- A dlaczego nie? Chłopak - buzi dać! Nie ma się czego wstydzić.

- Dziecino! Nie pojmujesz, że to byłoby jawne przyznanie się do winy?

- Jasne! Ty masz globus!

Magda jest zaskoczona bezpośredniością Jagody. Do rozmowy włącza się Zygmunt:

- Gratuluję ci, Magda! Świetnie wczoraj zagrałaś.

- Sądzisz, że zadziałała tu moja „łagodna perswazja”? - wołałaby, żeby jej nie przypominano wczorajszej działalności.

- A ja się tak nie bawię - wyskakuje ni w pięć, ni w jedenaście Markiewicz. - Czuję się zawiedziony i oszukany. Liczyłem na publiczny wymiar kary. Przypomnij sobie, Magdaleno, obiecałaś, że pierwsza wkropisz złodziejowi, raz z lewej, raz z prawej, a my za tobą w kolejności. Już zacząłem ćwiczyć rękę... Tak się nie traktuje uczciwego człowieka.

- Więcej konsekwencji, chłopcze! Pieniądze pożyczone i zwrócone. Sam byleś zwolennikiem takiej wersji.

- Odmieniło mi się od wczoraj. Cała ta draka wygląda podejrzanie. Myślę...

- Najgorzej, kiedy ktoś myśli! - Magda ucina dyskusję. Uważa, że nie należy dociekać, kto i dlaczego. Woli, żeby sprawcy nie ujawniono. Próbuje wejść w jego położenie. Ją też nurtuje pytanie: kto? - ale nie chce znać odpowiedzi. Boi się jej. Nie wie, jak powinna ustosunkować się do osoby, której udowodniono by kradzież. Napiętnować jako złodzieja? Tak byłoby najprościej, ale przecież oddał, zrozumiał swój błąd. Magda woli przejść nad tym faktem do porządku, nie roztrząsać dalej. - Nie ma o czym mówić!

Po fizyce podchodzi do niej Zygmunt i prosi o chwilę rozmowy na osobności. Siadają w „zakątku”, czyli małej wnęce hallu, pod palmą. Wyglądają jak dwoje zakochanych w cienistej oranżerii. Magdę śmieszy sytuacja, Zygmunta nic a nic.

- Jak ty to robisz, że zawsze ci się udaje? - zaczyna Zygmunt.

„Ale mi się podlizuje” - przelatuje Magdzie przez głowę.

- Co mianowicie uważasz za udane? Historię czy fizykę?

- Nie zagaduj! Wiesz dobrze, o czym mówię. Domyślasz się na pewno, kto zwinął Jagodzie te pieniądze?

- Nie mam pojęcia.

- Bujasz!

- Ani trochę.

- I wczoraj też nie miałaś żadnych podejrzeń? Więc skąd ta pewność, że znajdziesz złodzieja i publicznie napiętnujesz?

- Zwyczajny bluff. Wiesz, ostatnio oglądam kryminały w telewizji i widocznie stąd to wyrobienie.

- Magda, czy z tobą nie można poważnie?

- Można, ale po co? Daję ci słowo, nie miałam żadnego pomysłu w związku z tym złodziejstwem, a teraz, kiedy się wszystko pięknie wyjaśniło, dochodzę do wniosku, że mam więcej szczęścia niż rozumu.

Zygmunt nie jest przekonany. Jeszcze przeżuwa i analizuje. Nie bez powodu uważany jest za najmądrzejszego chłopaka w szkole. Chodzą słuchy, że nawet dyrektor w pewnych sprawach pyta go o zdanie.

Magdzie pochlebia ten rodzaj podziwu, jaki dostrzega u Zygmunta. Magda jest trochę próżna, chociaż nie przyznaje się do tego.

Dzwonek na lekcję, trzeba kończyć rozmowę.

Biologia przechodzi bezboleśnie, a na angielskim jest wesoło jak zwykle. Rumak przepytuje dwójkowiczów, a reszta klasy rozrywa się - każdy na swój sposób.

Józwiak tłumaczy Wandzie algebrę, Urszula robi na drutach rękawiczki dla siostry, Gałęcki z Pietrzakiem rozgrywają pod ławką miniaturową partię szachów, a dokoła Jagody zebrała się grupka dziewcząt omawiających wczorajsze wydarzenie.

- Jestem pewna - wybija się szept Jagody - że dziś już nie mam po co jechać. Taki golf! Mówię wam, buzi dać. Kolor łososiowy, wytłaczana drobna kratka...

- Jaki to jest kolor łososiowy? - nie orientuje się Kazia.

- Łososiowy, to znaczy w kolorze łosiosia - tłumaczy zawile Jagoda.

- Po prostu różowy - upraszcza Mirka, narażając się tym na złośliwe docinki.

- Niektórzy nie odróżniają subtelności barw. Różowy to różowy, łososiowy to łososiowy.

- Aha! - odpowiada domyślnie Kazia.

- Czy ja wam nie przeszkadzam? - troszczy się profesor.

Dziewczęta nie są tego pewne, a dwaj szachiści doszli do kulminacyjnego punktu gry i nawet trzęsienie ziemi nie byłoby w stanie oderwać ich od szachownicy.

- Proszę kolegę Gałęckiego do odpowiedzi!

Jest to wyjątkowy objaw złośliwości u dobrodusznego zazwyczaj Rumińskiego.

Gałęcki nie od razu wstaje. Dopiero po kilkakrotnym szturchnięciu przez któregoś z kibiców podnosi się ociężale i wbijając nieprzytomny wzrok w profesora, broni się:

- Panie profesorze, zaszła pomyłka. Ja mam już trzy stopnie w tym okresie.

- Będiesz miał czwarty. Kto mi zabroni wystawić jeszcze jedną ocenę?

Profesor Rumiński nie pytał nikogo więcej niż trzy razy w ciągu okresu. Wyjątek stanowili ci, którym groził pierwiastek z czterech, czyli bomba. Gałęcki to jeden z lepszych, nie więc dziwnego, że jest zdezorientowany.

- Panie profesorze, są koledzy, którzy chcą się podciągnąć, nie będę im utrudniał.

- Tak, tak - podchwytni nieproszeni adwokaci. - Gałęcki jest koleżeński i nie chce się wyróżniać kosztem innych.

- To bardzo ładnie, bardzo ładnie. Pokaż, że naprawdę jesteś koleżeński. Przeczytasz nowy tekst i przetłumaczysz kolegom.

Gałęcki jest „korba” z angielskiego. Czytanie i tłumaczenie to dla niego „małe piwo”, ale kto by się spodziewał, że „Rumak” okaże się sadystą. Żeby przerwać rozgrywkę w takim momencie, trzeba nie mieć serca ani wyobraźni.

- Uważajcie na Pietrzaka - prosi kolegów Gałęcki. Nie dowierza przeciwnikowi.

Ślizgając się na wypastowanej posadzce staje przed profesorskim stolikiem z miną skrzywdzonej niewinności. Zaczyna czytać, idzie to nieźle. „Ma się ten anglosaski akcent” -

odpowiada chełpliwie niektórym. „Po prababci córki dziadka z pierwszego małżeństwa” - dodaje dla ścisłości.

- Dziękuję - nie pozwala mu dokończyć Rumiński. - Teraz poproszę drugiego szachistę. Tu sprawa zaczyna być poważna. Pietrzakowi grozi niebezpieczeństwo. Na okres wypadu mu słaba trójka, jak teraz obrobi bombę, to leży. Ale Gałęcki jest naprawdę dobrym kolegą.

- Panie profesorze, ja jeszcze nie skończyłem - i czyta dalej, nie dopuszczając Rumaka do głosu.

- Dziękuję, Gałęcki, możesz siadać.
- Głupstwo, dla mnie to drobiazg. English is my hobby!
Dziewczęta chichoczą, Markiewicz przychodzi z pomocą koledze:
- Tak, tak, angielski to jest jego hobby. Sam widziałem.
- Co widziałeś? - nie pojmuje Rumiński.
- Pan profesor mi nie wierzy? Ja nigdy nie kłamię, jak mówię, że widziałem, to widziałem.

Dzwonek kładzie kres dyskusji i Pietrzak się uratował. Pozwala za to Gałęckiemu wygrać partię.

Magda nie może doczekać się godziny wychowawczej. Sowa przychodzi z pewnym opóźnieniem, potem przegląda usprawiedliwienia nieobecności i załatwia szereg mało istotnych spraw, jakby ta jedna, najważniejsza wcale jej nie obchodziła.

- Pani profesorko, pieniądze się znalazły - zaczyna Jagoda.
- Bardzo się cieszę. Tego należało oczekiwać. Chyba zgodzicie się ze mną, że wczorajszy incydent zaistniał na skutek jakiegoś nieporozumienia.

„Właśnie, nieporozumienia” - Magdzie odpowiada to sformułowanie.

Sowa ma zamiar przejść nad tą sprawą do porządku. Znowu zagląda do dziennika.

„I to już koniec?” - Magda nie może pogodzić się z myślą, że wydarzenie, które tak głęboko przeżyła, które mogło się stać jej osobistą klęską, chociaż stało się zwycięstwem, zostanie skwitowane kilkoma nic nie znaczącymi zdaniami. Czeka na słowa uznania od wychowawczynie, uważa, że jeśli klasa potrafiła ją docenić, to profesorka tym bardziej. Magda chciałaby usłyszeć kilka ciepłych słów, ale na to się nie zanoszą. „Może po lekcji zechce ze mną porozmawiać?”

Sprawą dyskusji zainteresowana jest również Jagoda.

- Pani profesorko nie domyśla się nawet, w jaki sposób te pieniądze do mnie wróciły! Sowa uśmiecha się i mówi:

- Czuję, że chcesz wszystko opowiedzieć jeszcze raz i ze szczegółami.

- Właśnie, ale jeśli pani profesorki to nie interesuje...

- Przeciwnie. Jeśli ciekawie opowiesz...

Jagoda nie daje się długo prosić i usiłuje opowiadać ciekawie. Powtarza wersję wczorajszą, dorzucając garść szczegółów dotyczących osoby nieznanego.

- Poznałaś go? - pyta Sowa.

- Oczywiście! - zapewnia gorąco Jagoda. - Takiego niełatwo zapomnieć. Wysoki brunet, oczy niebieskie, klasa...

„Jak ona po ciemku odkryła u niego te niebieskie oczy?” - dziwi się Magda.

- Może to był Jaroszczyk z XI c? - włącza się Markiewicz.

- Odpada. Jaroszczyk nie dorasta mu do pięt. To był ktoś zupełnie obcy, pierwszy raz go widziałam.

- I pozwoliłaś, żeby obcy człowiek śnił ci się w nocy?

Jagoda dostaje rumieńców.

- Siła wyższa.

- Chłopaki! Musimy zaostrzyć czujność. Jakies obce typy okradają nasze dziewczęta, a potem bezczelnie śnią się im po nocach. Może to dywersja?! Obcy wywiad?!

- Głupi jesteś, Markiewicz! - Jagoda nie przejawia poczucia humoru. - Przecież on tylko pomagał komuś załatwić sprawę honorowo.

- Ale komu? To mnie najbardziej interesuje - Markiewicz lubi wydarzenia niecodzienne i tajemnicze.

- Nieważne, komu. Proponuję zakończyć dyskusję na ten temat - podsumowuje Magda.

- Słusznie - popiera ją Sowa. - Zwłaszcza że nie ma o czym mówić. Sprawa nie jest tak poważna, jak nam się zdawało. Honor klasy nie został splamiony, z czego się niewymownie cieszę. Tak, Magdo! Mamy klasę na medal. - Tu mruga porozumiewawczo do przewodniczącej, której użycie liczby mnogiej - „my mamy” - robi dużą frajdę. Magda czuje się usatysfakcjonowana, a Sowa przechodzi do spraw prozaicznych:

- Gałeczki! Profesor Rumiński skarżył się na ciebie, że mu przeszkadzałeś na angielskim.

- Ja??? Nic podobnego, pani profesorko. Jakaś pomyłka.

- To raczej pan profesor przeszkadzał Gałeczekiemu - wyjaśniają chłopcy.

- Podobno graliście z Pietrzakiem w szachy?

- Zgadza się, ale zupełnie bezszmerowo. Nie przeszkadzaliśmy absolutnie nikomu - Gałeczki nie rozumie, o co te pretensje. Zachowywał się cicho, wyrwany - czytał i tłumaczył, jak należało, o co jeszcze chodzi?

Pietrzak jest mniej pewny siebie. Nie czuje się w porządku.

- Oj, chłopcy, chłopcy! Kiedy wy spoważniejecie? Przecież to liceum, nie podstawówka. Tak macie jeszcze zielono w głowie. Czy wy myślicie poważnie o swojej przyszłości?

- Myślimy, pani profesorko! Czasem myślimy! - Padają zapewnienia z klasy.

Magda wraca do domu ze Sławką i Zygmuntem. Zygmunt chce się umówić do kina, ale we dwójkę, tymczasem Sławka ani myśli się pożegnać. Jest godzina druga po południu. Słońce się schowało i zaczyna padać śnieg. Pierwszy w tym roku. Pada coraz gęściej, wielkimi, mokrymi płatami. Magda wysuwa język i zamienia śniegowe płatki w H₂O.

- Dobrze to? - powątpiewa Zygmunt.

- Spróbuj! Do poznania tajemnic przyrody dochodzi się drogą doświadczenia.

Zygmunt nie chce próbować. Chce się umówić na wieczór. Magda domyśla się tego, ale nie ułatwia mu. Celowo zagaduje Sławkę. Plotą różne głupstwa, w końcu rozmowa z braku ciekawszego tematu schodzi na fizykę.

- Jeśli masz trudności, chętnie ci pomogę - zgłasza się Zygmunt.

„Jeszcze tego brakowało - myśli Magda. - Pod pretekstem nauczania będzie chciał zaliczyć randkę”.

- Dziękuję za intencje, nie chcę cię okradać z cennego czasu.

Okazuje się, że obrała złą taktykę.

- Taka strata czasu to dla mnie czysty zysk - Zygmunt powiedziałby jeszcze coś więcej, ale przeszkadza mu obecność Sławki. Magda widzi w jego oczach nie tylko koleżeńską chęć przyjscia jej z pomocą.

Sławka widząc, co się kroi, melduje swoje odejście.

- No, to cześć! Bawcie się! - I już jej nie ma.

To się nazywa koleżanka? Znika w najtrudniejszym momencie. Taką tylko bić.

Magda nie wie, o czym rozmawiać z chłopakiem. Z kolegą łatwiej, ale kiedy kolega przeistacza się w „chłopaka”, rzecz się komplikuje. Magda nie ma wprawy. Zygmunt również jest nowicjuszem w tej materii.

- Poszłabyś na „Wojnę i pokój”? - zaczyna w sposób klasyczny.

Następny etap to będzie słuchanie płyt. Oglądanie kolekcji znaczków pocztowych ostatnio niepopularne. Jak się ociepli, zapewne nastąpi propozycja wycieczki rowerowej. Magda zna tę kolejność z opowiadań bardziej doświadczonych koleżanek. Tymczasem do wiosny bardzo daleko, zostaje kino.

- Nie mogłeś mówić wcześniej? Sławka też by poszła.
- A bez Sławki nie wpuszczą nas na film?
- Co masz przeciwko niej?
- Nic, zupełnie nic.

Poszli na „Wojnę i pokój”. Kino to niezły wynalazek. Daje rozrywkę, czasem wzruszenie. W tym wypadku jedno i drugie.

- Szałowa babka z tej Nataszy, co? - Magda próbuje zacząć dyskusję.
- Znam lepsze. Natasza najpierw z Bołkońskim, a jak go zmiotło, to z Kuriaginem. Wolę taką, która dla byle kogo nie traci głowy.

- O Bołkońskim mówisz?
- Nie, o tym drugim.
- Ale w końcu znalazła swoją przystań i zakotwiczyła się u Bezuchowa.
- W myśl zaleceń autora.
- Autorów. Najpierw był pisarz, potem scenarzysta, wreszcie reżyser.
- Zorientowana jesteś.
- Uhm.
- Pójdiesz jeszcze kiedyś ze mną do kina?
- Uhm.
- Wiesz? Bardzo cię lubię.

Magda chciała odpowiedzieć: „Uhm”, ale dochodzi do wniosku, że byłoby to niewłaściwe. Odzywa się więc wymijająco:

- O key.

Może to znaczyć dużo albo nic. Są właśnie pod domem Magdy i najlepsze rozwiązanie to powiedzieć sobie: Cześć!

III

Pani Irena Sowińska, zwana potocznie Sową, bo to i krócej, i ładniej (wiadomo: Sowa - symbol mądrości), jest nauczycielką bardzo lubianą i powszechnie szanowaną. Dlaczego? Ponieważ jest pedagogiem z prawdziwego zdarzenia.

Lekcje prowadzi ciekawie, inicjuje żywe dyskusje, posługuje się przeczycami, udostępnia uczniom reprodukcje dawnych druków i rękopisów, dając możliwość konfrontacji starego z nowym. Włącza do planu zajęć oglądanie programów telewizyjnych, a ponadto miewa „pomysły”.

Ostatnio zamarzyło się jej wydawanie gazetki uczniowskiej, która wychodziłaby cyklicznie (według pobożnego życzenia pani profesorki - co miesiąc). Rzuciła hasło: „Wszyscy jesteśmy pisarzami”. Chwyciło. Pomysł w zasadzie do zrealizowania, gdyby nie trudności obiektywne, jak na przykład brak papieru. Ale od czego jest komitet rodzicielski? Między innymi od pokonywania trudności obiektywnych.

Tak więc, kiedy udało się zdobyć papier i obietnicę odbicia kilkudziesięciu egzemplarzy gazetki na powielaczu, należało ustalić zawartość pierwszego numeru. Profesorka Sowińska zorganizowała sobie grono redakcyjne z klas, w których uczyła polskiego. Nazbierała chyba piętnaście osób i oznajmiła:

- W wasze ręce powierzam los przyszłego wydawnictwa. Piszcie o szkole, o sobie, o wszystkich sprawach, które was interesują i mogą wywołać żywy oddźwięk u koleżanek i kolegów.

- O sporcie można? - upewnia się Markiewicz, który razem z Magdą i Zygmuntem reprezentuje klasę Ib.

- Można.

- A kącik humoru?

- To zależy od was. Tylko uprzedzam lojalnie, że dowcipy mają być na poziomie.

- Pani profesorka w nas wątpi? - Markiewicz staje na baczność i podnosi dwa palce w górę. - Ślubuję uroczyście, że nikt się nie będzie nudził.

Sowa wie, że dowcipkowanie to specjalność Marka, ale chodzi jej o coś innego. Stawia więc kropkę nad i:

- Dowcipy mają być cenzuralne.

- Niestety - wzdycha Markiewicz. - Trzeba wziąć pod uwagę ten drobny, aczkolwiek uciążliwy warunek.

- Zygmunt opracuje krzyżówkę - proponuje Magda. - Widzę, jak mu się oczy świecą do tej roboty.

- Doskonale - zgadza się Sowa. - Ale wasze propozycje dotyczą na razie ostatniej strony. Humor, krzyżówki czy wiadomości sportowe traktujemy zazwyczaj jako deser po czymś poważniejszym. Co proponujecie na pierwszą stronę?

Propozycji jest dużo. A więc: kącik poezji, reportaż, wywiad z ciekawym człowiekiem, wspomnienia absolwentów itp. Duch wstępuje w młodocianych redaktorów. Rozdzielają między sobą tematy.

Zygmunt jest niezadowolony. Ułożenie krzyżówki nie satysfakcjonuje go. Działalność na ostatniej stronie nie jest szczytem jego marzeń. Może ją potraktować jedynie jako produkcję uboczną. Natomiast pali się do artykułu poważnego, zaangażowanego. Sowa go popiera. Zna Zygmunta nie od dziś i wie, na co go stać.

Magda podejmuje się zrobić sprawozdanie z wycieczki w Góry Świętokrzyskie. Co prawda wycieczka odbyła się na początku października, ale pamięta ją doskonale, a ponadto wesprze się na przewodniku, który przezornie kupiła. Magda lubi wycieczki szkolne. Kiedy projektowali z wychowawczynią trasę, wszyscy głosowali za tym, żeby było dużo jechania, a mało zwiedzania. Sowa udawała zgorszoną:

- Nie mówicie tego poważnie - wmawiała im. - Celem każdej wycieczki jest zwiedzanie, poznawanie zabytków, poszerzanie zasięgu wiedzy, a dojazd jest tylko nieuniknioną koniecznością.

- Zgadza się, pani profesorko, a ponieważ cel na ogół uświęca środki, w tym środki lokomocji także, więc my najlepiej czujemy się w autokarze - wyraził opinię klasy Markiewicz.

Miał sporo racji. Najweselej jest w czasie jazdy. Atmosfera swobodna, niewymuszona, można śpiewać, jeść, uprawiać gry towarzyskie. Człowiek czuje się jak na wagarach, a jednocześnie sumienie go nie uwiera. Relaks po rżęsy.

W takiej atmosferze wiedza o ciekawych zabytkach łatwiej wchodzi do przeładowanych nauką łepetyn.

Magda postara się ciekawie załatwić sprawozdanie z wycieczki. Najpierw tytuł: „Wycieczki kształcą”. Co prawda, już ktoś przed nią zauważył, że podróże kształcą, ale to nie to samo. Podróż jej zdaniem charakteryzuje się tym, że jest czymś koniecznym, przymusowym, gdy tymczasem wycieczka to coś absolutnie dobrowolnego, relaksowego. Poza tym nigdzie jeszcze nie spotkała tytułu: „Wycieczki kształcą”, ma więc prawo uważać się za autorkę tego zwrotu.

No to tytuł już jest! Wymyśliła go po drodze ze szkoły do domu. Zauważyła, że najgenialniejsze pomysły przychodzą jej do głowy w okolicy wiaduktu kolejowego, na granicy między Piasecznem i Zalesiem. Obojętne, czy jedzie autobusem, czy posuwa pieszo. Chociaż ma bilet miesięczny na autobus, czasem robi sobie spacer. Dla relaksu.

Dojazd do szkoły to jest właśnie podróż, która czasem kształci. Poznaje się ludzi oraz konduktorów. Z jednym Magda walczyła na trasie Piaseczno-Wiadukt o skasowanie biletu i zwyciężyła. Tuż, tuż przy Wiadukcie. Zaczęło się od tego, że na jej zapewnienie: „miesięczny”, pan konduktor zareagował nieufnością i zażyczył sobie okazania biletu. Jego prawo. Magda z dość dużym wysiłkiem odszukała miesięczny, bo to i tłok, i huśtawka na kocich łbach, a pan konduktor spojrział niedbale i powiedział: „dziękuję”.

- O nie, proszę pana, pan będzie łaskaw przedziurkować - nie darowała mu.
- Kasuję tylko jednorazowe.

Magdę rozgniewało. Nie po to wyciągała bilet z takim mozołem, żeby chować nie skasowany.

- Ja proszę o przedziurkowanie - upierała się przy swoim.

Konduktor spojrział na nią złym wzrokiem, życzył jej zapewne wszystkiego najgorszego, i odszedł dalej, udając, że nie widzi jej wyciągniętej ręki. Nie wiedział, nieszczęsny, że trafił na twardą sztukę.

Magda zwróciła się do stojącego obok młodzieńca, znanego z widzenia, i poprosiła:

- Pan będzie tak dobry podać mój bilet do skasowania.

Młodzieniec znany z widzenia był „tak dobry” i pan konduktor dla świętego spokoju przedziurkował. W samą porę. Akurat na Wiadukcie wsiadł kontroler i pierwszą osobą, od której zażądał okazania biletu, była Magda. Ma się te przecucia. Teraz pan konduktor wszystkim kasuje, a Magda mówi mu: „dzień dobry”! Biedak cierpi niewymownie, kiedy musi odpowiadać.

Tak więc Wiadukt stał się miejscem udanych pomysłów. Teraz, kiedy jest już tytuł do sprawozdania, reszta jakoś poleci. Magda czytała wypowiedź Cole Portera, tego od operetki: „Kiss me Kate”. Otóż on każdy swój utwór zaczyna od wymyślenia efektownego tytułu. Może to niezła metoda? Zobacz się.

Przebiega myślą trasę wycieczki: Kielce, Słupia Nowa, Św. Krzyż, Łysica, Chęciny, Oblęgorek. Będzie o czym pisać, po obiedzie weźmie się do roboty. Na jutro tylko dwa zadania z fizyki i życiorys Krasickiego ustnie. Z Krasickim jest prawie „na ty”, a nad fizyką popracuje po dzienniku. Zauważyła, że nauki ścisłe lepiej trawi po przystawkach humanistycznych, dlatego zawsze w pierwszej kolejności odrabiała historię i języki, a wszelkie „matmopodobne” na szarym końcu. Stąd zapewne efekty ocen: polski - pięć, historia, angielski i rosyjski - po cztery, o reszcie lepiej nie mówić.

No cóż! Nie jest omnibusem jak Zygmunt, który nie ma ani jednej trójki. Ktoś w końcu musi być tym wzorem, ideałem ucznia. Padło akurat na Zygmunta. Zdarza się. Żeby chociaż był kujonem, podlizuchem czy kimś podobnym. Ale nie! Jest koleżeński, uczynny i w ogóle cholernie pozytywny. W przekroju klasy trochę razi, trochę odstaje od przeciętnej.

Na przykład taki Gałeczki. Też chłopak zdolny i inteligentny, a potrafi zdobyć się na zgryw i z profesora zrobić balona, nie siedzi z nosem w książce.

Albo Markiewicz! Klasowy wesolek i chyba najdowcipniejszy chłopak w całej szkole. Szkoda, że nie wszyscy profesorowie go doceniają.

Zygmunt jest jak na gust Magdy stanowczo za poważny. Jakby miał co najmniej osiemnaście lat. I niech on sobie nie myśli, że Magda poprosi go o pomoc w fizyce. Przenigdy. Raczej zwróci się do ojca, chociaż unika takiej ostateczności, bo ojciec zaczyna nauczanie od podstaw, a ona woli pi razy oko, tylko na jedną lekcję.

Tak więc zrobiwszy plan dnia, Magda zbliża się do domu i przechodząc koło cieplarni sąsiadów przypomina sobie, że czas najwyższy zamówić kwiaty na Dzień Nauczyciela. Kwiaty - drobiazg, ale jako przewodnicząca samorządu szkolnego musi przemówić na uroczystym apelu.

- Powiesz parę ciepłych słów - zaproponowała Sowa. - Dla ciebie to drobnostka.

Nieprawda. Magda ma zawsze wielką tremę. Denerwuje się na kilka dni naprzód, ale w kulminacyjnym momencie wypada na ogół dobrze, stąd powszechny sąd o niej, że nadaje się do publicznych występów.

„Trzeba będzie napisać przemówionko i wbić sobie do głowy” - myśli bez entuzjazmu o każdym dodatkowym obowiązku.

Sowa dopuszcza możliwość czytania z kartki, wielu mówców praktykuje tę metodę, ale Magda się jeszcze czymś takim nie splamiła. Czeka ją więc dziś nadprogramowa robota.

Na szczęście Janusz ma znowu grę w terenie („Że też im się chce o tej porze roku uczęszczać w plener”). Nie będzie więc przeszkadzał. Ile zamieszania potrafi robić w domu jeden młodszy brat, wiedzą tylko ci, co posiadają takowych. A już brat Magdy posiada szczególnie talent do siania zamętu. Albo słucha radia czy magnetofonu, albo gra na gitarze z akompaniamentem przytupu, albo gwizdże. I wszędzie go pełno.

A rodzina się cieszy, że taki muzykalny. Cóż z tego, że wypędzają go do łazienki, żeby Magdzie nie przeszkadzał? Mieszkanie jest akustyczne i nawet wata w uszach nie załatwia problemu.

Na obiad jest zupa ogórkowa i kotlet mielony z marchewką. Rozpacz! Czy po takim menu można wymagać od siebie natchnienia? Magda nie lubi zupy ogórkowej, kotlet zaledwie toleruje, a marchewki wprost nienawidzi. Patrzy z podziwem na Janusza, który zmiata wszystko po kolei z talerza i nawet nie mlaszcze, co jest u niego objawem stanu wyjątkowego.

- Cywilizujesz się, bracie! - robi uwagę między jedną a drugą łyżką zupy.

- Na przykład?

- Nauczyłeś się konsumować bezszmerowo. Gratulacje!

Janusz robi przesadnie grzeczny ukłon głową i przełykając w pośpiechu ostatnie kęsy mówi nieco niewyraźnie:

- Dziękuję ci, o czcigodna, że raczyłaś docenić mnie, nędznego robaka, a twoje piękne oczy... ech, co ja gadam, chyba zwariowałem...

- I ja tak myślę. Wal śmiało i odważnie, o co chodzi.

Magda podejrzewa, że brat czegoś od niej potrzebuje. On zawsze się tak wygłupia, żeby nie być grzecznym w sposób normalny. Jakby poprawne stosunki z siostrą były rzeczą nader wstydliwą. Ciekawe, co dziś pragnie od niej wyłudzić? Ostatnio, idąc na imieniny do koleżanki, pożyczył od Magdy bluzkę w kwiatki i z tej okazji był co najmniej przez dwie godziny uprzedzająco grzeczny. „Czego on teraz może potrzebować?”

- Zdawało mi się, że idziesz dzisiaj „w charciki”. Czyżbym była w błędzie?

- Nie jesteś w błędzie, o czcigodna. Twoje domysły są słuszne. Mam dziś bieg na przodownika.

- Nie rozumiem wobec tego, czego ode mnie potrzebujesz? Nie założysz przecież do munduru czapki z pomponem ani apaszki w grochy.

- Twoja domysłowość jest wielka i niepojęta. Jak doszłaś do tego, że nie potrzebuję wyżej wymienionych fatałaszków?

- Załatwiał sprawę i pryskaj. Mój czas jest dziś wyjątkowo cenny. Mam mnóstwo roboty.

- Nie wychodzisz nigdzie? - w głosie Janusza daje się wyczuć radość.

- Bo co?

- Pożycz tych czerwonych kaloszy.

- Zwariowałaś? Do cyrku idziesz czy na bieg? Harcerz w czerwonych kaloszach, na obcasie! Tego jeszcze nie było.

- Było. Ostatnio chodzi się wyłącznie w czerwonych. Nie jesteś w kursie, siostra.

- Pokaż mi chociaż jednego, to może uwierzę i dam się złamać.

- Wszyscy mają, tylko ja zawsze do tyłu.

Magda spogląda na mamę. Mama mruga porozumiewawczo. Wiadomo, co znaczy takie mruganie: „pożycz mi, córko!” „Że też temu maminsynkowi wszystko wolno! Chyba trzeba mi dać te kalosze, bo jeszcze gotów się rozmyślić i nie iść na bieg”. Byłaby to katastrofa. Niech bierze i idzie. Co za młodzież! Czy Magdzie śniły się w ósmej klasie czerwone kalosze do pół łydki? Chodziła skromnie w krótkich, brązowych, zasuwanych na zamek błyskawiczny, który się ciągle psuł.

Teraz, kiedy osiągnęła to wymarzone modne obuwie, musi się dzielić z tym pętakiem. Jemu się naprawdę w głowie przewraca, ale niech tam!

- Bierz i przestań mnie uszczęśliwiać swoją obecnością.
- Dzięki! - Janusz jest szczęśliwy, że tak łatwo poszło.
- Ale zwrócisz umyte, uprzedzam lojalnie.
- Mówisz poważnie?
- Jak najbardziej.
- To się nazywa siostra!
- Czcigodna siostra, zapomniałeś uwzględnić.

Janusz nie podtrzymuje dyskusji. Ma, co chciał, więc nie musi wysilać się dłużej na uprzejmość. Słysząc gwizdanie na ulicy.

- Na ciebie gwizdzą? - Magda wygląda przez okno. Przy furtce stoi dwóch harcerzyków. Jeden w czerwonych kaloszach, drugi nie.

- Nie wszyscy upadli na głowę. Jak się nazywa ten w pionierkach?
- Hipo.
- To imię czy nazwisko?
- Pseudonim.
- Wygląda jak prawdziwy mężczyzna.
- Mięczak, niezaradny.

Janusz wychodzi, mama też. Magda zostaje sama w domu. Ojciec wróci późno, jest wymarzony spokój. Robi się szaro, zaczyna padać śnieg. Należałoby zapalić światło i zabrać się do tego przemówienia.

Ale Magdzie się nie chce. Siedzi przy oknie i patrzy, jak zwiędłe liście okrywa delikatna biała powłoka. Smutno sterczące suche badyle nabierają wyrazu i subtelniejszego rysunku. Zaczyna się zima. Odpoczynek dla przyrody, a dla ludzi okres wzmożonego wysiłku. Ponieważ uczeń to też człowiek, więc miesiące zimowe oznaczają dla niego intensywną pracę.

Żeby odpędzić od siebie myśl o czekających obowiązkach, Magda zaczyna rozważania na tematy oderwane: „W co się ubrać na «andrzejki»?” Robi przegląd swoich ubiorów. Czarna spódnica wygląda znośnie, nie trzeba jej nawet skracać, bo urosło się akurat do potrzeb mini. Wypadałoby tylko zmienić klamrę przy pasku na dużą, metalową. Drobiazg. Zmieni się. Gorzej z bluzką. Przydałaby się jakaś szykowna bluzeczka z długim rękawem. Byle nie golf. Jagoda lansuje golfy na wszelkie okazje, a zdaniem Magdy jest to ubiór sportowy, nie na zabawę.

Co innego chłopcy. Oni wyglądają w golfach nieźle. Wprawdzie dyrektor woli uczniów w strojach organizacyjnych, to znaczy biała koszula i krawat, ale w tych sprawach jest elastyczny i skłonny do ustępstw.

Myśl o nowej kreacji nie daje Magdzie spokoju.

- Otwiera szafę i próbuje znaleźć jakiś ciuch mamy kwalifikujący się do przeróbki. Mama ma miękkie serce i wszystko można u niej wyprosić. Nie widać jednak nic odpowiedniego. Natomiast w bieliźniarce już od roku obija się jakaś seledynowa kora w białe grochy. Mama przewidziała ją dla siebie na piżamę, ale czy to nie grzech marnować taaaki materiał na ubiór do spania? Grochy to najnowszy szaf klasy Ib. Magda zarzuca materiał na ramię i robi przegląd w lustrze.

„Fantastyczne!” - decyduje i dochodzi do wniosku, że mama nie musi spać akurat w tych grochach. Nie ma gwarancji, że seledynowa kora zapewni jej piękniejsze sny niż coś innego, za to Magdzie przyda się bardzo. Przede wszystkim do lepszego samopoczucia.

Bluzka będzie wpuszczana w spódnicę, zapinana na białe guziki, a wzdłuż zapięcia i dokoła szyi - plisowana falbanka. Taką falbanką obszyje się również szeroki mankiet u rękawów. Model jak od Diora. Albo i lepszy! Tylko czy mama zdąży uszyć na „andrzejki”? Jak córka ładnie poprosi, to mama na pewno się postara. Czego się nie robi dla dziecka?

Magda zastanawia się przez chwilę (ale niezbyt długą), czy dostatecznie rewanżuje się rodzicom za wszystko, czego doświadcza? Raczej nie. Przyjmuje wszelkie świadczenia jako rzecz normalną, samą przez się zrozumiałą i należąca jej się nieodpłatnie. To przecież obowiązek rodziców - dać jej przyzwoite odzienie i wikt oraz zapewnić odpowiednie warunki rozwoju. Wewnętrznego i zewnętrznego. Wszystko to ma zapewnione, zwłaszcza rozwój zewnętrzny, skoro wyrosła „ponad przeciętną”, metr siedemdziesiąt trzy. Jest o centymetr wyższa od ojca. Nie ma powodu do radości! Niby jest równouprawnienie, a jednak na wysokie dziewczęta wszyscy spoglądają niechętnie. Co innego chłopak. Im wyższy, tym lepszy.

Magda czeka z niecierpliwością, kiedy Janusz ją przerośnie. Na razie ma metr sześćdziesiąt osiem, ale odgraża się, że za rok ją dogoni. Niech dogoni. Skończą się drętwe mowy różnych zaprzyjaźnionych pań: „To córeczka najwyższa w rodzinie”.

Mama racjonalnie ich odżywia. Wierzy tylko w witaminy i mleko, a wszelkie węglowodany i białka wydziela po aptekarsku. Nałogowo pasie rodzinę zieleniną i potrawami mlekopodobnymi, a słodczyce uwzględnia w małych ilościach. Każdy ma jakiegoś kota!

Czym na przykład Magda może zrewanżować się rodzicom? Uczy się znośnie, czasem pozmywa naczynia po obiedzie, o kwiatach na imieniny i Dzień Matki pamięta, czego jeszcze można od niej wymagać? Że czasem burknie coś opryskliwie? No to co? Nerwy! Że powinna trzymać je na wodzy? Łatwo powiedzieć! Teraz takie czasy, że młodzież jest nerwowa.

Ojciec twierdzi, że za dużo big-beatu, mama, że za dużo rozmyślań o fatalaszkach. Każdy swoje. Jak oni mogą żyć bez „Czerwonych Gitar” czy „No to co”? W tej chwili jedynie muzyka młodzieżowa trzyma Magdę przy życiu. A ciuchy? Czy rzeczywiście tak dużo czasu poświęca temu problemowi? Po prostu nie chce być „do tyłu” i to wszystko.

Rodzice nie mają pojęcia o życiu. Doceniliby Magdę dopiero wtedy, kiedy Jagoda byłaby ich córką. Z jaką niechęcią traktuje ona fartuch szkolny. Zawsze postara się uwidocznić jakiś atrakcyjny szczegół garderoby, jak kołnierzyk, szalik jedwabny czy extra spódniczkę wystającą spod niedbale zapiętego fartucha. Jagoda to potrafi się stroić! Tyle że nie jest ona autorytetem dla Magdy.

„Trzeba mamę zręcznie zażyć w sprawie tej bluzki. Na przykład obiecać jakąś pomoc domową, powiedzmy ugotowanie obiadu w niedzielę”.

W pierwszej klasie gotowanie jest przedmiotem obowiązkowym i w pierwszym okresie dziewczęta zaliczyły już cztery obiady. Magda wybierze jakiś zestaw najmniej pracochłonny i zaimponuje mamie swoimi umiejętnościami kulinarnymi. O key!

Na wspomnienie szkolnych obiadów robi się głodna. Dochodzi do wniosku, że nie od rzeczy byłoby posilić się trochę. Myszkuje po kredensie. Nic ciekawego nie znajduje. W lodówce też pustki. Trochę serwolatki, dwie puszki dorsza w pomidorach, ser żółty i smętne resztki chudego twarogu. Nic z tych rzeczy nie zachęca do jedzenia. Jedynie twaróg można by wykorzystać na racuszki, ostatni popis kulinarny Ib. Podobno były świetne. Magda nie próbowała. Nie starczyło dla wszystkich. Zaprosiły wychowawczynię, pana od wuefu, bo się akurat napatoczył, i kilku kolegów. Wszyscy chórem chwalili racuszki, a Markiewicz bezwstydnie prosił o jeszcze, argumentując, że jego organizm rośnie i wymaga zwiększonej ilości kalorii.

Decyzja w sprawie twarogu zostaje podjęta. Magda włącza radio na drugą część „popołudnia z młodością” i przy akompaniamencie rytmów młodych zaczynają powstawać kulinarne delicje.

Mama po powrocie usiłuje burczeć: „Kiedy ja za próg, to ty zaraz coś kombinujesz”, ale brzmi to nieszczerze, bo racuszki są wyjątkowo udane i smakują mamie.

Projekt bluzki przechodzi po pewnych niezbędnych ceregielach. Żeby córka nie myślała, że cokolwiek sobie zamarzy, to zaraz jej się spełnia.

Należy wreszcie wziąć się za przemówienie. Nic już nie może usprawiedliwić odkładania tej czynności w nieskończoność.

„Drodzy profesorowie!” Nie, niedobrze. „Kochani profesorowie!” Tak lepiej. „Kochani profesorowie...” i co dalej? Po racuszkach wcale nie myśli się jaśniej niż po ogórkowej. Magda odkłada kartkę. Jutro napisze. Może w nocy wpadnie na jakiś genialny pomysł. Poduma trochę przed snem i przyśni jej się sensowne zagajenie.

Zresztą najwyższy czas na dziennik. Włącza telewizor. „Och, żeby Kozera czytał wiadomości!” Dziewczyny szaleją za nim i w te dni, kiedy jest jego dyżur, przed telewizorami komplet.

Odbiornik nagrzewa się powoli. Najpierw z ciemnego jeszcze ekranu wydobywa się dźwięk. Trochę muzyki i głos męski. Ale to nie Kozera. Magda zna wszystkich lektorów i po głosie potrafi powiedzieć, który jest który. To zresztą nic trudnego, jest ich niewielu.

Trudniej połapać się w korespondentach zagranicznych, zwłaszcza że na drodze kablowej głosy ich ulegają zniekształceniu. Ale i tu trafiają się Magdzie strzały bez pudła. Tego głosu jednak nie udaje się jej zidentyfikować.

Prawy górny róg ekranu zaczyna się rozjaśniać i widać szczupłą męską sylwetkę kreślącą coś na planszy szybkimi, wprawnymi ruchami.

„Lengren - świta Magdzie. - Już i satyra przeszła na usługi dziennika?”

Nie, to jeszcze nie dziennik. Program jest opóźniony, bo przeciągnęło się sprawozdanie sportowe, w związku z czym telewizja znajduje się na etapie „dobranocy”.

Magda z przyjemnością przygląda się graficznym improwizacjom Lengrena, przerzucając jednocześnie przewodnik po Górach Świętokrzyskich. Takie nazwy, jak: Słupia Nowa, Św. Katarzyna czy Chęciny, nie są już dla niej jedynie pustymi dźwiękami, nazwami geograficznymi, punktami na mapie. Widzi je w wyobraźni, kojarzy miejsce ze wspomnieniami, porządkuje wrażenia.

Przypomina jej się historia z winem albo z duchem. O tych rzeczach nawet Sowa nie wie.

Dziewczęta dostały w schronisku pokoje czteroosobowe, a chłopcy jedną dużą salę na dwadzieścia łóżek. Nie wszyscy byli z tego zadowoleni. Mniejsze pomieszczenia są zawsze wygodniejsze. Zwłaszcza jeśli chce się realizować pomysły niezupełnie „czyste”.

Po wyjściu z Muzeum Świętokrzyskiego w Kielcach pan Sumik, który razem z Sową opiekował się wycieczką, stwierdził brak dwóch chłopców. Pietrzaka i Gałęckiego.

- Oni zaraz wrócą - próbował tłumaczyć kolegów Markiewicz. - Poszli wysłać widokówki do rodziny.

- Bez pozwolenia? - zgorszyła się Sowa.

- Pójdziemy ich poszukać - zgłosiły się Magda ze Sławką.

- Tylko wracajcie najdalej za dziesięć minut. Wszyscy wsiedli do autokaru, a dziewczęta udały się na poszukiwania. Idą, idą, a tu ani sklepu z widokówkami, ani kolegów. Zdecydowały, że czas wracać, i wtedy zobaczyły chłopców wychodzących ze sklepu winno-owocowego. Magdzie się to nie podobało, zwłaszcza że Pietrzak miał prowokacyjnie wypchaną kurtkę z lewej strony.

- Co tu dają? - zapytała z pozorną obojętnością. Koledzy nie potrafili ukryć zmieszania. Pierwszy pozbiierał się Gałęcki.

- Zależy, ile masz w kieszeni.
- Ja do waszych kieszeni nie zaglądam, ale i tak wiem, co kryjecie.
- Naprawdę, widać? - przestraszył się Pietrzak.
- Na odległość. Każde dziecko pozna. Pozwól, że zgadnę: whisky czy koniak?

Magda nie знаła się na trunkach. Nie wiedziała, co się pija, bo w domu na ogół nie bywa nic innego poza winem domowej roboty, preparowanym przez babcię. Na filmach natomiast piją najczęściej whisky albo koniak. Wymieniła więc te dwa rodzaje z ironią, która miała tuszować brak rozeznania. Chłopcy nie wykazali poczucia humoru.

- Zwyczajny wermut - tłumaczył z całą powagą Gałęcki.
- Zapraszamy nas na degustację? - pognębiła ich Sławka.

Zmieszali się nieprzyzwoicie i zaczęli coś bąkać, że nie mają odwagi pokazać się z tą butelką w autokarze, skoro tak bardzo rzuca się w oczy...

- Wyrzuć do kosza albo... - zaczęła Magda.
- Do kosza? - Gałęcki był zgorzony taką propozycją. - Wolę dać pierwszemu lepszemu człowiekowi. - Na dowód, że nie żartuje, zwrócił się do przechodzącego mężczyzny:
- Proszę pana, mamy zbyteczną butelkę wermutu, może panu się przyda?

Człowiek obrzucił go przerażonym spojrzeniem i szybko oddalił się bez słowa.

Następny zaczepiony przechodzień, chłopak w ich wieku, spojrzał na Gałęckiego nieufnie, ale zdobył się na odpowiedź:

- Nie znam kolegi. - I też nie skorzystał.

Rozmowom tym przysłuchiwała się pewna starsza pani, która tak zreferowała sprawę drugiej starszej pani:

- Co za młodzież! W biały dzień chodzi pijana i zaczepia ludzi. Że też milicja nie weźmie się za takich.

- Pyskajmy stąd, bo zaczyna się robić głupio - zarządziła Magda, pakując tę nieszczęsną butelkę do swojej torby.

- Ale macie rozległe koligacje! - przywitał ich Markiewicz. - Ile tych widokówek wysłaliście?

- Siedemnaście - odparł bez namysłu Gałęcki.
- Ja też chcę wysłać kartę do rodziny - przypomniało się komuś.
- To bardzo daleko - odradzała Magda.
- Proszę się nigdzie nie rozchodzić! - zdecydowała Sowa.

Wieczorem Gałęcki kręcił się po korytarzu przed pokojami dziewcząt. Magda dzieliła kwatery z Heleną, Sławką i profesorką Sowińską. Sowa właśnie załatwiała jakieś formalności w recepcji. Helena była w umywalni, a Magda ze Sławką przygotowywały kawalek chłopakom.

- Co tu zgubiłeś? - usłyszały głos Heleny wracającej z łazienki.
- Nie wiesz przypadkiem, gdzie można uchwycić Magdę? - To był Gałęcki.
- Nawet jeśli wiem, to nie powiem - droczyła się Helena.
- Nie bądź taka, zawsze jesteś sympatyczna.
- Ale ją czaruje - zauważyła Sławka.

Ich zadanie było już na ukończeniu. Helena jeszcze przez chwilę wojowała z Gałęckim, a potem Magda wyszła i wręczyła mu torbę, zaznaczając, że do zwrotu. Helena ociągała się z odejściem, więc Gałęcki wskazał głową w kierunku piętra, wyznaczając tam spotkanie w celu opróżnienia butelki.

Magda odkiwnęła mu na dowód, że przyjmuje zaproszenie, i najspokojniej w świecie zaczęła przygotowania do snu. Potem wróciła Sowa i nie mogła pojąć, dlaczego one obie ze Sławką nie śpią, tylko chichoczą pod kocami i chichoczą.

Do dziś nikt nie wie, że Gałęcki z Pietrzakiem upijali się kompotem Sławki, a zawartość butelki została przelana do termosu palacza ze schroniska. Magda spodziewała się, że koledzy ją znienawidzą, ale nic podobnego.

A z duchem to było tak:

Prawie wszystkie dziewczęta spały w piżamach, tylko Mirka miała długą nocną koszulę w różyczki. Bardzo niezręcznie czuła się w tym przebraniu, więc nie szła do umywalni razem ze wszystkimi, tylko czekała, aż dziewczęta usną, wtedy wymykała się po cichu, węsząc, żeby jej nikt nie nakrył.

Po pierwszej nocy Helena skarżyła się, że w tym schronisku straszy. Nikt się nie przejmował, wiadomo, Helena jest przewrażliwiona. Drugiej nocy było podobnie. Dziewczyna usnęła dopiero, kiedy zaczęło się rozwidniać, i o siódmej nie można jej było dobudzić. Za trzecim razem Magda postanowiła czuwać i wyświetlić przyczyny przestachu koleżanki. Czekala i czekała, aż oczy się jej zaczęły zamykać. Sławka pochrapywała, Sowa też spała, tylko Helena wierciła się na łóżku, w oczekiwaniu na „ducha”.

Nagle drzwi się otworzyły i weszła jakaś wysoka, chuda postać w długiej powłóczy szacie, usiadła na łóżku Heleny, które stało tuż przy wejściu, a że Helena jest mikroskopijna, więc jej postać wyglądała jak puste. Nocna mara wyciągnęła flakonik z jakimś płynem i zaczęła sobie wcierać go we włosy.

Magda pociągnęła nosem: „Woda pokrzywowa - poznała po zapachu. - Która to się tak balsamuje?” - zaczęła rozmyślać i współczuła Helenie, umierającej zapewne ze strachu.

- Hm, hm - chrząknęła znacząco.

- To ty, Jagoda? Nie śpisz? - dał się słyszeć szept Mirki.

- Śpię, śpię - Magda usiłowała naśladować piskliwy głosik Jagody. - Przyszłaś pomieszkać z nami?

Mirka była zrozpaczona:

- Znowu zabłądziłam. Myślałam, że dziś już trafiłam do swojego pokoju.

- Czego się włóczysz po nocach? Nie możesz tego makijażu skutecznie wcześniejsz? Biedna Helena już trzecią noc przez ciebie nie śpi.

- Serio? Przepraszam cię, mała! Byłam już dziś w dwóch pokojach, wszystkie łóżka zajęte, a tu patrzę: pusto, więc ładuję się na śmiałego, myślałam, że to moje łóżko. Helena, żyjesz?

- Jeszcze żyję - odpowiedziała słabym głosem zagadnięta.

- Zaprowadzę cię do twojego pokoju - zaofiarowała się Magda.

- Nie, nie trzeba.

- Co mi szkodzi, zaprowadzę cię, po co masz jeszcze innych straszyć.

Na korytarzu paliła się mała żarówka i w jej świetle wysoka, chuda postać Mirki obleczona w falbaniastą koszulę w kremowe różyczki wyglądała naprawdę jak zjawisko nie z tej ziemi. Mirka nocowała o trzy pokoje dalej, wejście znajdowało się we wnęce, podobnie jak u Magdy, więc o pomyłkę nie było tak trudno, ale żeby aż trzy razy?

- Nie mów nikomu, że mnie widziałas w takim czymś - prosiła Mirka wskazując kciukiem drobne różyczki.

- Mogiła - zapewniła ją Magda.

Ciekawe, czy Helena nadal wierzy w duchy, czy już jej przeszło?

W każdym razie ani wino, ani duchy nie nadają się do gazetki szkolnej. Szkoda.

Dziennik się kończy. Już Wicherek mówi o pogodzie. Pokazuje jakiegoś ziemniaka giganta, przypominającego kształtem niezdarne misia. Dziękuje komuś za eksponat. Do Magdy niewiele dotarło z dzisiejszego dziennika. Pewnie dlatego, że Kozery nie było.

Janusz wrócił właśnie z biegu. Opowiada mamie, jakie miał zadania. Najwięcej punktów otrzymał za „samarytankę”.

- Co? Opatrywałeś rany? Przecież nie znosisz widoku krwi.

- Kto? Ja? To ty przecież mdlejesz, kiedy zrobisz sobie kuku w paluszek.

- No więc, jak ci poszło opatrywanie rannych?

- Jakich rannych? Nie byłem na wojnie, tylko na biegu. Mieliśmy ćwiczenia teoretyczne.

- Na przykład?

- Na przykład zrobienie noszy, na których ewentualny denat byłby przenoszony do punktu sanitarnego.

- Więc jednak był denat, kogo wybraliście?

- Ale żyła z ciebie! - Janusz zaczyna tracić cierpliwość.

„Pewnie jest głodny” - myśli Magda i podsuwa mu ostatniego racucha. - Co to za trucizna? - brat przejawia brak zaufania do wszelkich nowości kulinarnych, ale apetyt mu dopisuje.

- No i co? - Magda chce usłyszeć zdanie na temat racucha, ale Janusz kontynuuje opowiadanie o swoich wyczynach:

- No i nic. Nie chodziło o denata, dostałem zadanie zmagajstrowania noszy w warunkach jak najbardziej prymitywnych. Las. Wszędzie pusto i głucho, do ludzi daleko, ale harcerz nie trąba, poradzi sobie. Bierze dwa kije, łączy je ze sobą w odległości pół metra i nosze gotowe.

- Czym łączy?

- Czym się da. Sznurem, jeśli go posiada, chustami związanymi węzłem płaskim, mundurem albo kurtką.

- Jak to mundurem? - wyobraźnia Magdy słabo pracuje.

- Aleś ty zielona! - niecierpliwi się Janusz. - Mundurem albo kurtką najłatwiej.

Wsadzasz jeden kij w jeden rękaw, drugi w drugi, zapinasz guziki i z głowy. Miałem najlepszy czas: dwie i pół minuty, łącznie z szukaniem kijów.

- I takie nosze wytrzymują ciężar człowieka?

- Nie wiem. Dla pewności nie próbowaliśmy nikogo kłaść. Teoria ważna, nie praktyka.

Liczy się myśl twórcza!

Mama jest ciekawa, co jeszcze robili. Robili dużo rzeczy. Przechodzili po linie przez rzekę...

- Co za pomysły? Mógł się któryś utopić.

- Fizyczna niemożliwość. Lina była przeciągnięta koło tej pochyłej wierzby, wiecie gdzie? Od upustu na lewo. Tam woda sięga po szyję, jeśli stanąć na głowie.

- Musieliście rzekę forsować po linie? Nie łatwiej było przejść przez most, nad upustem? - Magda usiłuje być złośliwie dowcipna, ale Janusz nie podtrzymuje dyskusji.

Pokazuje mamie kluczkę i parę innych węzłów. W końcu przypomina sobie, że jest głodny:

- Dajcie jeść przodownikowi!

- Co to znaczy?

- Znaczy, że umieram z głodu.

- Co to znaczy: przodownik.

- Stopień. Jak w wojsku czy w milicji.

- Wysoki?

- Niespecjalnie. Cztery belki na naramienniku.

- A do tej pory ile miałeś?

- Trzy. Za ochotnika, tropiciela i odkrywcę.

- Nie nosiłeś do tej pory żadnych belek.

- Nie warto. Poczekam, aż zrobię wędrownika, wtedy przyczepię sobie gwiazdkę. To już jest coś! - rzuca się na kanapki z serwołatką, a Magda wraca do swoich świętokrzyskich rozmyślań.

Właściwie, to nie pora na pracę umysłową. Godzina późna, domownicy w komplecie. Właśnie wrócił ojciec. Życie rodzinne koncentruje się w kuchni, ale Magda ma akurat przyływ natchnienia. Wymyka się do pokoju, żeby kilka myśli przelać na papier. Czuje się

jak wielcy pisarze, którzy tworzyli najczęściej w nocy. Zapełnia drobnym pismem jedną stronę, potem drugą. Już zaczyna ją boleć ręka, ale głowa pracuje jak nigdy.

- Córka, ty jeszcze nie śpisz? - troszczy się mama.

- Jak widzisz! - odpowiada niezbyt grzecznie.

Janusz zagląda jej przez ramię.

- Wycieczki kształcą - sylabizuje.

- Splywaj! - gromi go zakrywając rękopis gazetą.

- Daj poczytać do poduszki!

- A już! Nie znasz się na tym.

- Ja się nie znam na wycieczkach? Ja? Stary harcerz?

- Starość jeszcze o niczym nie świadczy. No, pryskaj, kiedy cię grzecznie proszę.

- Znowu kłótnie? - interweniuje mama. - Zaraz dziesiąta. Goście światło i żeby tu był spokój.

Magda kończy sprawozdanie w łazience. Nie ma w tym domu warunków do pracy twórczej. Jednak doprowadziła swoją robotę do finału. Nieźle jej się napisało. Jutro jeszcze przeprowadzi korektę i odda artykuł do oceny wychowawczynie.

IV

Magda jest zadowolona z siebie. Opracowała temat starannie i dokładnie. „Ciekawe, jak Sowa oceni artykuł? Czy da go do gazetki bez zmian, czy każe poprawić?” - niepokoje się debiutująca dziennikarka.

Sowa ocenia sprawozdanie pozytywnie. Inni redaktorzy grymaszą nieco, że przydługie i zajmuje bite dwie strony, ale trudno. Magda nie skreśli ani linijki. Wszystko jest ważne i potrzebne.

W numerze będzie trochę spraw ideologicznych, wywiad z nauczycielami, którzy już przeszli na emeryturę, wspomnienia trojga byłych maturzystów, kącik poezji.

Wśród debiutów poetyckich wyróżnia się wiersz Maryli Zajac: „Tajemniczy znak zapytania”. Magda czyta go z przyjemnością kilka razy i umie już prawie na pamięć.

Patrzysz w dal

I chcesz zobaczyć przyszłość

Spostrzegasz świat

Nieznany i ciekawy

Ty jesteś jego częścią.

Jaką ci rolę wyznaczył los

W tym świecie

Nie najprostszym?

Patrzysz

I nie widzisz nic

Pozornie

Bo „coś” przybiera kształty.

Znów patrzysz

I co widzisz?

Wielki znak zapytania.

Westchniesz - znak zniknie.

Wracasz do rzeczywistości.

- Talenty są wśród nas - zwierza się Magda profesorce Sowińskiej.

- Rośnie ci konkurentka ze zdolnościami literackimi - ostrzega Sowa.

- Jakoś to będzie, na razie uprawiamy odmienne gatunki. Poezja nie jest moją najmocniejszą stroną.

- Próbowалаś pisać wiersze?

- Tak, ale wyszło niemrawo.

Magda umie patrzeć krytycznie (nie tylko na innych). Surowej ocenie poddaje przede wszystkim swoje próby pisarskie. Dorobek niewielki. Kilka opowiadań (schowanych głęboko w szufladzie), jeden wiersz i dwa teksty piosenek. Nikomu tego nie pokazuje. Nie jest zadowolona z wyników. Poczekaj, aż uda jej się napisać coś, co jej samej będzie się podobało. Dopiero wtedy odwoła się do opinii biegłych (na przykład profesorki Sowińskiej). Na razie jeszcze jest zielona, więc z tym większym szacunkiem patrzy na małą, niepozorną Marylkę, która również jest zaskoczona niespodziewanym sukcesem.

Większość materiałów do gazetki jest gotowa przed feriami zimowymi. Pozostaje tylko nadanie nazwy. Przez święta mają pomyśleć nad tą sprawą.

Na początku stycznia zebranie Kolegium Redakcyjnego w toku burzliwych dyskusji wyłania nazwę gazetki: „Echo”. Uzyskuje ona największą liczbę głosów, a mianowicie sześć. Są jeszcze inne propozycje: „Głos Młodzieży” (cztery głosy), „Monitor” (dwa) i „Coś dla ducha” (dwa głosy).

Teraz należy uzyskać zgodę Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Sowa deleguje Magdę i Zygmunta do załatwienia tej sprawy. Pakują więc materiały do torby i jadą do Warszawy na ulicę Mysią. Tam kluczą po piętach, zanim trafią na odpowiedniego pana. Jest miły i uprzejmy. Pyta, skąd są.

- Z Piaseczna.

Ten pan nie zna Piaseczna. Pyta, czy to ładne miasto.

- Ładne - odpowiadają niepewnie. Nie zastanawiali się nigdy, czy miasto, w którym mieszkają, jest ładne, czy nie. Znają je na co dzień, przyzwyczaili się, nie reagują na jego uroki. Chcą wiedzieć, kiedy otrzymają odpowiedź w sprawie gazetki.

- Postaram się załatwić wam to jak najszybciej - zapewnia ten pan.

Dziękuję mu za życzliwość i odmeldowują się. Jest piętnaście po dwunastej. Nie warto wracać do szkoły.

- Chodźmy do kina - proponuje Zygmunt.

- Nie mam pieniędzy.

- Nieważne, wystarczy, że ja mam.

- Nie mogę ciągle siedzieć u ciebie w kieszeni. Ostatnim razem ty fundowałeś, teraz kolej na mnie.

- O czym ty mówisz?

- Przecież nie o obiadach czwartkowych u króla Stasia, tylko o „Wojnie i pokoju”.

- Kiedy to było? Przed wiekami. Nie mów mi o żadnym długu. Mam chyba prawo finansować rozrywki kulturalne swojej dziewczynie.

- Swojej dziewczynie?

Magda jest zaskoczona i oburzona. „Coś podobnego?! Rozzuchwalił się ten Zygmunt ponad wszelką przyzwoitość. Co on sobie w ogóle wyobraża?” Magda ma swój ideał, wymarzony, wypielęgowany w myślach, z którym rozmawia przed zaśnięciem, zwierza się z najskrytszych pragnień. Ten ktoś ją rozumie, zna życie i zapewni jej wiele ciekawych i bogatych doznań. Poza tym jest przystojny jak nikt na świecie. A Zygmunt co? Przeciętność. Niegłupi, fakt. Ale taki zwyczajny, bezbarwny, powszedni.

Kupują „Życie Warszawy”. Zygmunt przelatuje wzrokiem po repertuarze kinowym.

- Grają jeszcze „Markizę Angelikę”? - pyta Magda. - Jagoda piała z zachwytem.

- Wobec tego domyślam się, że musi to być niewąska chała. Na szczęście już tego nie widzę. Podchodzi nam tylko: „Help” albo „Działa Nawarony”.

- „Help” oczywiście! Beatles i w ogóle zgrywy nie z tej ziemi.

Zygmunt próbuje wyperswadować jej tych Beatlesów (on musi być kompletnie pozbawiony wrażliwości na muzykę). Wolałby „Działa”. Wiadomo: pirotechnika i męska przygoda.

Magda nie chce tak łatwo skapitulować. Dyskusja się przeciąga, argumenty padają coraz mocniejsze, a czas leci. W końcu postanawiają decyzję powierzyć losowi. Magda zwija w kulkę stary bilet tramwajowy i chowa go w zaciśniętej dłoni, a Zygmunt ma wybierać, jak trafi na bilet, idą na „Help”, a jak na pustą rękę, przechodzą „Działa Nawarony”.

Wygrywa Zygmunt. Trudno. Magda umie znieść porażkę z podniesioną głową. Właściwie jest jej zupełnie obojętne, na co pójdzie, a upierała się przy swoim tylko przez zwykłą przekorę.

Po drodze mijają sklep z pasmanterią.

- Czy masz zbyteczne dwadzieścia złotych? - pyta Magda, zatrzymując się przed wystawą. Poszukuje od dłuższego czasu białej aksamitki do włosów.

Zygmunt ma dwadzieścia złotych, nie wiadomo, czy zbyteczne, ale są. Kolejka w sklepie jest dość długa, za to aksamitki nie ma.

- Jutro ci oddam pieniądze, dobrze? - Magda jest głodna. - Zapraszam cię na ciastka.

Trafia się właśnie niewielka cukierenka, gdzie można na miejscu zjeść coś słodkiego. Wbijają po dwa ciastka, Magda chce płacić, co prawda nie swoimi pieniędzmi, ale przecież jutro je zwróci Zygmuntowi, tymczasem on uważa, że powinien uregulować rachunek, co też czyni. Osiem złotych nie majątek, ale Magdę denerwują takie gesty. Postanawia urządzić Zygmunta przy kasie biletowej. Tylko czy dwadzieścia złotych wystarczy? Wystarczyło. Bilety kosztują osiemnaście.

- Jutro odbierasz ode mnie całe dwadzieścia.

- Dlaczego jesteś taka?

- Jaka?

- Niedobra.

- Więc gdybym cię niszczyła finansowo, byłabym lepsza? Źle trafiasz. Albo będzie równouprawnienie, albo koniec z nami... - W tej chwili zdaje sobie sprawę, że mimo woli wyraża zgodę na to, żeby „z nimi coś było”. Tak jej się pochopnie powiedziało, a teraz niezręcznie prostować, bo wyjdzie jeszcze gorzej.

Zygmunt przyjmuje bez zdziwienia jej słowa. Uważa za rzecz normalną, że powinien płacić za dziewczynę, a ona powinna protestować. Zwykły porządek rzeczy.

W kinie jest ciepło, żołądek nie płacze z głodu, a film będzie panoramiczny i w kolorze. Dodatek i przyjemna aura na sali działają na Magdę usypiająco, ale już pierwsze sceny „Nawarony” zmuszają do koncentrowania uwagi. Film wciąga. Na widowni nie ma kompletu, prawdopodobnie dlatego, że godzina nietypowa. O trzynastej większość warszawiaków pracuje albo się uczy. Film jest zrobiony zręcznie i mimo braku wątku miłosnego da się oglądać, ale Zygmunt jest zawiedziony. Oczekiwał czegoś innego. Obiecywał sobie zbyt wiele i spotkało go rozczarowanie.

- Czego ty właściwie chcesz? - dziwi się Magda.

- Spodziewałem się więcej prawdy, jakichś zdjęć dokumentalnych. Filmy fabularne niepotrzebnie zaciemniają prawdziwy obraz wydarzeń.

- Ale bawią, trzymają w napięciu. Dodatek fikcji literackiej podnosi rangę artystyczną filmu. Przyciąga widzów i bawiąc uczy.

- Pewnych wydarzeń nie należy upiększać. Powinno się je podawać w formie surowej, uwzględniając autentyzm.

- Od tego jest film dokumentalny i kroniki. W tej chwili odtworzenie wysadzenia dział Nawarony w postaci dokumentu jest niemożliwe. A forma fabularna zostawia pewien margines umowności.

- Właśnie. I dlatego budzą się wątpliwości, czy takie zdarzenie w ogóle miało miejsce.

- Jeśli prawda historyczna tak bardzo cię interesuje, to przyjdź do mojego ojca. On ma historię ostatniej wojny w małym palcu.

- Był na tym filmie?

- Nie. Kino go nie bawi. Woli literaturę. W czasie urlopu obkłada się książkami, najchętniej czyta pamiętniki i reportaże wojenne. A potem narzeka, że urlop jest zawsze za krótki, bo nie zdążył wszystkiego przeczytać.

- A co ty wolisz? Filmy czy książki?

- Jedno i drugie.

W autobusie jest tłok. Młodzieniec znany z widzenia ustępuje Magdzie miejsca. Zygmunt przechodzi na sam koniec wozu. Dyskusja zostaje przerwana, a szkoda, bo zapowiadała się ciekawie. Znaleźli wspólny język, można by długo wymieniać poglądy, nawet w autobusie. Niech ludzie wiedzą, niech słyszą, że dzisiejsza młodzież interesuje się czymś więcej poza big-beatem i sportem. Magda rozgląda się za jakąś podchodzącą staruszką, żeby jej odstąpić to siedzące miejsce, ale jak na złość widzi wokół siebie jedynie ludzi w sile wieku. Odbывая więc podróż osobno, a do dyskusji będą mieli jeszcze niejedną okazję. Z Zygmuntem rozmawia się niezłe na każdy temat.

V

Kiedy „Echo” nabierało mocy urzędowej w Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, profesorka Sowińska bynajmniej nie odpoczywała, uważając, że ruch kulturalny nie powinien mieć zbyt długich przestojów. W myśl tej dewizy pobudziła do aktywności drzemiące w błogim nieróbstwie kółko dramatyczne. „Aktorzy” mieli już na swoim koncie pewne osiągnięcia, jak inscenizacja „Krzyżaków” (ale to było dawno) i „Ślubów panieńskich” - w ubiegłym roku. Wykazywali się też na oficjalnych akademiach, tylko że od jednej do drugiej akademii - cisza.

Sowa zorientowała się, że do młodzieży najlepiej trafić sztuką współczesną, problemową i dyskusyjną. Wybrała „Piotra” Salaburskiej. Zanim wytypowała odtwórców poszczególnych ról, puściła w obieg kilka egzemplarzy sztuki i prosiła, żeby kandydaci, którym rola odpowiada, zgłaszali się sami, a potem wybierze się najlepszego z najlepszych.

Magda przeczytała tekst raz i drugi i już widziała siebie w roli Justyny. Rola niewielka, ale efektowna.

Pierwsza próba w domu, przed lustrem, wypadła jako tako. Dla podkreślenia autentyzmu Magda założyła ciemne okulary, pasek przy sukience zapięła na lewą stronę, jak to sugerował scenopis, i spróbowała dialogu:

- Dlaczego pan nic nie mówi? - własny głos wydaje jej się dziwny i sztuczny. Powtarza więc pytanie, starając się nadać głosowi jak najbardziej naturalne brzmienie: - Dlaczego pan nic nie mówi? - Już jest nieco lepiej, ale jeszcze zbyt cicho. Widownia nie usłyszałaby ani słowa. Po raz trzeci więc próbuje przebrnąć przez początek. Lekcje chwilowo leżą odłogiem, ponieważ spełnia się misterium sztuki.

Gdyby miała partnera z prawdziwego zdarzenia, na pewno dobrze zagrałaby tę rolę. Podoba jej się Justyna jako postać, model dziewczyny. Pozytywna, mająca dodatni wpływ na Piotra, chłopaka z fantazją zbyt wybujałą, mogącą go sprowadzić na manowce. Pod wpływem Justyny ten potencjalny chuligan może się stać wartościowym człowiekiem. Magda się rozmarza. Chciałaby spotkać w życiu chłopaka takiego jak Piotr. Odważnego, traktującego życie z brawurą, a gdyby miał chuligańskie nawyczki, musiałby je stracić pod jej, Magdy, wpływem.

„A potem żylibyśmy długo i szczęśliwie - drwi z siebie i tego wyimaginowanego Piotra. - Komu przypadnie główna, tytułowa rola? - myśl ta nie daje Magdzie spokoju. - Kandydat powinien zewnątrznie odpowiadać sylwetce nakreślonej przez autorkę, to znaczy mieć temperament i pociągającą urodę, a poza tym posiadać odrobinę talentu, żeby roli nie położyć. Ciekawe, kogo Sowa wytypuje?” Swojej kandydatury na Justynę jest prawie pewna. Tylko, czy podoła? Będzie się starała.

W czasie próbnego czytania Markiewicz siedzący w ostatnim rzędzie krzeseł zameldował:

- Mów coś, Magda, bo cały czas Piotr rozmawia sam ze sobą!

Magda ma cichy głos, ale stara się wydobyć całą jego siłę. Niestety, wtedy dialog brzmi sztucznie. Wyczuwa się wysiłek, a słowa nie mają koniecznej naturalności.

- Nie tak patetycznie, Magdaleno! - Markiewicz wchodzi w uprawnienie asystenta reżysera i wtrąca swoje uwagi z taką pewnością i stanowczością, jakby od urodzenia nie zajmował się niczym innym.

Magda czuje, że powinna się wycofać. Piotr też nie jest artystą najwybitniejszym (Jurek z Xa, nazwisko nieistotne), ale nie o to chodzi. Justyna, chociaż ma niedużą rolę, a może właśnie dlatego, powinna być zagrana dobrze.

Sowa nie chce tak łatwo zrezygnować z Magdy. Sowa ją lubi. Postanawia dać jej ostatnią szansę. Proponuje, aby Piotra zagrał Jacek Jaroszczyk. Jacek cieszy się opinią najprzystojniejszego chłopaka w szkole i dziewczyny na zabój się w nim kochają. Nawet z podstawówki. Sowa zapewne podejrzewa, że i Magda należy do haremu Jaroszczyka, a to nieprawda. Na niej Jacek nie robi wrażenia. Uważa jego urodę za zbyt dziewczęcą, lalkowatą. Poza tym na pewno jest zarozumiała. Zawsze chodzi taki sztywny, jakby kij połknął, głowę nosi wysoko i dumnie, z byle kim nie rozmawia na korytarzu. Magda nie zna go bliżej. Dziewcząt jest w szkole nadmiar, więc chłopcy mają kolosalne powodzenie. Nic dziwnego, że w głowach im się nieco przewraca.

„Kochana Sowa - myśli Magda. - Ciągnie mnie za uszy, żebym się utrzymała w roli”.

Zamierzenia profesorki osiągają skutek wręcz przeciwny. Ten przystojniacha źle działa na Magdę. „Zarozumialec, waśniak!” - myśli zupełnie zniechęcona.

Jaroszczyk okazuje się zupełnie dobry w roli Piotra, co też ma wpływ na decyzję Magdy:

- Pani profesorko, niech ktoś inny spróbuje zagrać Justynę. Ja nie jestem w tej roli najszcześliwiej obsadzona.

- Sądzisz, że nie podołasz? - Sowa jest zmartwiona.

- Nie dała Bozia talentu, co tu kryć.

- Nie mam dla ciebie innej roli.

- Głupstwo. Mogę grać kroki na scenie albo coś w tym rodzaju.

Jaroszczyk uśmiecha się. „Więc on potrafi się śmiać? No, no, kto by to pomyślał?”

Staje na tym, że Magda będzie suflerem, a Justynę próbuje zagrać Jagoda.

- Słysząc mnie, Marko? - rzuca w głąb sali, gdzie Markiewicz z gromadą wolnych słuchaczy sprawdza siłę głosu.

- Aż zanadto. Możesz spuścić z tonu.

Jagoda nie może, bo głos ma wysoki i piskliwy od urodzenia.

Następną kandydatką jest Ewa z XIc. Ta wreszcie przechodzi. A więc prawie cała sztuka zostaje obsadzona jedenastoklasistami. No, niezupełnie. Markiewiczowi udaje się zdobyć rolę kelnera. Jest to epizodyczna rolka, w której Marko obiecuje błysnąć wielkim talentem.

Magda nie żałuje, że się wycofała. Z przyjemnością sufleruje, rzuca pomysły scenograficzne. Scena w parku powinna jej zdaniem wyglądać następująco: pośrodku ławka, na której siedzą Piotr i Justyna, a w głębi podświetlona od dołu plansza z rysunkiem krzewów jaśminowych. Magda lubi jaśmin. Szkoda, że tak krótko kwitnie i szybko więdnie w wazonie.

Projekt wchodzi w stadium realizacji. Do malowania jaśminów zgłosił się Zygmunt. Magda wolałaby tę czynność powierzyć Wandzie, etatowej ilustratorce gazetek ściennych, ale niezręcznie wyszłoby z Zygmuntem. Skoro się sam zgłosił...

I znowu proponuje pójście do kina. Tym razem na „Siedmiu wspaniałych”. Magda się zgadza, ale w towarzystwie osoby trzeciej, a mianowicie Heleny. Helena jest nieśmiała i

zakompleksiona. Przyda jej się trochę obycia towarzyskiego. Niech się cieszy, że ma przyjaciół. W kinie Helena siedzi w środku. Zygmunt jest niezadowolony, ale nie próbuje zmieniać szyku. Wyczuwa, że Magda odnosi się do niego z rezerwą.

Do tej pory nie startował w kierunku żadnej dziewczyny. Magda jest pierwsza, zaczynają więc oboje od zera, ale ona grymasi. Nie jest pewna, czy takiego chłopaka wybrałaby na stałe. Nie chce się angażować, a udawać nie umie. I bez towarzystwa Zygmunta nieźle sobie radzi.

Z kina wracają po ciemku, bo lampy jarzeniowe zainstalowane wzdłuż szosy świecą co czwarta albo co piąta. A droga z Piaseczna do Zalesia jest okropna. Chodnik z lewej strony zatarasowany górami piachu i dołami pozostałymi po wykopanych karpach. Wycięto wielkie stare drzewa, żeby poszerzyć szosę. Cywilizacja wypiera przyrodę, ale nie potrafi poradzić sobie z nieporządkiem i niechlujstwem w robotach drogowych. Drzewa usunięto jeszcze na jesieni, a na uprzątnięcie chodnika przyjdzie zapewne długo poczekać. Natomiast chodnik z drugiej strony zostaje przesunięty w prawo, w ten sposób szosa się poszerzy. Roboty posuwają się wolno, ale systematycznie, zwieziono krawężniki, które w artystycznym nieładzie barykadują jedyne możliwe przejście dla pieszych, a poza tym wykopano częściowo stare płyty chodnikowe, czekające również na swoje przeznaczenie.

Nie ma innych możliwości: albo iść szosą, uciekając przed jadącymi gęsto samochodami, albo torem kolejki grójeckiej, która dla odmiany kursuje rzadko.

Wchodzą więc na nasyp, ale pech sprawia, że słychać akurat gwizd samowarka i ukazują się pióropusz dymu, a potem snopy ognistych iskier.

- Pewnie stary Markiewicz obsługuje dziś ciuchcie - domyśla się Zygmunt. - Marko mówi, że ojciec zawsze pod Piasecznem każe pomocnikowi dosypywać węgla, żeby mu samowarek pełną parą wjechał na stację...

- Zejdźmy z toru, już jest blisko - mówi Helena, która nie lubi ryzykować.

- Mamy czas, dobrze się tu idzie. Zanim stary Markiewicz dotelepie się do Wiaduktu, zdążymy uciec - uspokaja Zygmunt.

- Mam pomysł nowego filmu: „Troje wspaniałych przeciwko ciuchci” - mówi Magda, krocząc odważnie środkiem toru.

- Pomysł fantastyczny, ale dla pewności zejdźmy na dół.

Zygmunt bierze Magdę za rękę i sprowadza z nasypu na ten zatarasowany chodnik. Przejeżdżające samochody oślepiają reflektorami, za to potem jest podwójnie ciemno. Kluczą wśród rozrzuconych betonowych krawężników, potłuczonych płyt chodnikowych i piachu. Oni dwoje przodem, Helena za nimi. Samowarek gwizdże długo i przeraźliwie, na szosie oślepiające błyski świateł samochodowych i nagle z tyłu dobiega zduszony krzyk Heleny.

Oglądają się i widzą koleżankę w pozycji raczej dziwnej. Prawą nogę ma unieruchomioną między dwoma blokami betonu, lewą wysuniętą do tyłu, a cały drobny korpus w pozycji poziomej z wyciągniętymi do przodu rękami. Wygląda to jak efektowna figura łyżwiarska.

- Heleno, bez kawałów! - zaczyna Magda, chociaż czuje, że to nie żarty.

- Coś musiało się stać z moją nogą - usprawiedliwia się Helena i opada bezsilna na stertę płyt chodnikowych.

- Małe piwo - stwierdza Zygmunt i odsuwa betonowy krawężnik.

Noga Heleny jest uwolniona, ale co z tego? I tak nie ma mowy o wstaniu i pójściu dalej. Każda próba kończy się jękiem.

- Ona jeszcze gotowa nam zemdleć - przewiduje Magda.

Helena jakby tylko czekała na pozwolenie. Leci im przez ręce najspokojniej w świecie, a oni nie bardzo wiedzą, co robić z tym fantem.

- Pewnie złamanie - opiniuje Zygmunt. - Trzeba zatrzymać jakiś samochód i odwieźć ją do szpitala. Sami nic nie poradzimy.

Magda też tak myśli, ale zatrzymanie samochodu nie jest rzeczą prostą. Wozy prują pełnym gazem i żaden nie hamuje, chociaż Zygmunt bez przerwy macha ręką.

- Może ja spróbuję - podejmuje się Magda nie mając wcale nadziei, że coś wskóra.

Chce raczej odpocząć, bo chociaż Helena jest drobna, jednak coś niecoś waży i podtrzymywanie jej trochę męczy. Oddaje więc zemdloną koleżankę w ręce Zygmunta, zdejmując biały szalik z głowy i powiewa przed maskami przejeżdżających samochodów. Znowu bez skutku, bez najmniejszej reakcji ze strony kierowców.

Czarna rozpacz! Do szpitala będzie ponad kilometr, nie zataszczą jej tam oboje. Chyba że zrobiliby nosze według projektu Janusza. Niestety Magda nie pamięta, w jaki sposób robi się ten sprzęt, poza tym nie wiadomo, czy coś takiego wytrzyma próbę praktycznego zastosowania. A Helena nie może być królikiem doświadczalnym. W dalszym ciągu nie odzyskuje przytomności. Paskudna historia.

Wreszcie zatrzymuje się jakaś „syrena”. Magda podbiega z nadzieją. Okazuje się, że samochód ma awarię.

- Może to tylko świeca - pociesza kierowca, dowiedziawszy się, o co chodzi. Jest uprzejmy i chce pomóc.

Magda nie wie, co to świeca i czy naprawa potrwa długo. Zygmunt twierdzi, że oczyszczenie świecy nie zajmie więcej niż pięć minut, więc ładują Helenę do wnętrza wozu. Dobrze się składa, bo wraca do przytomności i daje znaki życia.

- Prawdopodobnie złamałaś kończynę - uświadamia ją Magda. - Albo tylko zwichnęłaś - dodaje, widząc przestraszony wzrok dziewczyny.

Zygmunt pomaga kierowcy i po chwili świeca jest załatwiona. Samochód jednak nie rusza.

- A benzynę ma pan w baku? - próbuje żartować Zygmunt.

- Powinna być, ale mogę sprawdzić.

Sprawdza. Okazuje się, że chociaż powinna być, to, niestety, nie ma. Do stacji benzynowej jest niedaleko, tylko bez paliwa samochód nie przejedzie nawet kilku metrów. Wszędzie niedaleko. I szpital, i stacja benzynowa tuż, tuż... a nie ma sposobu, żeby tam dotrzeć i cierpiącą koleżankę oddać w ręce lekarza. To się nazywa mieć pecha!

Nie pozostaje nic innego, jak zatrzymać następny samochód i poprosić o trochę benzyny. Szalik Magdy znów powiewa nad szosą. Tym razem z większym efektem. Podniesiona maska samochodu informuje przejeżdżających, że ktoś potrzebuje pomocy technicznej. A samochodziarz samochodziarzowi zawsze pomoże.

W ciągu dziesięciu minut są już w szpitalu. Noga jest spuchnięta w kostce jak balon. Atmosfera szpitalna działa na Helenę znieczulająco. Twierdzi, że ból zupełnie przeszedł. Próbuje nawet stanąć na tej nieszczęsnej kończynie, co powoduje ponowne zemdlenie. W tej chwili sprawa jest mniej groźna, koleżanka znajduje się pod fachową opieką.

- Możecie iść do domu - mówi młody lekarz, obejrzawszy pechową kończynę. - Koleżanka zostanie na noc. Zrobimy prześwietlenie, podejrzewam brzydkie złamanie.

- Słuchajcie - prosi Helena. - Wstąpcie do mamy i powiedzcie, że to tylko zwichnięcie. A dlatego muszę zostać w szpitalu na noc, że dopiero rano przyjdzie lekarz, który mi nastawi nogę. Nie mówcie o złamaniu, dobrze?

Magda jest wzruszona troskliwością koleżanki o spokój matki. Sama nie wie, czy w takiej sytuacji miałaby głowę, żeby myśleć o innych. Helena jej zaimponowała.

Przed bramą czeka właściciel „syreny”. Chce dowiedzieć się, jak załatwili sprawę.

- Musimy zawiadomić o wypadku matkę koleżanki.

- Podwiozę państwa.

Magda układa sobie mowę. Jak tu zagaić, żeby nie przestraszyć pani Chodziszewskiej? Jest podobno nerwowa. Może się przerazić tym, że córka nie wróci na noc do domu. A jak

dostanie ataku? Szpital niedaleko, ale dwa wypadki w ciągu jednego wieczoru to byłoby trochę za dużo jak na wytrzymałość Magdy.

Obawy się nie sprawdzają. Pani Chodsziszewska z wyjątkowym spokojem znosi wiadomość o przygodzie córki. Zajmuje się stroną praktyczną zagadnienia.

- Muszę kupić kurę na targu. Ugotuję rosółu i zaniosę Helence. W szpitalu byle jak odżywiają.

Magda cieszy się, że tak gładko poszło. Spogląda na zegarek. Już po dziesiątej. „Syrena” jeszcze stoi pod bramą.

- Bardzo panu dziękujemy, co byśmy bez pana zrobili?

- Nie ma za co. Dokąd teraz jedziemy?

- Nie możemy pana wykorzystywać bez opamiętania. Teraz już poradzimy sobie - Zygmunt wolałby odprowadzić Magdę i chociaż parę słów zamienić sam na sam. Ale naprawdę jest późno. Rodzice pewnie się niepokoją.

Po raz pierwszy Magda zajeżdża samochodem pod własny dom. Jak na złość jest ciemno i nikt tego nie widzi. Uprzejmy kierowca chce jeszcze podwieźć Zygmunta. Ten wykręca się, że mieszka nie po drodze i straszy kierowcę:

- A starczy panu paliwa do stacji benzynowej?

Argument skutkuje. „Syrena” odjeżdża, a Zygmunt żegnając się z Magdą jest zupełnie szczerzy, kiedy mówi:

- Jak to dobrze, że nie ty złamałaś nogę. Leżałabyś teraz sama w tym okropnym szpitalu, ból nie pozwalałby ci spać...

- Uważasz, że mnie bolałoby więcej niż Helenę?

Zygmunt nie umie odpowiedzieć. Taki mądry, a nie umie. Wreszcie znajduje wyjście:

- Najlepiej, żebym ja był kontuzjowany. Odwiedziłabyś mnie w szpitalu?

- Może, ale rosółu bym ci nie przyniosła. Najwyżej miętowych cukierków.

- Dobrze i to! - Śmieją się pod furką Magdy o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści pięć. Skandal. Szanujące się dziewczyny powinny o tej porze już dawno być w domu. Żegnają się wreszcie i całe szczęście.

W drzwiach ukazuje się ojciec ubrany do wyjścia. Ma minę nie wróżącą nic dobrego, ale zanim zdążył otworzyć usta, Magda zasypuje go lawiną słów o wydarzeniu z Heleną. Na ojcowskim obliczu pojawia się wyraz ulgi. „Staruszek jest szczęśliwy, że nie musi mi wstawiać mowy o swobodnych obyczajach dzisiejszej młodzieży” - stwierdza Magda i zdobywa się nawet na przeprosiny za niepokój, na jaki naraziła rodzinę.

Nazajutrz idą całą bandą odwiedzić Helenę. Magda, Sławka, Zygmunt - powodowani przyjaźnią, a inni w celach wycieczkowych. Bądź co bądź, nie co dzień zdarza się taka okazja. W szpitalu meldują się o godzinie drugiej, odwiedziny są między czwartą a piątą. Markiewicz zaczyna czarować panią, która pilnuje porządku:

- Szefowo, czy w drodze wyjątku nie zechciałaby nas pani wpuścić wcześniej? Nie możemy przyjść po raz drugi, pani rozumie... Szkoła to nic wesołego, każdą wolną chwilę musimy poświęcać nauce.

- Nie przeszkadzajcie. Powiedziałam raz, że o szesnastej, to o szesnastej.

- Droga pani, proszę nas zrozumieć. Chora, samotna koleżanka na pewno gryzie paznokcie z rozpacz. Nasza wizyta poprawi jej samopoczucie i noga się szybciej zrośnie.

- Ja nie mam nic do tego. Doktor nie pozwala nikogo wpuszczać, i rzecz skończona.

Markiewicz mówi jeszcze długo, ale bezskutecznie. Próbuje tytułować tę panią doktorem. Nic nie pomaga. Przepisy są przepisami i żadne argumenty ich nie zmieniają.

Świadkiem dyskusji staje się przechodzący lekarz, który (o dziwo) przychyła się do prośby Markiewicza i pozwala w drodze wyjątku na zakłócenie regulaminu szpitalnego (pewnie ma dzieci w ich wieku). Sympatyczny. Każe im powkładać białe fartuchy i stąpać bezszelestnie, na palcach.

Łatwo powiedzieć. Przy każdym kroku drewniane schody skrzypią jak sto tysięcy krasnoludków i śmiech ogarnia na widok pociesznych postaci odzianych w długie białe kitle, zawiązywane z tyłu na tasiemki. W szpitalnym fartuchu najbardziej do twarzy Zygmuntovi, może dlatego, że wybiera się na medycynę? Dobry będzie z niego lekarz. Ma to wypisane na obliczu.

Natomiast Markiewicz wygląda jak skrzyżowanie fryzjera z rzymskim patrycjuszem. Poły przydługiego fartucha płaczą mu się pod nogami, więc żeby nie deptać po nich, podtrzymuje kitel w talii i przypomina do złudzenia postać z antycznej tragedii.

- Kilder! Co tu tak pachnie? - zwraca się do Zygmunta.
- Medykamenty.
- Nie odpowiadają mi te zapachy. Nigdy nie będę lekarzem.
- Wolisz zastać kelnerem?
- Tysiąc razy.
- Uważasz, że zapach knajpy jest przyjemniejszy?
- Jasne.

Helena leży na szpitalnym łóżku przyodziana w szpitalny szlafrok i jest przygnębiona szpitalną atmosferą. Nogę ma unieruchomioną w jakimś skomplikowanym aparacie, a jej drobna figurka wydaje się jeszcze mniejsza niż zawsze. Oczy ma jakieś zapadnięte, smutne. Na talerzu poniewiera się nie do jedzone udko kurczaka (więc mamusia już była).

Na widok gości Helena dostaje rumieńców i w oczach ma łzy.

- Nie rozpaczaj - pociesza ją Markiewicz. - Jesteśmy tu nielegalnie i zaraz nas wyrzucą.
- Przecież ja się cieszę, że przyszlście. Nie spodziewałam się waszych odwiedzin. Co w szkole?

- W budzie jak w budzie. Od wczoraj nic się nie zmieniło.
- A mnie się zdaje, że już rok leżę na tym łóżku.
- Na pewno nie spałaś całą noc. Ja cię znam - domyśla się Magda.
- Nie mogłam spać. Tu jest tak dziwnie - Helena rozgląda się na prawo i lewo, żeby dokładniej zorientować się i opowiedzieć koleżankom, co mianowicie wydaje się jej takie dziwne i co nie pozwoliło na spokojny sen. Niełatwo to jednak określić. Atmosfera szpitalna jest jedyna w swoim rodzaju, a Helena znalazła się tu po raz pierwszy.

Na sali leżą same starsze panie. Ciekawie spoglądają na wesołą gromadkę, która bezskutecznie zmusza się do mówienia szeptem. Najgorzej ten szept wychodzi Markiewiczowi. Co chwila wrywa mu się jakiś wykrzyknik, wtedy zakrywa usta ręką ucinając zdanie w połowie. Rozśmiesza tym pozostałych i przez cały czas wszyscy chichoczą, nie wyłączając Heleny.

- Czy w szpitalu można opowiadać kawały o wariatach? - zwraca się Marko do obecnych.

Zygmunt mruga na niego, żeby się nie wygłupiał, ale pani z sąsiedniego łóżka bardzo lubi dowcipy. Markiewicz zaczyna, ilustrując opowiadanie gestami i minami, co wywołuje parokszymy śmiechu u pozostałych pań. W końcu temat się wyczerpuje, bo jak długo można opowiadać kawały o wariatach? Helena nie wie, o czym mówić, oni też wykorzystali już wszystkie możliwe tematy.

- Jutro wpadnę do ciebie o czwartej - zapowiada Magda widząc zbliżającego się lekarza, który zapewne idzie ich wyprosić.

Tak jest. Nie można w nieskończoność zakłócać porządku szpitalnego. Dziękują sympatycznemu doktorowi i posuwają gęsiego do wyjścia. Markiewicz kłania się szczególnie nisko tej pani przy drzwiach i oddycha pełną piersią na świeżym powietrzu.

- Wykorkowałbym w trybie przyspieszonym, jakbym tu musiał pracować.

- Mowa. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Najgorsze jest pierwsze dziesięć lat, a potem, zanim się obejrzyysz, łeb ci posiwieje jak temu doktorowi i przestaniesz podskakiwać.

- Ty, Zygmunt, masz wyjątkowy dar przekonywania.

Za bramą wszyscy się rozchodzą, każdy w swoją stronę, zadowoleni, że nie są skazani na przymusowy pobyt w szpitalu.

Zygmunt odprowadza Magdę, chociaż powinien iść w zupełnie innym kierunku.

- Naprawdę chcesz być lekarzem?

- A co? Zły zawód?

- Jak dla kogo. Ja bym nie mogła. Te zbolale postacie w pasiastych szlafrokach, te zapachy i w ogóle cały ten szpital to coś koszmarnego.

Ale Zygmunt traktuje przyszły zawód poważnie. Uważa, że rozrywka w pracy nie jest rzeczą najważniejszą.

- Wolałabyś, żebyśmy został kelnerem czy fryzjerem?

Nie. Magda nie widzi Zygmunta w tych zawodach, ale jest przecież tyle innych ciekawych kierunków. Mógłby zostać inżynierem albo dziennikarzem. Ma wszechstronne uzdolnienia. Magdzie trudno zrozumieć jego decyzję. Ona, widząc czyjeś cierpienie, dostaje bólu głowy, a widok krwi przyprawia ją o torsje.

Zygmunt chce się wprosić na fizykę, ale Magda nie ma w tej chwili natchnienia do nauk ścisłych. Poza tym na pewno nie pójdzie na studia techniczne, więc trójka z fizyki wystarczy jej całkowicie.

Zygmunt nie może pojąć takiego braku ambicji. On wielu rzeczy nie może pojąć, chociaż jest bardzo mądry.

VI

Helena już jest w domu. Nogę ma pięknie złożoną i obudowaną w grubą gipsową powłokę. O przychodzeniu do szkoły nie ma mowy. Dopiero po miesiącu będzie miała zdjęty gips i jeśli się kończyzna prawidłowo zrośnie, nastąpi koniec przymusowego urlopu.

Przez ten wypadek ma dużo zaległości do nadrobienia. Pomoc koleżeńska została zorganizowana następująco: Magda dostarcza notatek z historii i języków, a jeśli zachodzi potrzeba, robi wykłady. Zupełnie nieźle to idzie. Natomiast przedmiotami ścisłymi zajmuje się Zygmunt. Helena jest uważna i pilna, więc nawet przy jej średnich zdolnościach efekty korepetycji są widoczne. Powtórzyła sobie wiele przedmiotów od początku roku, przeczytała sporo pozycji z lektury uzupełniającej, a jej drobna buzia zaokrągliła się znacznie. Przymusowe siedzenie w domu wyraźnie jej służy.

Magda tak ustaliła harmonogram zajęć, żeby nie spotykać się z Zygmuntem u Heleny. Jemu się to nie podoba. Celowo przychodzi przed umówioną godziną, żeby trafić na wykład historii czy polskiego, a jeśli najpierw wypada fizyka, nie żegna się, tylko siada z boku i czeka, aż Magda skończy.

Niezręcznie powiedzieć: „Idź pomieszkać do siebie!” I następuje zwykle wspólny spacer po Zalesiu. Już różne znajome panie zaczynają się uśmiechać porozumiewawczo. Magda nie cierpi tych uśmiezków: „Co one, do szkoły nie chodziły, nie wiedzą, że kolega to kolega i nic więcej?”

Tymczasem zbliżają się ostatki. Helena jest niepokieszona, że nie weźmie udziału w zabawie. Bardzo lubi tańczyć. Jak nie ma partnera, to prosi do tańca którąś ze stojących pod ścianą koleżanek i dobrze jest. Też się można bawić. Gdzie jest powiedziane, że tańczyć należy wyłącznie z chłopakiem?

Przekształcanie sali gimnastycznej w balową odbywa się pod fachowym kierunkiem profesora Bilika, który zażyczył sobie do pomocy sześć osób. A mianowicie: Wandę,

najzdolniejszą plastyczkę, Zygmunta, Markiewicza, bezkonkurencyjnego we wspinaniu się na drabinę, Magdę, cieszącą się opinią pracowitej i systematycznej, oraz dwie osoby z XIb.

Markiewicz zacytował na wstępie porzekadło: „Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść” i przemycił Józwiaka jako siódmego. Zbyszek Józwiak to chłopiec spokojny, nie wadzi nikomu, a za to może oddać nieocenione usługi przy dekoracji sali. Ponadto wiadoma wszystkim jego przyjaźń dla Wandy zdolna jest obudzić w nim każdy talent, łącznie z plastycznym. Zbyszko okazuje się bardzo przydatny jako dostawca materiałów dekoracyjnych.

W przeddzień balu sala gimnastyczna zostaje oddana do wyłącznej dyspozycji profesora Bilika i jego pomocników. Prawowity gospodarz, mistrz wuefu, musi wraz ze swoimi sportowcami uchodzić na świeże powietrze. Dobrze się składa, że mróz trzyma i lodowisko znajduje się w stanie używalności.

Przez okna zaglądają do sali ciekawscy, ale niepotrzebnie rozplaszczają nosy na szybach, bo jeszcze nic nie widać.

- Marko, leć po drabinę i młotek! - proponuje Magda, żeby od czegoś zacząć.

Marek bez wielkiego entuzjazmu udaje się w stronę składziku, gdzie woźny, pan Michał, trzyma różne narzędzia. Przez ten czas Magda zastanawia się nad dekoracją lamp. Okrągłe mleczne klosze ma zamiar owinąć kolorową bibułą, a na to naciągnie lampiony w kształcie ściętego graniastosłupa, wykonane z kalki technicznej.

Drabina jest pilnie potrzebna. Gdzież ten Marko? Kiedy się wreszcie zjawia, Magda zauważa:

- Kirszenstein to ty nie jesteś!

- Ale chytrus z tego Michałka! Drabiny żałuje - tłumaczy swoją opieszałość Markiewicz.

Pan Michał nie żałuje drabiny ani żadnych innych rzeczy. Własne serce oddałby młodzieży pod warunkiem, że zostanie zwrócone w terminie i bez uszczerbku. Ale ze zwrotem pożyczonych narzędzi różnie bywa, stąd niechęć pana woźnego do pożyczania.

Marko ma wejść na drabinę i wbijać gwoździe w ścianę. Na jego obliczu maluje się wahanie. - Cykor cię obleciał? - zagaduje Zygmunt. - Trzymaj się młotka, bo drabina trzeszczy, a jakby co, to do szpitala niedaleko. I znajomości tam mamy...

Na wzmiankę o szpitalu Markiewiczowi robi się słabo zamiast bić młotkiem w haczyk, tłucze w palec.

- Jasny gwint! - reaguje żywiołowo, nie zważając na obecność profesora.

- Ach, ty pomocniku od siedmiu nieszczęść! Idź do gabinetu lekarskiego, niech ci pani higienistka zrobi opatrunek.

- To zbyteczne, panie profesorze, przejdzie samo - Markiewicz jest zdecydowanym przeciwnikiem wizyt w gabinetach lekarskich. Trzyma stłuczony palec w ustach, jakby chciał z niego wyssać ból.

- Przyłóż do zimnego - radzi Ewa z jedenastej, podając mu młotek.

- Złota Rączka! - mruczy pod nosem Magda i przynosi zimnej wody (w wazonie, bo nie ma nic odpowiedniejszego). Marko przekazuje młotek jak pałeczkę sztafety następnemu (Józwiakowi), a sam wycofuje się na tyły, żeby spokojnie stosować wodoterapię.

Józwiak, chłopak barczysty i wyrośnięty ponad miarę, zastanawia się, czy wejście na drabinę nie będzie zbyt dużym ryzykiem. Magda dochodzi do wniosku, że za dużo tych medytacji, i sama łapie za młotek.

W tym czasie Zygmunt i Wanda pracują nad dekoracją ścian. Plany mają ambitne. Zaprojektowali umieszczenie, w dwunastu wnękach okiennych, plansz ze znakami Zodiaku. Porozkładali na podłodze arkusze seledynowego kartonu i szkicują węglem kolejne postacie.

- Czego tak marudzisz, Zygmunt? - niecierpliwi się Wanda. Wykonała już Bliźnięta i Wagę, teraz zamierza wziąć na warsztat Koziorożca, a Zygmunt jeszcze nie skończył pierwszego rysunku. Pracuje nad Panną. - Długo możesz się bawić?

On może długo. Dbą o realia i szczegóły. Przez ramię zagląda mu wścibski Markiewicz.

- Nawet podobna - kiwa głową z aprobatą, ale nie szczędzi również uwag krytycznych: - Lewa ręka zbyt sztywna. Twoja Panna wygląda, jakby miała protezę.

Zygmunt posłusznie poprawia.

- Nos ma za krótki - grymasi dalej Marek. - Spójrz na jej profil. Rysunek nie odpowiada oryginałowi.

Zygmunt protestuje. Nie będzie zmieniał nosa.

Wanda rzuca okiem w stronę, gdzie patrzą chłopcy, następnie spogląda na rysunek i już wszystko rozumie. Zygmunt wykorzystał stojącą na drabinie Magdę jako model do swojego dzieła. Wszystkie szczegóły zostały uwzględnione, a więc: drabina, młotek oraz sama modelka w spodniach i sportowym golfie.

Profesorowi pomysł się podoba, tylko grymasi trochę na spodnie.

- Da się duży napis: Panna. Nikt się wtedy nie ośmieli mieć wątpliwości - proponuje Wanda.

Wokół rysunku Zygmunta utworzyło się kółeczko dyskutujących. Przyczłapał nawet pan woźny.

- Panie Michale, kto jest na tej planszy? Kogo ta postać panu przypomina?

Pan woźny namyśla się chwilę, marszczy brwi dla dokładniejszego przypomnienia i w końcu oznajmia:

- To jest ten... no, ten... jak mu tam... Flip! Nie... Flap! Nie... dobrze mówię: Flip. Byłem na filmie z Flipem i Flapem, jeszcze przed wojną... - pan Michał się rozmarza. - Było właśnie tak samo, jak na tym rysunku. Flip stał na drabinie, żeby zawiesić obraz, i zamiast młotkiem w gwóźdź, zasunął się w palec, zleciał z drabiny prosto do łazienki...

- I co dalej?

Tego już pan Michał nie pamięta, przecież oglądał film przed wojną, a zresztą nie o to chodzi.

- Więc już przed wojną byli modni długowłosi? - interesuje się Zygmunt.

- A nie, skądże, Flip był przyzwoicie ostrzyżony.

- E, panie Michale, ładnie tak oszukiwać? Jak może się panu ta postać kojarzyć z Flipem, kiedy on nie miał długich włosów?

Pan woźny jest szczerze zmartwiony:

- Rzeczywiście, pewnie pomyliło mi się z innym filmem.

Magda nie wytrzymuje dłużej na drabinie. „Czego oni się tak cieszą?” Zeskakuje, żeby sprawdzić, co się dzieje w drugim końcu sali. W tym momencie trzaska środkowy szczebel.

- Panie Michale - mówi ze skruchą do wychodzącego woźnego. - Ta drabina wzdycha do emerytury. Przydałaby się nowa.

- Nowa, nowa, wam tylko nowości w głowie. Zreperuje się i będzie jeszcze lepsza jak nowa. - Na pana Michała nie ma mocnych. Jak się zawężmie, to nikt go nie przekona.

Markiewicz kiwa na Magdę i mając obie ręce zajęte wazonem wskazuje brodą na rozłożoną planszę.

- Kogo rozpoznajesz na załączonym obrazku? Magda przygląda się własnemu portretowi (raczej udanemu), ale mówi co innego, niż myśli:

- Sądzę, że to wizerunek Niemena uchwycony w momencie, kiedy zawiesza nad łóżkiem ślubne zdjęcie z pierwszego małżeństwa.

- Primo, żadnego Niemena, mówi się: Niemna. Ibis wyjaśniał już niejednokrotnie. Secundo, mylisz płeć osoby. To dziewczyna, nie facet. Widzisz, Zygmunt? Ten grecko-rzymski nos wszystkich myli. Musisz popracować nad tym szczegółem. A po trzecie...

- Aleś ty dowcipny! - Magda ma kompleks na punkcie swojego nosa. Nawet nie kompleks w całym tego słowa znaczeniu, zaledwie kompleksik, ale zawsze. Gdyby nie ten nos, odrobinę za duży, byłaby zupełnie ładna. - Marko! Już cię palec nie boli? Wyciągnij go z wody, bo ci zakwitnie w tym wazonie albo wypuści korzenie. Nie chciałbyś popracować trochę?

- Czemu nie? Co mam robić?

- Zaraz ci coś znajdę...

Zabawa zaczyna się o osiemnastej. Do tańca gra zespół bigbeatowy pod niebanalną nazwą: „Sploty marzeń”. Kierownik zespołu o przepisowej fryzurze a la Piast Kołodziej obsługuje gitarę basową, jego młodszy brat solową, trzeci muzyk o smętnym wyrazie twarzy i długich, kręconych blond bokobrodach dmucha z zapałem w saksofon, a na perkusji pracuje bezinteresownie kolega z Ia.

Zespół jest młody, ale poważnie traktuje swoje rzemiosło. Zjawili się godzinę przed rozpoczęciem zabawy, popodłączali instrumenty, gdzie potrzeba, namotali mnóstwo drutów, zainstalowali wzmacniacze, głośniki i mikrofony.

Punktualnie o szóstej inaugurują zabawę walczykiem „Cała sala”. Par jest jeszcze niedużo. Chłopcy jak zwykle objijają się pod ścianami, ale co śmielsze dziewczęta wciągają kolegów do tańca. Hiszpański walczyk robi swoje, towarzystwo się rozkręca i deptanie po palcach odchodzi, aż się kurzy.

- Zatańczymy? - proponuje Magdzie Zygmunt.

- Można.

Par przybywa. Na sali robi się kolorowo. Uprosilili u pana dyrektora zabawę kostiumową. Zgodził się, ale pod warunkiem, że kostiumy będą ładne i oryginalne. Jest przewidziana nagroda za najciekawszy strój.

„Sploty marzeń” grają wytrwale, umiejętnie dawkują porcje decybeli. Po szybkich rytmach spokojniejsze i odwrotnie. W tej chwili blady i smutny mistrz saksofonu występuje w numerze wokalnym. Przy akompaniamencie pozostałych członków zespołu wykonuje piosenkę „Bądź dziewczyną moich marzeń”. Jacek Lech to on nie jest, ale stara się zrobić jak najlepsze wrażenie. Zostaje nagrodzony rzęsiстыми oklaskami, przede wszystkim za dobrą wolę i szczerą chęć. Musi bisować, co czyni z nieukrywanym zadowoleniem.

Magda nie myślała, że tę melodię można tańczyć, a jednak pary jakoś drepczą i kołyszą się rytmicznie.

- Co to za taniec? - zwraca się do Zygmunta.

- Według mnie, skrzyżowanie tanga z kujawiakiem. A w ogóle każdy tańczy jak mu wygodniej.

Rzeczywiście. Co para, to inny styl tańca. Odrębny. Oryginalny.

- Spróbujemy?

Próbują. Magdzie długa, biała szata zrobiona z dwóch obrusów, a mająca przedstawiać strój hinduski, płącze się pod nogami. Gdyby nie charakterystyczne czarne kółko na czole, mogłaby uchodzić za Penelopę, Lizystratę albo zwyczajną, rodzimą chłopkę pańszczyźnianą, prosto z „Żeńców” Szymona Szymonowicza. Kostium jest niespecjalnie pomysłowy, ale Zygmuntowi się podoba. Nie odstępuje Magdy na krok. Dobrze to i niedobrze. Dobrze, bo przy braku chłopców każdy partner się liczy, a niedobrze, bo nie ma możliwości zatańczenia z kim innym. Żadnych niespodzianek, żadnego oczekiwania.

Zygmunt czuje się trochę niezręcznie jako lekarz-laryngolog, w pożyczonym od znajomego doktora przyrządzie na głowie. Miał jeszcze oryginalne słuchawki lekarskie zawieszane na szyi, ale schował je do kieszeni. Zygmunt w ogóle nie lubi występować w charakterze przebierańca. Szuka możliwości, żeby pozbyć się z głowy uciążliwego rekwizytu.

Niestety, do kieszeni nie wejdzie, a w rękę trzymać niewygodnie. Tańczy więc z przekrzywionym na bok lusterkiem.

- Co ty, Kilder, przekwalifikowałeś się na Templera? - woła z daleka Markiewicz, zakreślając kółko nad głową. Tańczy z Jagodą ubraną w strój marynarski. Sięga jej zaledwie do ramienia, ale wcale go to nie peszy.

Obecnie rozbrzmiewają dźwięki „Hiszpańskiej pchły”. Rytmiczna melodia podrywa wszystkich nie zaangażowanych do tej pory i na sali robi się tłoczno. Jest gorąco, Magda siada pod ścianą, chce trochę odpocząć. Zygmunt wdrapuje się na parapet, żeby uchylić górne okno. Obserwują tańczących. Wszyscy skaczą, jakby ich kto podszczypywał albo łaskotał, wykonują różne ekwilibrystyczne figury, ktoś się przewrócił, kogoś niechcący kopnięto, ale taniec trwa bez przerwy. Co bardziej zmęczeni ograniczają się do klaskania w ręce i podśpiewywania la, la, la...

- Czy my też tak pociesznie wyglądamy w tańcu? - zwraca się Magda do Zygmunta.

Pytanie jest raczej retoryczne, bo skąd on może wiedzieć? Przecież nie widzi siebie ani jej. A swoją drogą mógłby zwrócić Magdzie wolność.

- Powinieneś zatańczyć z Sową.

- A co ona umie tańczyć?

- Walca umie na pewno.

Zygmunt zgłasza do orkiestry zamówienie i kieruje się w stronę wychowawczyni. Niestety, uprzedza go profesor Sumik i porywa Sowę do „Ostatniego walca”.

Smętny saksofonista znowu produkuje się w występach wokalnych. Tym razem po angielsku, z wyraźnym akcentem grójeckim.

Zygmunt wraca do Magdy, ale i tu ma pecha. Markiewicz poderwał mu dziewczynę i teraz kłania się z daleka trójkątną czapką z dzwoneczkami. Cały błazeński kostium, łącznie ze spiczastymi cizmami, wypożyczył z rekwizytorni teatralnej na Starym Mieście. Markiewicz tańczy lepiej od Zygmunta, ale czuby jego trzewików przeszkadzają w walcu.

- Podepczę ci te rollingstony - uprzedza Magda lojalnie.

Marko w trosce o całość teatralnego rekwizytu ściąga niewygodne obuwie i kontynuuje taniec w skarpetkach. Błaznowi wszystko uchodzi.

Do Zygmunta zbliża się Jagoda:

- Jesteś bez pary? Magda zdradziła? Poproś mnie. Na pewno nie odmówię.

Zygmunt prosi. Jakie ma inne wyjście? Na szczęście orkiestra cichnie, a gospodarz zabawy zarządza przerwę. Zmordowani tancerze udają się na kanapki i pączki z herbatą. Orkiestra dostaje podwójną porcję kanapek, chociaż nie wiadomo dlaczego.

Wśród młodzieży uwijają się matki z komitetu rodzicielskiego i pilnują, żeby nikt nie został pokrzywdzony. Gwar, pisk, harmider. Markiewicz zdejmuje z głowy błazeńską czapkę i potrząsa nią, starając się dźwiękiem dzwoneczków uciszyć hałas. Nie pomaga. Wtedy wsadza dwa palce w usta i wydaje przeciągły gwizd. Skutkuje natychmiast.

Zygmunt pozbywa się swojego laryngologicznego nakrycia głowy i wiesza je na uchwycie okna. Ktoś zdejmuje i puszcza w obieg. Jednej z młodszych koleżanek metalowa obręcz spada na szyję, co upodabnia dziewczynę do rasowego pieska w obroży. Brakuje tylko Czterech Pancernych.

Kiedy na półmiskach z kanapkami i pączkami robi się luźniej, profesorka Sowińska proponuje błyskawiczny konkurs na najciekawszy kostium wieczoru. Padają zgłoszenia. Widać wyraźną tendencję wysuwania kandydatur osób znajomych lub zaprzyjaźnionych, z mniejszym uwzględnieniem kreacji.

Na przykład Zygmunt zgłasza do nagrody strój hinduski, chociaż Magda ciągnie go za rękaw, żeby był cicho. Magda potrafi być obiektywna, orientuje się, że jej strój nie jest niczym nadzwyczajnym. Są dużo ciekawsze kostiumy. Choćby Stańczyk Markiewicza. To co, że wypożyczony z teatru, liczy się pomysł.

Zygmunt upiera się przy Hindusce. Czy jest jakaś rada na upartych? Jest. Trzeba ich przekrzyczeć. Więc Magda krzyczy nie żałując strun głosowych:

- Niech żyje Stańczyk!

Markiewicz nie ma nic przeciwko temu. Nie może usiedzieć na miejscu. Krąży między stolikami, kłania się błazeńską czapką i robi sobie reklamę jak kandydat na prezydenta.

Zygmunt nie ustępuje:

- Markiewicz nie jest wcale w moim typie. Skreślam go.

Niestety inni mają odmienne zdanie.

- Stańczyk! Stańczyk! - skandują dziewczęta. Najgłośniejsza Jagoda.

Markiewicz czuje się bliski zwycięstwa, już, już ma się stać faworytem, kiedy nagle pada niespodziewana kandydatura koleżanki z Ia. Nie zauważona do tej pory drobna postać w kimonie zostaje wyciągnięta na środek i poddana ogólnemu sądowi. Trudno zaprzeczyć, że jest bardzo efektowna. Odpadają wszystkie Cyganki, krakowianki, góralki. Nie mają także szans osobnicy z epoletami i bakami. Na placu boju zostaje tylko tych dwoje: drobna Japonczka i błazen królewski - Stańczyk.

Głosujący dzielą się na dwa obozy: część w dalszym ciągu upiera się przy Stańczyku, a druga, raczej większa, skanduje dla odmiany:

- Harakiri! Harakiri!

Zażenowana Japonka zakrywa twarz wachlarzem. Na pewno nie chodzi o chwyt reklamowy, ale ten piękny wachlarz przesądza w rezultacie o jej zwycięstwie.

- Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju - wyraża półgłosem swoje niezadowolenie Marko.

Kto wie, czy nie ma racji. Publiczność wrażliwa jest na egzotyczne piękno. Kostium koleżanki z Ia jest śliczny, dziewczyna również, jakby prosto z „Madame Butterfly”. W wyniku głosowania Japonczka uzyskuje pierwszą nagrodę, Stańczyk drugą. Prócz honorowych dyplomów laureaci otrzymują pudło luksusowych lizaków, które natychmiast zostają rozczestowane.

Orkiestra podjadła, wszyscy odpoczęli, tany zaczynają się od nowa. W drugiej części zabawy odbywa się koncert życzeń. Zapowiadają: Butterfly i Stańczyk. Pierwsza melodia dla profesorki Sowińskiej. Wychowawczyni Ib jest ogólnie lubiana i w dowód sympatii otrzymuje „Zorbę”. Niektórzy próbują tańczyć, ale wyniki osiągają mierne. Sytuację ratuje saksofonista i wokalista zespołu, który okazuje się również tancerzem.

Zygmunt znowu prosi Magdę do tańca. Czy on nie widzi innych dziewcząt? Twierdzi, że nie. Jak by go spławić?

Profesor Sumik proponuje białego charlestona, czyli „panie proszą panów”. Magda podejmuje błyskawiczną decyzję. Podchodzi do stojącego przed rysunkiem Panny Jaroszczyka i wbrew samej sobie, aby tylko pozbyć się Zygmunta, ryzykuje pytanie:

- Czy można cię prosić?

Jaroszczyk jest zaskoczony. I zdziwiony. Ale tylko przez moment. Za chwilę uśmiecha się uprzejmie i wiezie partnerkę w tany. Nieszczęśliwie im jednak wychodzi ten charleston. Gubią rytm, a poza tym ten okrzyczany amant sięga Magdzie zaledwie do ucha. A to heca! Że też wcześniej tego nie zauważyła. Chłopak powinien być wysoki, a jeśli nie jest, nie ma prawa być zarozumiały. Zygmunt to chociaż góruje nad nią wzrostem (nie tylko wzrostem, jeśli chodzi o ścisłość). Nie jest on taki najgorszy, nawet tańczy nieźle i w ogóle. Trzeba było dopiero wypróbować tego Jaroszczyka, żeby docenić Zygmunta.

Na sali przeredziło się trochę. Część poszła do domu, a pozostali snują się ospale po parkiecie. Dochodzi godzina dwudziesta druga trzydziści. Profesor Sumik próbuje ogłosić zakończenie, wtedy wszyscy się ożywiają i za wszelką cenę chcą przedłużyć zabawę. Rozbrzmiewa polka, potem oberek, a potem to już naprawdę trzeba się rozejść. Karnawał został pożegnany.

VII

Profesor Wierzbicki jest człowiekiem systematycznym, konsekwentnym, działającym według ustalonego harmonogramu. Wiadomo - matematyk. Klasówka była zaplanowana, więc musi się odbyć, chociaż klasie Ib jeszcze brzmi w uszach muzyka i przypominają się wczorajsze zgrywy.

Markiewicz wyszedł ostatni ze szkoły, ponieważ nie mógł odnaleźć swoich trzewików. Ba, żeby swoich, Jakiś humorysta schował mu stańczykowe ciżmy pod scenę i dopiero pan Michał przypadkiem trafił na nie, szukając szczotki do zamiatania.

- Drogi, kochany Michałko! - rozczuła się Markiewicz. - Uratował mnie od niechybnej ruiny finansowej. Gdyby mi przyszło odkupić te kamaszki, musiałbym sprzedać narty, zegarek, a może jeszcze coś z garderoby.

- Przesadzasz, aż tyle nie były warte - mówi ktoś z niedowierzaniem.

Natychmiast po dzwonku ukazuje się w drzwiach drobna postać profesora Wierzbickiego z plikiem zeszytów pod pachą.

- Klasówka! - biegnie między ławkami złowrogi szept.

Profesora dziwi reakcja klasy. Przecież zapowiadał w zeszłym tygodniu klasówkę. Zawsze zapowiada. Nigdy nie działa zza węgła, metodą zaskoczenia. Przez tydzień można było się przygotować, niektórzy na pewno są przygotowani. Zbyszek, Zygmunt czy Sławka. Wiadomo, największe korby, ale reszta? Ciemna masa. Plewy, niefrasobliwie pływające na powierzchni matematycznej wiedzy.

Profesor tasuje towarzystwo. Sławkę sadza z Józwiakiem na pierwszej ławce, Zygmunta za nimi. Koncentruje kwiat matematyków w jednym miejscu, a resztę rozsadza jak flance pomidorów, każdą osobno i w dość dużej odległości. Następnie pisze na tablicy dwa tematy: lewy rząd - pierwszy temat, prawy - drugi temat. U profesora Wierzbickiego porządek musi być.

Magda siedzi w czwartej ławce środkowego rzędu, Zygmunt i Sławka w pierwszym od okna. Najprostsza droga porozumienia przez Mirkę i Jagodę. Niewesoło. Sławka pisze temat pierwszy, Zygmunt i Magda - drugi. Szkoda. Wolałaby Sławkę prosić o pomoc, ma się chociaż czym zrewanżować. A u Zygmunta stale zaciąga długi. Cóż z tego, że chłopak jest bezinteresowny i kieruje się szczerą przyjaźnią? Nie można w nieskończoność korzystać z czyjejs bezinteresowności.

A może dzisiejszy dzień okaże się szczęśliwy dla niej? Może napisze klasówkę samodzielnie? Czasem się zdarza, że profesor trafi na temat nieobcy uczniowi. Magda nie jest kompletnym tumanem, jeśli chodzi o matematykę, tyle że czasem pokręci wzór albo zgubi w pośpiechu jakieś zero. Na ogół mieści się w granicach trójki.

Profesor Wierzbicki napisał już na tablicy obydwa tematy i zarządza start.

Magda notuje treść zadania: *W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym Warszawa miała dziewięćset trzydzieści siedem tysięcy mieszkańców...*

„Czyżby? Aż tylu ich było?” - zaczyna myśleć na tematy oderwane. Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty pierwszy jest dla niej odległy, a Warszawę widzi w wyobraźni jako miasto staroświeckie, ciasne, noszące ślady długoletniego panowania zaborców, miasto o smutnych domach i głębokich jak studnie podwórkach. Warunki mieszkaniowe tych dziewięćset trzydziestu siedmiu tysięcy musiały być ciężkie.

„Zostaw, trąbo, te medytacje na inną okazję!” - przemawia sobie do rozsądku.

... *a w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym ludność Warszawy wynosiła...*

„Co mogła wynosić ludność Warszawy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym? Jakiś skromny dobytek uratowany przed bombami niemieckimi...” I znowu, zamiast myśleć matematycznie, daje się ponieść wyobraźni i rozważa zagadnienie z punktu widzenia historii.

Tak bywa, kiedy ktoś specjalizuje się w jednym kierunku. Czas płynie, a zadanie jeszcze nie nadgryzione.

Zygmunt od czasu do czasu rzuca ostrożne spojrzenie w jej stronę. Ona udaje, że nie widzi, i próbuje się zmobilizować.

W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym ludność Warszawy wynosiła milion dwieście osiemdziesiąt dziewięć tysięcy ludzi. W którym przypuszczalnie roku przekroczyła milion?

- Mirka! Jesteś korba z geografii. W którym roku Warszawa miała milion mieszkańców? - rzuca szeptem do siedzącej przed nią koleżanki.

Mirka nie słyszy albo udaje, że nic do niej nie dociera. Sama siłuje się bezskutecznie ze swoim zadaniem.

Nie ma rady! Trzeba zdać się na własne siły albo na Zygmunta. O! Co to, to nie! Przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Do dzwonka daleko, byle wziąć się w garść, jakoś poleci.

Wierzbicki rozgląda się czujnie po klasie i łagodnie napomina:

- Harasiak, nie odwracaj się ciągle do tyłu, szyję skręcisz.

- Nic mu nie będzie, panie profesorze. Kilder zna sposoby leczenia - broni Zygmunta Markiewicz, zapuszczając przy okazji żurawia do jego zeszytu.

Magda wpada na pomysł, że w zadaniu trzeba zastosować wykres funkcji liniowej. Jest tak olśniona swoim odkryciem, że nie widzi zwiniętej kulki papieru rzuconej przez Zygmunta. To nawet dobrze, że nie widzi, bo profesor jest dziś wyjątkowo spostrzegawczy. Właśnie przechwytuje tę pomoc naukową i poznawszy pismo Zygmunta, z ciężkim sercem zabiera mu zeszyt i każe wyjść z klasy. U profesora Wierzbickiego nie ma wyjątków, tylko nie domyśla się, że Zygmunt już dawno skończył klasówkę.

Magda też się tego nie domyśla i jest jej głupio, że chłopak przez nią wpadł, a zresztą, dobrze mu tak! Niech nie będzie za gorliwy. Sama sobie poradzi. Najpierw rysuje układ współrzędnych. Na osi OX oznacza lata, na osi OY - liczbę mieszkańców (jedna kratka - sto tysięcy) i bez trudu dochodzi do wyniku, że milion stuknął Warszawie w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Wszystko byłoby pięknie, gdyby jeszcze zdążyła rozwiązać dwa równania i dwie nierówności.

Niestety, czas minął. I znowu nie osiągnie więcej niż trójczynę. A już była taka bliska zaimponowania Zygmontowi.

Przygotowania do inscenizacji „Piotra” są w pełnym toku. Próby odbywają się dwa razy w tygodniu. Większość wykonawców zna już swoje role na pamięć. W pierwszych dniach kwietnia śmiało będzie można wystartować z premierą. Czas pomyśleć o dekoracjach. Zygmunt ściągnął kilkanaście arkuszy szarego papieru i znęca się nad nim, używając przeróżnych technik. Akwarelę miesza z olejem, a gdzieś tam stosuje nawet metaloplastykę.

Zużył ogromne ilości farby plakatowej i całe stopy opakowań od czekolady. Srebrna folia jest doskonałym surowcem na płatki jaśminu, ponieważ biała farba zupełnie nie daje efektu na szarym papierze. Magda pomaga Zygmontowi wycinać stylizowane płatki.

- Kiedy zdążyłeś skosztować tyle czekolady? - dziwi się, widząc, że opakowanie jednej tabliczki wystarcza zaledwie na dwa kwiaty.

- W ogóle nie lubię czekolady, wyłudziłem te papierki od siostry.

- Za ile?

- Drobiazg. Długopis i gumka „myszka”.

- Wystaw rachunek za koszty handlowe.

- Nie warto. Długopis był prawie wypisany, a gumka też mocno zużyta.

- Nie posądzałam cię o tyle sprytu i zaradności życiowej. Kto cię tego nauczył?

- Życie.

Zygmunt nie miał łatwego dzieciństwa. Kiedy skończył osiem lat, rodzice się rozeszli. Matka wyjechała, a on został z ojcem. Niedługo byli sami. Dwaj mężczyźni na gospodarstwie w szybkim tempie doprowadzili mieszkanie do stanu nieużywalności. Na szczęście albo raczej na nieszczęście (dla Zygmunta) zainteresowała się nimi pewna litościwa osoba, zaprowadzając szybko nowy ład. Rzecz jasna zainteresowała się ojcem, a Zygmunta traktowała jako zło konieczne. W ten sposób Zygmunt stracił matkę i ojca, a zyskał przysłowiową macochę i przyrodną siostrę, która się niebawem urodziła. Obecnie ma sześć lat i jest zupełnie miłym dzieckiem. Zygmunt przywiązał się do małej i twierdzi, że to najsympatyczniejsza postać w rodzinie.

Wycinanie kwiatków jest zajęciem żmudnym, ale efekt końcowy wynagradza poniesiony trud. Jest na co popatrzeć. Zygmunt przymawia się o pochwałę. Profesorka Sowińska wyraża swoje uznanie, koleżdy też, tylko Magda zachowuje się powściągliwie.

- Ujdzie w tłoku - rzuca od niechcenia.

Helena ma już gips zdjęty, ale przez dwa tygodnie musi jeszcze przebywać w domu. Jest niepokieszona, że ominie ją premiera „Piotra”. Zygmunt nie bierze udziału w spektaklu, więc obiecuje nagrać go na magnetofon i odtworzyć Helenie przy okazji. Helena jest wniebowzięta. Twierdzi, że opłaciło jej się złamanie nogi. Nie widzi Zygmuntowych intencji. A on robi to wszystko dla przypodobania się Magdzie.

Nadchodzi dzień premiery „Piotra”. Jagoda z Mirką sprzedają bilety. Gałęcki z Pietrzakiem stoją w charakterze bileterów u wejścia do sali gimnastycznej. Kilkanaście programów, które w przeddzień zdążyła przygotować Wanda, okazuje się przysłowiową kroplą w morzu, zwłaszcza że na karcie tytułowej widnieje karykatura bohatera, uchwycona z wielkim talentem.

Wanda chce zdawać na Akademię Sztuk Pięknych, jeśli nie zostanie przyjęta, z rozpaczą wyjdzie za mąż. Za kogo? Nieważne. Badylarz czy jakaś inna inicjatywa prywatna. Na terenie powiatu nietrudno o odpowiedniego kandydata. Wanda oczywiście żartuje, ale Zbyszek Joźwiak, chłopak solidny i serio (tylko zbyt cichy i skromny), cierpi wyraźnie, słysząc jej słowa.

Programu nie starczyło nawet dla Jaroszczyka. Wanda obiecuje mu zrobić specjalny egzemplarz, za co zostaje pocałowana w rękę.

- Zbyszko, gdzie jesteś? - podburza Markiewicz. - Możesz patrzeć na takie rzeczy?

Zbyszko nie może patrzeć na takie rzeczy, więc idzie pomagać w ustawianiu dekoracji. Właściwie wszystko jest już gotowe, próbuje się jeszcze, czy reflektory działają sprawnie, bo z tym zawsze są kłopoty.

Jaroszczyk zostaje wezwany za kulisy, gdzie aktorzy muszą się poddawać torturom charakteryzacji. Za parę minut rozpocznie się przedstawienie. Markiewicz w białym kelnerskim kitlu (pożyczonym od znajomego fryzjera) biega po sali wśród widzów. Profesorka Sowińska zagania go za kulisy.

Czeka się jeszcze na zaproszonych gości z Wydziału Oświaty i Powiatowej Rady Narodowej, którzy zjawiają się z pewnym opóźnieniem. Nareszcie gong!

Kurtyna się odsłania i owinięty zieloną bibułą reflektor oświetla postacie Justyny i Piotra, siedzących na tle dekoracji wycarowanej przez Zygmunta. Magda stoi w rogu sceny, schowana za kurtynę i sufleruje. Egzemplarz sztuki jest jej prawie niepotrzebny bo uczestnicząc we wszystkich próbach zna tekst na pamięć.

Aktorzy też znają swoje role, ale trema może im splatać figla. Obecność suflera okazuje się niezbędną.

Piotr początkowo myli się nieco, zwłaszcza że słyszy z sali leciutkie śmiechy.

W momencie, kiedy Piotr mówi: - Ja się nigdy nie ożenię - sala wybucha gromkim śmiechem. Samemu bohaterowi stwierdzenie takie musi wydawać się komiczne, bo i on nie może utrzymać powagi. Trwa to jednak tylko przez chwilę.

W dalszym ciągu dialogi zabawne przeplatają się z poważnymi. Dużą wesołość wywołuje pojawienie się na scenie kelnera, czyli Markiewicza. Wypracowane gesty, ukłon i dwa słowa: - Służę panom - oraz: - Służę uprzejmie - giną w burzy oklasków.

Markiewicz syty chwały schodzi ze sceny i nie rozbierając się zmierza na widownię, skąd już jako widz uczestniczy w dalszej części spektaklu.

Sztuka nie stawia kropki nad i, problem zostaje otwarty, zmusza do własnych przemyśleń.

Długotrwałe brawa wynagradzają aktorom ich wysiłki, a profesorka Sowińska otrzymuje czerwone goździki. Należą się jej. Niemało trudu włożyła w to przedstawienie, niejedno popołudnie poświęciła na omówienie ról z poszczególnymi aktorami.

Następnego dnia odbywa się ożywiona dyskusja nad „Piotrem” w klasie Ib. Sowa poświęca na nią jedną godzinę języka polskiego, wychodząc ze słusznego założenia, że nie będzie to czas stracony.

Sztuka wywołuje kontrowersje.

Gałecki krytykuje niejednoznaczne zakończenie.

- Jak według ciebie powinien postąpić Piotr? - pyta Sowa, ciekawa postawy swoich wychowanków.

- Obojętnie, jak. Ważne, żeby powziął męską decyzję. W prawo albo w lewo, a nie jak baba, siedzi i medytuje. Powinno być powiedziane jasno, co postanowił.

Dziewczęta są dotknięte określeniem: „jak baba”.

- Rozterka wewnętrzna nie jest cechą wyłącznie kobiecą - mówi Sławka. - Mężczyźni też lubią być niezdecydowani. A sprawa Piotra nie jest taka prosta.

- Ciekawe, co ty byś zrobił, dowiedziawszy się, że spowodowałeś kalectwo dziewczyny i szereg komplikacji w jej życiu? - pyta Magda.

Sowa nie włącza się do dyskusji, pozwala wychowankom wypowiadać się swobodnie. Jest zadowolona, że sztuka wywołała tak żywy oddźwięk.

- Nie mam pojęcia - Gałecki naprawdę robi wrażenie takiego, co nie wie.

- Pomyśl - nie ustępuje Magda. - Rzucasz kamieniem w szybę, ktoś przez ciebie traci wzrok. Młoda dziewczyna zostaje bez opieki, zupełnie bezradna, zdana w tym momencie na twoją decyzję. No, powiedz, co wtedy powinieneś zrobić?

Gałecki czuje się osaczony. Wpadł we własne sidła.

- Przede wszystkim - zaczyna wymijająco - nie rzucałbym kamieniem w szybę. A więc nikt przeze mnie nie traci wzroku - konkluduje - i mam problem z głową.

- Z mężczyznami to taka rozmowa! - Magda jest niezadowolona, ale musi przyznać, że wybijanie szyb nie jest rzeczywiście specjalnością Gałeckiego.

- Ja uważam, że Piotr powinien ożenić się z Justyną - proponuje Mirka. Ta dziewczyna lubi wszystko upraszczać.

Teraz z kolei chłopcy protestują:

- O! Zaraz ożenić się! Głodnemu chleb na myśli. Piotr powiedział przecież zupełnie wyraźnie: „Ja się nigdy nie ożenię”.

Mirka upiera się przy swoim:

- Kiedy poznał Justynę, zmienił zdanie, przecież oświadczył się jej.

- Ale nie wiedział, że jest niewidoma.

- Co za różnica?

Rozlegają się śmiechy. Ta Mirka potrafi być czasem naiwna jak dziecko.

- A ty wyszłabyś za mąż za niewidomego? - pyta Sowa.

Mirka nie odpowiada natychmiast, tylko czerwieni się i dopiero po chwili mówi półgłosem:

- Gdybym go kochała, to oczywiście.

Teraz nikt się nie śmieje. Padło duże słowo: miłość. Wszyscy są odrobinę speszeni.

VIII

Z racji wydania pierwszego numeru „Echa” odbywa się uroczysty apel, a że jednocześnie wypada zakończenie trzeciego okresu, więc obydwie sprawy zostają załatwione jednym rzutem.

Każdy okres przynosi szczegółowe podsumowanie. Oblicza się wyniki zespołowe oraz indywidualne. Typuje się najlepsze klasy i najlepszych uczniów. Ci ostatni bywają na apelu wyczytywani z imienia i nazwiska, wychodzą na środek sali, ustawiają się wianuszkami przed stołem dyrektorskim, nieco zażenowani, ale ze źle ukrywanym wyrazem zadowolenia na obliczach. Dyrektor ściska im dłonie, wygłasza coś w rodzaju mowy pochwalnej, i to wszystko. Jest jeszcze trochę zazdrości ze strony tych, którzy też się starali, ale im się nie udało, oraz lekceważące spojrzenia innych, co się nie starali.

Zygmunt jest w pierwszej dziesiątce wyróżnionych. Czuje się bardzo nieswojo. No cóż? Trzeba ponosić konsekwencje swojego pozytywnego stosunku do nauki. Życie to nie jest bajka. Magda ma ten kłopot z głowy. Nigdy nie była przodownicą we wszystkich przedmiotach. Ma natomiast inne zmartwienie. Musi zabrać głos na temat „Echa”. Przewyciężając tremę stara się zagajać krótko i rzeczowo, że jest to pierwszy, eksperymentalny numer, że na pewno znajdzie się w nim sporo błędów, że prosi koleżanki i kolegów o uwagi i życzenia, które będą pomocą przy redagowaniu następnych. Na zakończenie dziękuje w kilku słowach profesorce Sowińskiej za patronowanie temu przedsięwzięciu, oraz koleżankom i kolegom, którzy dostarczyli materiałów do gazetki.

Wszyscy się cieszą, biją brawo, profesor od śpiewu podnosi pałeczkę dyrygencką, chór zaczyna śpiewać okolicznościową pieśń, a z ostatnich rzędów sali dobiega łobuzerski akompaniament. Chłopcy rytmicznie przytupują, co wcale nie budzi entuzjazmu profesora od śpiewu.

Tak oto odbyło się wejście „Echa” między ludzi. Magda wręcza co ładniejsze egzemplarze profesorom i autorom artykułów, a resztę oddaje do sklepiku szkolnego, gdzie są sprzedawane po pięć złotych. Tworzy się kolejka i od razu wiadomo, że dla wszystkich nie starczy. Cały nakład zostaje rozprzedany błyskawicznie. Sukces. Należy pomyśleć o następnym numerze.

Magda wraca pieszo do domu. Z Zygmuntem. Gratuluje mu wyróżnienia. Zygmuntem jest jeszcze bardziej głupio niż tam, przed stołem dyrektorskim.

- Nie rozumiem ciebie - dziwi się Magda. – Tyrasz, tyrasz, a kiedy przychodzi dzień zapłaty, wstydzisz się swoich osiągnięć. Coś mi tu nie gra.

- Nie o to chodzi - protestuje Zygmunt. - Nie wstydzę się osiągnięć, tylko nie lubię się nimi chwalić. Nie lubię szopek. Dyro ściska ci łapę, wszyscy biją brawo i udają, że się cieszą. Po co to?

- Brak ci konsekwencji. Przecież każdy uczy się dla stopnia, dla nagrody. To normalne. Jakby ci nie zależało, to byś się nie uczył. Dobrze mówię?

- Niezupełnie. Ja muszę dużo umieć, muszę dostać się na studia i pracować. Bez szumu, nie dla kariery. Tak zwyczajnie pracować.

- Ile ty masz lat, Zygmunt?

- Nie wiesz? Pewnie tyle co ty. W przybliżeniu.

- Ja mam piętnaście. I odpowiednio do tego zielono w głowie. A ty mówisz jak mój ojciec.

- Twój stary musi być niezły facet.

- Uhm, ale ma czterdzieści lat, to mu już wszystko wolno. A kiedy ma się piętnaście, należy być niedojrzałym, sfrustrowanym, mieć konflikty z rodzicami i nauczycielami, no i w ogóle...

- Amen.

Idą właśnie torem kolejki grójeckiej. Po prawej stronie srebrzą się wierzby obsypane puszystymi kotkami. Zygmunt usiłuje znaleźć kilka ładnych gałązek.

- Niszczysz przyrodę, ty pozytywny bohaterze - protestuje bez przekonania Magda.

Zygmunt wręcza jej pęk brązowoszarych witek.

- Za dużo - Magda oddziela kilka gałązek. - Zanieś mamie... - W tym momencie gryzie się w język, przypominając sobie sytuację rodzinną kolegi.

- Niech to będzie dla twojej mamy - mówi Zygmunt cicho.

Magda ma chęć pocałować go. W policzek. Ale powstrzymuje się. Po pierwsze - ludzie. A po drugie - bez sentymentalnych odruchów. Jest zła na siebie za wstawianie chłopakowi mowy o konieczności konfliktów z rodzicami. Jakby nie miał ich pod dostatkiem. I na co dzień, i od święta. Głupio wyszło. Komu on się pochwali dzisiejszym sukcesem? Z kim podzieli się radością? Bo to nieprawda, że mu wcale nie zależy. Na pewno byłby szczęśliwy, mogąc zwierzyć się rodzinie. Tymczasem jego osiągnięcia nikogo nie obchodzą. Ojciec mało się nim interesuje. Nawet na wywiadówki nie przychodzi. „Tej pani” też jest zawadą w domu. A matka? Pewnie w ogóle zapomniała, że ma syna. Takiego syna! Nic dziwnego, że Zygmunt myśli tak poważnie o swojej przeszłości.

Mówi się, że obecny wyż demograficzny to pokolenie mięczaków i tylko ci, co przeszli twardą edukację wojenną, są zahartowani życiowo. Niezupełnie. Czas pokoju też obfituje w batalie, które kształtują charaktery. Zygmunt ma charakter. Trudno zaprzeczyć. Magda nawet trochę mu zazdrości. Chłopak może się wykazać. A ona co? Ojciec porządny, mama tym bardziej, w domu kanalizacja i telefon. Idealne warunki do zdemoralizowania się. Jakże to byłoby wielkie święto w rodzinie, gdyby ona, Magda, znalazła się w pierwszej dziesiątce. Już nie jako pierwsza, ale ostatnia z tych wyróżnionych. Jej rodzice potrafiliby to docenić. Na pewno.

- Co robisz jutro? - przerywa milczenie Zygmunt. Magda uświadamia sobie, że od jutra mają ferie wiosenne. Cały tydzień. Przecież w niedzielę Wielkanoc.

- Jeszcze nie wiem.

- Moglibyśmy gdzieś skoczyć, na przykład do Czerska albo nad Wisłę, koło Góry Kalwarii.

- Nie uważasz, że woda ciut za zimna na kąpiel?

- Nie musimy się kąpać.

- A co więcej można robić nad Wisłą?

- Dużo rzeczy.

- Mianowicie?

- Podziwiać widoki, pleść koszyczki z wikliny, łowić ryby...

- Z tego wszystkiego umiem tylko podziwiać widoki.

- Dobrze i to. A na przykład do łowienia ryb nie trzeba kończyć akademii. Wystarczy karta wędkarska. No i sprzęt.

- Nie posiadam.

- Nie szkodzi. Ja mam.

No proszę! Ten chłopak ma wszystko. Ale niech on sobie nie myśli, że Magda zaraz poleci na jego kiwnięcie palcem.

- Jutro nie mogę. Wypada przed świętami pomóc trochę w domu. I odwalić to, co zadane. Może we wtorek, w tak zwany trzeci dzień świąt?

- Dobrze. Masz rower na chodzie?

- Rower jest, tylko karty rowerowej brak.

- Jak to? W ogóle nie masz?
- Ani w ogóle, ani w szczególe. Jeżdżę „na gapę”. Czy w tej sytuacji rezygnujesz z mojego towarzystwa?

- Nie pleć głupstw. Ale kartę zrobisz?
- Może kiedyś, w dalekiej przyszłości.

Idą coraz wolniej. Magda wystawia twarz na działanie słońca. Nie chce się wracać do domu. Rozmawiają o tym i owym, w końcu żegnają się do wtorku.

W domu niespodzianka. Przyjechała babcia z Chojnic z sześciolatkiem wnuczką, Jacusiem. Śmieszny ten Jacuś do rozpuku. Buzia jak naleśnik posmarowany konfiturami rumieńców. Małe, ledwie widoczne niebieskie oczka, ale tak pociesznego błękitnego koloru Magda jeszcze u nikogo nie widziała, no i jasna szczecinka na głowie, stercząca jak kolce jeża.

- Aż się prosi, żeby to oskalpować - zauważa na boku Janusz, który od początku zajął względem kuzyna nieprzychylnie stanowisko.

- Przesadzasz, zupełnie znośny malec - stwierdza Magda, kiedy Jacek w odpowiedzi na jej perskie oko mruży obydwu na raz błękitne ślepek. Ją rozczulił każdy drobiazg: kociak, szczeniak, ptaszek czy ludzka istota. Tylko brata nie cierpiała od małego. Dlaczego? Nie potrafi wytłumaczyć.

Babcia nie widziała ich kilka lat i nie może się nadziwić, że tacy wielcy porośli.

- Magdusiu, przecież z ciebie już panna na wydaniu. Masz na pewno chłopaka, co?

Magda czerwieni się, nie wiadomo po co, a mama objaśnia, że to jeszcze dziecko, chłopcy jej nie w głowie, tylko nauka.

Jacuś wybałusza jak może najszerszej te swoje niezapominajki, a babcia słucha z niezadowolaniem. Babcia jest nowoczesna, docenia wagę nauki, mamę Jacka wysłała do technikum zaocznego i zajęła się ich gospodarstwem. Mamie Jacka w to graj, ale ona może spokojnie się uczyć, bo ma już męża, a Magda prócz ślęczenia nad książką powinna rozejrzeć się za odpowiednim kandydatem. Zamążdźcie przede wszystkim.

- Ja mogę być kobietą samodzielną albo, jak babcia woli, starą panną.

- Co ty mówisz, moje dziecko? - babcia bierze serio te pogrożki. - W naszej rodzinie nigdy nie było starych panien.

- Najwyższy czas nadrobić wiekowe zaniedbania. Akurat padło na mnie.

- Ona żartuje? - zwraca się babcia z nadzieją ku mamie.

- Oczywiście, żartuje jak zwykle. My już się przyzwyczailiśmy i nie traktujemy jej poważnie.

Fakt. Nikt w tym domu nie traktuje Magdy poważnie. Nawet i babcię przerobili. Jedynie dla Jacka może jeszcze być autorytetem. Próbuje nawiązać z nim kontakt. Zaczyna od wywiadu:

- A ty już masz dziewczynę, Jacek?

- Mam - odpowiada z powagą.

- Taaak? A jak się nazywa?

- Mariola.

- Ładnie się nazywa.

- No. I anioła mi dała.

- Anioła?

- Na choinkę anioła. I jemu się skrzydła ruszały.

- A może to był wiatrak? Nie pomyliło ci się, koleś? - wtrąca Janusz.

Magda świdruje palcem lewą skroń, czym wyjaśnia bratu, że ma go za półgłówka, ale Jacek odpowiada całym zdaniem:

- Nie pomyliło mi się, koleś.

- A ty co dałeś tej Marioli?

- Ja jej dałem kota.
- Jemu też się skrzydła ruszały?
- Koty nie mają skrzydeł, tylko ogon.
- Dobrze, że mi powiedziałaś, bobym nie wiedział.

Jacek nie dostrzega ironii, cieszy się, że jest w centrum zainteresowania.

Przybycie gości zmieniło szyć świątecznych przygotowań. Rytualne pieczenie ciast i mięsiwa odbywa się teraz pod przewodnictwem babci, która objęła prowadzenie w kuchni i komenderuje, kim się da.

Janusz skręcił mak do wielkanocnej strucli (trzykrotnie. Normalnie kręci się raz.), następnie przepuścił przez maszynkę mięso na pasztet i odmeldowuje się z powodu pilnych spraw służbowych.

- Kaloszy nie dostaniesz - uprzedza lojalnie Magda. - Przez to kolektywne użytkowanie muszę obecnie chodzić w dziurawych.

- Gardzę twoimi kaloszami.

- Od kiedy?

- Od dziś. Po pierwsze, nie idę na zbiórkę, a po drugie, już się w hufcu dopatryli i poddali krytyce czerwone kalosze. Jakby coś, to jestem u Antosia. Nie zdradź mnie przed rodziną. Muszę odetchnąć.

Magda też uważa, że już dosyć nautdziałała się w kuchni. Pod pretekstem odrabiania lekcji wymyka się do „dziecinnego pokoju”, czyli tego, który dzieli z bratem. Pomieszczenie ma dwa okna i cztery kąty, z czego na każde z nich przypada po dwa kąty i jedno okno. Niewiele, ale i to cieszy. Od razu, na pierwszy rzut oka widać, gdzie kto mieszka, chociaż mają jednakowe tapczany, nakryte jednakowymi narzutami, a na ścianach jednakowe słomiane maty.

Różnicę widać w sposobie zagospodarowania kącików. U Magdy narzuta na tapczanie naciągnięta jest równiutko, pod linijkę, bez żadnych fałd i załamań, u Janusza wprost przeciwnie. Na oknie Magdy stoją trzy dekoracyjne doniczki z kwiatami, podlewane od czasu do czasu, na drugim oknie jeden anemiczny kaktus z okresu, kiedy Janusz hodował rośliny doniczkowe. Relikt przeszłości. Na tapczanie Janusza poniewierają się zawsze jakieś książki, zeszyty, akcesoria harcerskie czy szpule z taśmami magnetofonowymi. Jak przychodzi pora spać, zrzuca wszystko na stół (połowa stołu należy do niego), a nie pochowa na półki czy do szuflady. Nie ma mocnych, żeby go do tego zmusili.

U Magdy na biblioteczce obok radia stoją zawsze jakieś ozdobne badyle w wazonie. Estetyka wnętrza znakomicie poprawia samopoczucie. Januszowi wystarczy sześćostrunowa gitara i kilka podobizn gwiazd piosenki. W tej dziedzinie zresztą Magda nie daje się wyprzedzić (z wyjątkiem gitary, oczywiście).

Kiedy Janusz przyszpilił do maty zdjęcie „Skaldów”, ona zaraz postarała się o „Czerwone Gitary”. On - „No to co”, ona „Trubadurów”, on Niemena, ona - Jacka Lecha i tak dalej. W tej chwili obydwie maty nad tapczanami są tak zatłoczone, że na nowo objawione bożyszczą nie ma miejsca, ponieważ stare nie tracą popularności. Można by wyrzucić Karin Stanek, żeby zrobić miejsce dla Miry Kubasińskiej, ale szkoda Stanek, jest taka fotogeniczna.

Magda usprawniła system kolekcjonowania podobizn. Wycina same głowy. W ten sposób zebrała dość pokaźną ilość osób. Ekspozycja przypomina nieco wystawę fryzjerską, ale wtajemniczeni wiedzą, o co chodzi.

- Czy to twoje koleżanki? - zapytała wczoraj babcia.

- Niestety, nie. To jest Kasia Sobczyk, to Kozłowska, a tę chyba babcia zna? Tę (Santor) babcia znała.

Magda szczęśliwa, że udało jej się zbiec z kuchni, przystępuje do lekcji. Chemię odfajkowuje w tempie i ma się właśnie zabrać do matematyki, kiedy z poobiedniej drzemki wstaje Jacek. Takie przyzwyczajenie wyniósł z przedszkola i żeby nie wyszedł z wprawy,

babcia otula go kocem, a posłuszne dziecko śpi codziennie ponad godzinę. Teraz wstał wypoczęty i chciałby się pobawić, ale nie ma z kim. Snuje się z kąta w kąt, przeszkadza babci osiągającej apogeum kulinarnych przygotowań.

Magda czuje, że powinna zająć się dzieckiem. Bądź co bądź, kuzyn, i do tego z „dalekiej prowincji”, niech wywiezie jak najlepsze wspomnienia. Magda ma dużo krewnych w województwie bydgoskim i gdańskim. Kontakty są dość luźne, bo to i odległość duża, i przejazdy kosztowne. Z niektórymi kuzynami mama wymienia karty świąteczne oraz imieninowe. Na obszerniejszą korespondencję brak obydwu stronom czasu i chęci.

Toteż tegoroczny przyjazd babci jest wielkim wydarzeniem. Szczególnie dla niej. Na pewno przygotowywała się do niego długo i starannie, przecież to wyjazd nie do sąsiedniego miasteczka, tylko do „samej” Warszawy.

Przyjechała ze spisem rzeczy do kupienia w stolicy, a nieosiągalnych w Chojnicach. Ustalono, że po zakupy pojedzie się po świętach, a ponieważ Jacek dostał z przedszkola dwa tygodnie urlopu okolicznościowego, więc zdąży się wszystko załatwić. Wychowawczyni Jacka zastrzegła jednak, że zwalnia go pod warunkiem, jeśli przywiezie dużo ciekawych wspomnień i wszystko opowie kolegom. Wszyscy słyszeli o Warszawie, ale Jacek pierwszy został tym wybrańcem losu, który miał się przekonać naocznie, jak to jest naprawdę.

Jacek obejrzał już całe mieszkanie, łącznie ze strychem i piwnicą, zaznajomił się z psem Asikiem do tego stopnia, że ten nie ujada na chłopca, tylko szczeka. Asik, „rasowy kundel”, ma trzy sposoby reagowania na ludzi. Kiedy na podwórko wchodzi ktoś obcy, wierna psina ujada przy swojej budzie jak na pożar, ale kiedy ten ktoś idzie w towarzystwie domowników, straż domostwa szczeka od niechcienia, po prostu dla przyzwoitości, żeby zasygnalizować, że jest, czuwa i nie przepuści nikomu. Trzeci sposób to radosne skomlenie na widok swoich, połączone z łaszaniem się i stawaniem na tylnych łapach oraz innymi dowodami przywiązania.

Magda zawsze pobawi się z psem, toteż na jej widok Asik podskakuje najwyżej (tak jej się przynajmniej wydaje). Ta psia wdzięczność jest jak najbardziej uzasadniona, bo nikt tak często jak ona nie spuszcza psa z łańcucha, nie przynosi smakołyków i nie darzy przyjaźnią, co zresztą przysparzało jej niekiedy kłopotów. Kiedyś pies wyrwał się przez nie zamkniętą furtkę na ulicę i przstraszył staruszkę, idącą z bańką mleka. Bańka wyleciała kobiecinie z rąk, zawartość polała się mleczną strugą po chodniku, a Magda czuła się w obowiązku wyrównania staruszce straty materialnej. Straty moralne poniosły obie po połowie. Kobieta strach, a ona wymyślania. Nie pomogły zapewnienia, że Asik jest najłagodniejszym kundlem w całym powiecie, że nigdy nikogo nie skrzywdził, i tak dalej. Staruszka wiedziała swoje i nie pozwoliła się przekonać.

Jacek już pierwszego dnia zauważył, że psu musi być smutno na łańcuchu, i zaproponował, żeby go uwolnić. Magda usiłowała wyjaśnić chłopcu powody, dla których nie można Asika obdarzyć wolnością, ale Jacek obiecał pilnować zamykania furtki. Rzeczywiście pilnował i udało mu się nawiązać kontakt z czworonogiem. Tylko jak długo można oddawać się jednemu zajęciu, zwłaszcza kiedy ma się sześć lat i kiedy na dokładkę po wczorajszym słonecznym dniu siępi dokuczliwy kapuśniaczek.

Janusz wyparował na całe popołudnie, zresztą z niego i tak niewielka pociecha, denerwuje go małeletni krewniak. Babcia z mamą dokonują w kuchni cudów kulinarnych. Zdaje się, że mama już ma dosyć współpracy z pedantyczną i nie znoszącą sprzeciwu babcią, ale przez szacunek dla siwego włosa poddaje się tej tyranii. Efekty są wszakże imponujące. Zwykle drożdżowe babki polukrowane zostały w artystyczne esy-floresy. (Komu to się chce normalnie dokonywać takich pracochłonnych zabiegów?). W maku - skręconym trzykrotnie - wyczuwa się drobniutko usiekane orzechy, wierzch makowca też otrzymał lukrowane wykończenie, a bigos i mięsiwa mają zupełnie inny (lepszy) smak.

Babcia nie żałuje rąk (ani swoich, ani mamy) i zarządza, że w piątek wieczorem wszystko ma być związane na ostatnią pętelkę, a w sobotę od rana - święto. Pojadą zwiedzić Warszawę. Babcia chce zobaczyć, jak wygląda stolica w dniu przedświątecznym. Musi przywieźć dużo wrażeń do swoich. Sąsiadki będą pytać o wszystko. Sąsiadki są ciekawe. Interesują się życiem „w wielkim mieście”. Niejedna zazdrościła babci tego wyjazdu.

Tak więc plany sobotnie powodują wzmożony wysiłek w piątek i w tej sytuacji Jackowi zostaje tylko Magda do towarzystwa.

Niech ją kosztuje. Pobawi się z dzieckiem, zwłaszcza że matka jej dziś nie podchodzi. Załatwi ją jutro, jak wszyscy pojadą do Warszawy. Zostanie w domu i odwali wszystko, co jest do zrobienia, a w święta odpocznie. Odpocznie? Na łonie rodziny? Dobrze byłoby się urwać do Sławki albo gdzie indziej. Ostatnio stosunki ze Sławką nie układają się najlepiej. Chyba z powodu Zygmunta. Tylko o kogo Sławka jest zazdrosna? O niego czy o Magdę? Trudno zgadnąć.

Jacek siedzi naprzeciwko Magdy, przy stole, na stałym miejscu Janusza i wlepia w „dorosłą” kuzynkę te swoje przeraźliwie błękitne oczka. Po chwili ośmiela się zadać jej pytanie:

- Co robisz?

Po raz pierwszy zwrócił się do niej przez „ty”.

- Co robię? Algebrę. - Trzeba chłopca zaszokować, żeby się nie spoufalił za mocno.

- Nie wiem, co to.

- Algebra to jest... to jest... jakby ci powiedzieć... to jest wyższa arytmetyka.

- Co to... ametyka?

- Arytmetyka, czyli rachunki: raz, dwa, trzy...

- Cztery, pięć, sześć...

- Właśnie. I dziesięć, i piętnaście.

- I dwadzieścia?

- I sto.

- Do stu to ja nie umiem - stwierdza Jacek z żalem i powagą.

- A do ilu umiesz?

- Do dwudziestu - i zaczyna liczyć.

Do dziesięciu udaje mu się bezbłędnie, ale po jedenastu następuje u niego trzynaście, potem piętnaście i wreszcie dwadzieścia.

- Jesteś geniuszem - chwali Magda zupełnie szczerze, bo kiedy miała sześć lat, nie potrafiła zliczyć do trzech. Dosłownie.

Jacek nie wie, co to jest geniusz, ale domyśla się, że pewnie coś dobrego, więc z dumą rozszerza w uśmiechu usta, pokazując na przedzie dużą szczerbę po mlecznych zębach.

- A pisać umiesz? - egzaminuje go dalej Magda, ciekawa, czy na innym polu to cudowne dziecko okaże się równie utalentowane.

Jacek potrafi postawić kilka nieforemnych kulfonów i zawiadamia, że już w tym roku pójdzie do szkoły. Będzie razem z Mariolą. W tym miejscu Magda dowiadytuje się kilku szczegółów z życia Jacka. A więc że Mariola mieszka w sąsiednim domu i babcia razem ich odprowadza do przedszkola, że jak on dorośnie, to się z Mariolą ożeni, a jakby nie chciała, to on weźmie ślub z Edytą Wojtczak. Magda tarza się ze śmiechu i chce wiedzieć, kto wpadł na pomysł z Edytką. Okazuje się, że to wymyślił tatuś Marioli.

- Czy on cię nie męczy, Magdusiu? - troszczy się babcia, przynosząc im do spróbowania przepyszne kruche babeczki, nadziewane jabłkową marmoladą.

- Skądże, babciu! - odpowiada Magda z pełnymi ustami. - Pycha! No, te babeczki, pycha, wspaniałe. Da mi babcia przepis? Upieczemy takie same na zajęciach.

Wraca Janusz. Swoim wyrobionym węchem odkrywa natychmiast niecodzienne zapachy. Dostaje przydziałową babeczkę, ale co to dla niego jedna sztuka. Po pierwszej

dopiero nabiera apetytu na więcej, ale nie z babcią te numery. Do całkowitego obżarstwa, zapamiętania się w przejedzeniu, wszyscy muszą poczekać, aż przyjdzie niedzielne śniadanie. To jest babci ostatnie słowo i wszelka dyskusja odpada.

Na kolację będzie chleb z twarogiem albo wędzonym dorszem. Byle do niedzieli!

IX

W sobotę wyprawa do Warszawy. Babcia wstała skoro świt i robi szczegółowe przygotowania. Wyglansowała swoje czarne, świąteczne półbuty, że przejrzyć się w nich można jak w lusterku. Gabardynową pelisę czyściła już kilkakrotnie, ale zawsze jakieś niedostrzegalne gołym okiem zanieczyszczenia wymagały usunięcia. Przed wyjściem jeszcze nieraz szczotka będzie potrzebna. Mama zauważyła nieśmiało, że w pelisie może być za ciepło, co wywołało ironiczny uśmiech babci. Nie może do Warszawy jechać w jesionce, która ma kilka wiosen i jest trochę podniszczona. Specjalnie ją wzięła na drogę, bo w pociągu wszystko się niszczy, a pelisa przyjechała w walizce, przeznaczona do założenia na uroczystą okazję.

Babcia chce brać kanapki na drogę, ale mama zdecydowanie odradza, planując w razie wygłodzenia wstąpienie do baru. Warszawa nie pustynia Kara-Kum, gdzie oazę od oazy dzielą setki piaszczystych kilometrów. Na babcię słowo „bar” działa odstraszańczo, więc po cichu pakuje do torby małe zawiniątko. Pierwsza pomoc w razie gwałtownej potrzeby.

Magda zostaje w domu. Musi posiedzieć nad matmą. Janusz nie musi nad niczym siedzieć, ale też nie chce jechać. Ktoś jednak powinien zająć się Jackiem.

- Wczoraj był mój dyżur, dziś kolej na ciebie - decyduje Magda.

- Cały dzień zmarnowany - broni się Janusz. -

Wykorkuję z tym pętakiem.

- Nie przesadzaj, to inteligentne dziecko.

- Tym gorzej dla mnie. Jestem wyjątkowo uczulony na inteligentne dzieci.

- Zmienisz zdanie, jak go lepiej poznasz.

- Raczej on mnie pozna.

- Po co ta mowa? Żadne argumenty cię nie uratują. Ja muszę się uczyć.

- Znam ten paciorek na pamięć. Kiedyś wykręcano się sianem, a teraz nauką.

- Zgadza się. Postęp i cywilizacja. Polska jest krajem ludzi uczących się.

Janusz mruczy coś niezrozumiale.

- Ulżyj sobie, póki nikt nie słyszy - zachęca Magda.

Może by i skorzystał, ale nie ma warunków, bo zjawia się babcia w raczej twarzowym kapeluszu i melduje gotowość wyjścia. Janusz z ciężkim westchnieniem wbija się w kurtkę i biorąc Jacka za rękę komenderuje:

- No to jadziem z tym koksem.

- Nie mówi się jadziem - oponuje dziecko.

- Naprawdę?

- No. Pani Zosia nie pozwala.

- Pani Zosia? Nie znam.

- Od starszaków, z przedszkola.

- Aha, pojmuję. A od młodszaków kto jest?

- Od maluchów. Panna Adelka.

- Ładnie. Też nie znam. Spadamy!

Mama zleca Magdzie pieczę nad domem i ugotowanie zupy pomidorowej. Zrobi się, tylko niech już wreszcie wyjdą. Wychodzą. Melduje o tym skrzypienie furtki. Dwóch mężczyzn w domu, a furka skrzypi i skrzypi od dłuższego czasu. Pewnie czekają, aż ona, Magda, załamie się i naoliwi. O nie! Na to będą musieli długo czekać.

Jaka błoga cisza w domu. Nareszcie trochę spokoju. Można popracować. Akurat. Furtka znowu skrzypi, potem ujada Asik, przyszedł inkasent z elektrowni. Spisuje stan licznika i wręcza Magdzie rachunek. Dwieście czterdzieści osiem złotych. Magda nie ma tyle pod ręką, a nie chce myszkować po szufladach przy obcym człowieku. Pan inkasent nie przejmując się i poleca uiścić rachunek w biurze. W razie nieuregulowania wyżej wymienionej kwoty w przewidzianym terminie elektrownia odłączy dopływ prądu. Jasne? Jasne. Pan inkasent uśmiecha się do Magdy i życzy jej „Wesołego Alleluja”. - Wzajemnie! - odpowiada ona i dopowiada resztę w wewnętrznym monologu: „Stary dziad, ma chyba ze trzydzieści, a będzie podrywał na Wesołego Alleluja!” „Stary dziad” poszedł dalej. „Ciekawe, czy każdemu składa życzenia?” Magda kładzie rachunek na wierzchu, żeby nie zapomnieć, bo groźba wyłączenia prądu jest zupełnie realna.

Trzeba się w końcu wziąć za tę matkę. Już jedenasta, a nierówności pierwszego stopnia z dwiema niewiadomymi jeszcze nie tknięte. Tylko patrzeć, jak ukochana rodzinna ściągnie z powrotem do domu. A kiedy Magda zostaje sama na gospodarstwie, to pierwszą rzeczą, jaką odczuwa, jest wzmożone wydzielanie soków trawiennych. Zjadłaby coś dobrego, ale na razie kończy się na ugotowaniu budyniu czekoladowego. Z sokiem truskawkowym smakuje zupełnie znośnie. Zupę zacznie gotować koło drugiej. Wcześniej nie ma potrzeby. Warto by jeszcze coś zjeść. Bigos w lodówce wygląda tak zachęcająco, że Magda nie może oprzeć się pokusie. Co za pomysły, przymierać z głodu przed świętami, a kiedy już te upragnione święta nadejdą, rozchorować się z przejedzenia.

Bigos jest pyszny. Tak musiało smakować w raju jabłko z drzewa zakazanego. To, co zabronione, zawsze smakuje najlepiej. Magda myje talerz pod kranem, żeby się nie wydało, i z mocnym postanowieniem nie-bałaganienia więcej siada nad książką. Niestety. Nie sążone jej dzisiaj pogłębienie wiedzy o trój mianach kwadratowych, bo furtka znowu skrzypi, anonsując nowego gościa. „Zygmunt! Co mu się stało? Przyszedł nie zapowiedziany. Czyżby też z życzeniami Wesołego Alleluja?”

Zygmunt jest nieco zażenowany. To jego pierwsza wizyta. Nie chce wchodzić do środka. Przeprasza, że przeszkadza w dniu przedświątecznym, ale wynikły komplikacje i nie może wybrać się z Magdą na umówioną wycieczkę. Przyskoczył, żeby ją uprzedzić, i zaraz ucieka.

- Wejdz. Nikogo nie ma. Sama jestem na gospodarce.

Zygmunt wchodzi wycierając dokładnie nogi.

- Zmiłuj się nad tą wycieraczką. Dziurę wywiercisz na wylot.

W pokoju na stole leżą pomoce naukowe do algebry, ale Zygmunt nie zwraca na nie większej uwagi. Magda sądziła, że skoro już przyszedł, to można go będzie wykorzystać do pomocy, ale on jest dziś jakiś dziwny, zmieniony, poruszony czymś, nie ten sam spokojny i opanowany Zygmunt, co zawsze. Podnosi rzuconą niedbale gitarę i próbuje wziąć kilka akordów.

- Rozstrojona - zauważa.

- Jak moje nerwy. Codziennie koncert, można wykorkować...

Zygmunt odkłada instrument i zaczyna z pewnym wahaniem:

- Wyjeżdżam do Łodzi. Dostałem list od matki.

- Aha... rozumiem...

- Nie wiem, czy rozumiesz... moja matka...

- Możesz nie mówić. To się zdarza, nawet w najporządniejszych rodzinach - Magda usiłuje pocieszyć Zygmunta w tej niełatwej sytuacji. A jednocześnie pali ją ciekawość, czego też matka chce od niego. - Na długo jedziesz?

- Nie wiem. List jest raczej chaotyczny i dosyć niejasny, ale wyczytałem między wierszami, że matka jest załamana, a ten facet okazał się zwykłym draniem...

„Aha, mamusia jest chwilowo samotna i przypomniało jej się, że ma syna” - myśli Magda. Swego czasu historia rodziców Zygmunta była szeroko komentowana. Mieszka się przecież w małym mieście, gdzie wszyscy o wszystkich wiedzą. Życie osobiste jest tu wystawione na szczególnie dokładną analizę. Magda nie wiedziałaby o tych sprawach, gdyby nie dobrzy ludzie, którzy pamiętają.

- A co ojciec o tym sądzi? - chce się dowiedzieć, jak reaguje porzucony małżonek na wiadomość o porażce życiowej niewiernej połowicy.

- List przyszedł przed dwoma godzinami. Ojciec nic jeszcze nie wie. Zresztą nie sądzę, żeby chciał coś dla niej zrobić. Gdyby nawet miał dobrą wolę, to Emilka potrafi mu wyperswadować wszelkie działania.

Zygmunt nie rozmawiał nigdy z Magdą o rodzinie. Nieźle musiała dogryzać mu ta Emilka, a ojciec też chyba zbyt dużą czułością syna nie rozpieszczał. O matce to już w ogóle nie ma co mówić. Dzieli ich tyle lat zapomnienia, a jednak chłopak na pierwsze wezwanie spieszy bez wahania. Jak to nazwać? Poczucie obowiązku? Czy więzy krwi? Bo przecież nie miłość synowska. Nikt go jej nie uczył. Z doświadczenia może znać tylko obojętność i brak czułości. A jednak...

Magda chciałaby powiedzieć Zygmunutowi coś serdecznego, coś, co by go podniosło na duchu, bo ten wyjazd nie będzie beztrudną świąteczną wycieczką. Jak na złość, nic sensownego nie przychodzi jej do głowy. Potrafi jedynie zdobyć się na pytanie:

- Czy wystarczy ci pieniędzy?

- Na drogę wystarczy. A prócz tego mam jeszcze osiemdziesiąt złotych.

- To niedużo. Pożyczę ci trochę na wszelki wypadek. Przyjechała do nas babcia z prowincji i zamiast prezentów obdarowała mnie i brata szeleszczącą walutą. - W portmonetce Magda znajduje sto dwadzieścia złotych, które musi wpychać siłą Zygmunutowi do kieszeni. - Nie bądź taki hardy. Jak nie będziesz miał zapotrzebowania, zwrócisz mi po powrocie. Kiedy wracasz?

- Nie wiem. Zależy, jak się wszystko ułoży. Nie mam pojęcia, co tam w ogóle zastanę.

- Ile lat nie widziałeś matki?

- Osiem.

- Pamiętasz ją jeszcze?

- Pamiętam. Ze zdjęcia.

Wyciąga z portfela fotografię, oderwaną od jakiejś legitymacji, ze śladami stempla w lewym dolnym rogu. Zdjęcie przedstawia młodą, najwyżej osiemnastoletnią dziewczynę, bardzo ładną, z ciemnymi długimi włosami.

- To twoja matka? Nie czaruj. Przyznaj się, komu zginęła ta fotka. Zresztą całkiem niezła babka. Masz gust.

Zygmunt nie czaruje. Jest zupełnie poważny. Nosi to zdjęcie w portfelu już od lat, jak podobiznę wybranej dziewczyny. Magda przypomina sobie, że prosił ją kiedyś o fotografię, ale nie dostał. Mówiła: „Innym razem. Chwilowo nie mam zbyt dobrej”.

Teraz chętnie by mu dała, tylko że on już nie ponawia prośby. Trudno. Zaryzykuje i sama się zgłosi. Najwyżej usłyszy: „Obejdzie się”. Nie usłyszała. Powiedział: „Dziękuję” i poprosił o dedykację. Napisała po prostu: Zygmunutowi - Magda. Krótko, zwięźle i niezobowiązująco.

Kiedy Zygmunt kładzie jedno zdjęcie obok drugiego, widać zasadniczą różnicę. Nie ta moda, jeśli chodzi o uczesanie czy nawet sposób retuszu. Teraz widać wyraźnie, że podobizna matki pochodzi sprzed lat kilkunastu.

- Przy pomocy tego zdjęcia chcesz rozpoznać mamę? Ile wiosen liczy ona obecnie?

- Trzydzieści sześć.

- Dokładnie pamiętasz.

- Znalazłem szkolną legitymację matki. Rocznik trzydziesty drugi.

„Trzydziesty drugi - rozpamiętuje Magda. - Młodą mamę ma ten Zygmunt. Może dlatego postąpiła tak nierozważnie przed laty? Może teraz żałuje, ale drogę powrotu ma już odciętą. Aktualnie strzeże opuszczonego ogniska domowego groźna Emilka. Ta nie wypuści z pazurów swego szczęścia. Zresztą z ojcem Zygmunta łączy ją Małgosia. To też się liczy. Został zaplątany nowy węzeł, trudny albo wręcz niemożliwy do zerwania. Kto na tej zamianie został wykołowany najskuteczniej? Zygmunt. A teraz matka woła: »Pomóż, synku!« I synek pojedzie. Pomoże. Ech, życie, życie!”

- Na pewno poznam matkę. Pamiętam ją jeszcze z domu. Zawsze śpiewała. Miała przyjemny głos i była wesoła.

- A ojciec?

- Ojciec jest raczej milczący i poważny. Nigdy nie wiadomo, o czym myśli, nie zwierza się, trudno go rozpracować.

- I Emilce też się nie zwierza?

- Nigdy. Ale jej to nie przeszkadza. Ona mówi za nich dwoje. A ja nie potrafię się domyślić, czy ojciec jest szczęśliwy, czy nie. Zamknięty w sobie jak ślimak w skorupie.

- A z twoją matką był szczęśliwy?

- Nie wiem. Nie pamiętam go nigdy wesołego, roześmianego. Zawsze był jakiś nachmurzony i podobno wściekle zazdrosny o matkę. Jako dziecko wolałem przebywać z matką, ojca unikałem. Coś mnie od niego odpychało.

Magda wyobraża sobie młodą, ładną kobietę ze zdjęcia i starszego, ponurawego faceta, jakim jest obecnie ojciec Zygmunta. W tej sytuacji gotowa byłaby rozgrzeszyć matkę, ale nie może jej darować, że tak lekkomyślnie zrzuciła z siebie obowiązek wychowania syna, wiedząc, jak mocno jest on do niej przywiązany.

- Twoja matka mogła się przez osiem lat zmienić niewiele, ty natomiast zmieniłeś się bardzo. Ona cię na pewno nie pozna. Kiedy cię widziała ostatnim razem, miałeś siedem lat. Pamięta cię jako smarkacza, a zobaczy mężczyznę w sile wieku. Chciałabym widzieć wasze przywitanie.

- Przedstawię się. Powiem: „Jestem Zygmuś. Jeśli trochę podrosłem i zmieniłem się nie do poznania, to przepraszam. Nie moja wina”.

Zygmunt żartuje, ale nie jest mu wesoło. Musi już iść.

Magda ściska jego rękę mocniej niż zazwyczaj i mówi po prostu:

- Trzymaj się!

Matka idzie w ką. W takim nastroju nie można myśleć o nauce. I zupa pomidorowa nie ugotuje się na czas. Mniejsza o zupę. Ważniejsze rzeczy są na świecie.

Magda podpira głowę rękami i zastanawia się nad sobą, nad rodziną i nad życiem. Czemu tak jest, że jedni mają wszystko, a innym towarzyszą ciągle trudności i niepowodzenia? Nigdy do tej pory nie zastanawiała się nad tym, że ma rodzinę w komplecie. To znaczy ojciec i matka (oraz brat). W ich domu nie było większych burz. Jeśli, to najwyżej o programy telewizyjne, oglądane przez dzieci o spóźnionej porze. Mama była tolerancyjna w tym względzie, a ojciec wprost przeciwnie, i jeśli mieliby kiedykolwiek brać rozwód, to tylko z tej przyczyny, bo poważniejszych powodów nie było.

A ponieważ żaden sąd nie uznałby tego powodu za wystarczający, przeto rodzice Magdy skazani są na przykładowe współżycie.

W takich warunkach Magda nie ma możliwości wykazania się, poświęcenia, zademonstrowania swojej szlachetności, którą (bez wątpienia) jest obdarzona. Ale niechby zaistniał jakiś niecodzienny wypadek, choroba czy inna życiowa katastrofa, wtedy Magda pokazałaby, na co ją stać. Na pewno nie byłaby gorsza od Zygmunta, a może nawet lepsza. W stosunku do matki czy do ojca, jednakowo. Bratu również zapomniane zostałyby wszelkie urazy. Na pewno. W sprawach wielkiej wagi Magda potrafi stanąć na wysokości zadania. Gorzej z rzeczami powszednimi.

Na razie powinna się zdobyć na ugotowanie obiadu. Chyba tyle może zrobić dla rodziny?

Koło czwartej wraca mama z babcią. Babcia jest wykończona uderzeniową dawką chodzenia, ale szczęśliwa. Załatwiła pozytywnie trzy sprawunki, przewidziane na po świętach: czarno-białe rajstopy dla synowej, smoczki na butelkę dla małego braciszka Marioli oraz pikowany, ortalionowy śpiworek dla wyżej wymienionego. Będzie to prezent od mamy Jacka. Przy okazji babcia przyjrzała się Warszawie i warszawiakom. Stwierdziła, że ubierają się podobnie jak w Chojnicach, chodzą z torbami i siatkami po zakupy, podobnie jak w Chojnicach, tyle że i w sklepach kolejki dłuższe, i na ulicach więcej tych ludzi. Bo to jednak Warszawa, nie Chojnice. Poza tym wszystko w normie.

- A gdzie Jacek? - interesuje się Magda nie widząc obu chłopców.

- Januszek się zbuntował, nie chciał chodzić z nami po sprawunki, namówił Jacka na zoo. Zostawili nas na środku Marszałkowskiej i pojechali na Pragę. Czy Januszek dobrze zna Warszawę i nie zabłądzi?

- Spokojna głowa, babciu. To łebski chłopak - Magda rozumie babcine obawy. Sama nie powierzyłaby swojego dzieciaka w takie ręce, ale kiedy już się stało, rzeczą najbardziej wskazaną jest zachowanie spokoju.

Chłopcy wracają koło siódmej. Mama robi Januszowi wymówki, że tak długo trzymał dziecko o głodzie. Ale on ma argumenty:

- Ja jego trzymałem czy on mnie? Ja bym już dawno obskoczył ten zwierzyniec ze trzy razy, ale temu co pokazać. Jak stanął przed jedną klatką, to nie było mocnych, żeby go oderwać. Chciał nawet nocować z małpami.

- Nie z małpami - prostuje trochę śpiącym głosem Jacek. - Małpy śmierdzą.

- No to z pingwinami. Co za różnica? Tylko krokodyla się bał. Cały czas gdzieś mi uciekał. Musiałem pilnować, żeby go co nie zjadło. A w końcu chciał, żeby mu kupić papugę.

- Kupiłeś mu? - pyta Magda.

- Kupiłem mu loda „bambino”. Też się cieszył.

- Jutro będą sprzedawać papugi - przypomniało się Jackowi. - Powiedziałaś, że jutro. Pojedziemy?

- Ale beze mnie. Beze mnie - Janusz ma dosyć. Jacek zresztą też. Nie spał w dzień, więc oczy zaczynają mu się szklić nad talerzem.

- Zmęczył się i nie ma apetytu - opiniuje babcia.

- Dziwiłbym się, gdyby miał - robi uwagę Janusz. - Po takiej wyzerce.

- Czym go napełniłeś?

- Najpierw wrąbał kanapki od babci, potem chciało mu się pić. Dostał oranżady, ale nie smakowała mu sama, tylko z ptysiem, a potem jeszcze pączka zapragnął i nie wiadomo, czy na tym by się skończyło. Przeliczyłem grosze i przestraszyłem go, że nie będziemy mieli na bilety powrotne. Wtedy przestał być głodny, a ja, który przez cały dzień żyłem tylko gumą do żucia, nie wzbudzam niczyjej troski. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

- Zainteresowanie rodziny skupia się zazwyczaj na najmłodszych - Magda próbuje pocieszyć brata. - Do tej pory ty byłeś beniaminkiem, a teraz znalazł się młodszy, co cię zdetronizował. Rozumiem twoje rozgoryczenie i szczerze współczuję. - Mimo ironii przebijającej z jej słów Magda naprawdę rozumie brata. Dziś wiele rzeczy zrozumiała. Gotowa jest współczuć całemu światu. Myje ochotniczo naczynia po kolacji.

X

Niedziela wielkanocna wstaje mglista i zapłakana. Co drugi dzień pada deszcz. Szczęście, że nie codziennie. Co robić w taką paskudną niedzielę? W telewizji prócz dobrego filmu dokumentalnego „Podwodne polowanie” nie ma nic ciekawego. Janusz słucha

Rozgłośni Harcerskiej. Cotygodniową listę przebojów prezentuje Jacek Bromski, przy akompaniamencie zgrzytów, pisków i harkotu.

- Czy twoje muzykalne uszy nie cierpią, słuchając czegoś takiego? - zastanawia się Magda na głos.

- Owszem, cierpią niewymownie, ale nie mam wyboru. Takie melodie nadaje tylko Radiostacja Harcerska.

- Dlaczego taki zły odbiór?

- Mała moc nadajnika.

- Nie można zwiększyć?

- Można. Przy odpowiednim nakładzie finansowym.

- Aha. Pojmuję. Harcerze mają płótno w kieszeni.

- Można to tak określić.

- Zagrasz w ping-ponga?

- Czemu nie. Za dziesięć minut kończy się lista przebojów.

Do gry służy normalny stół, wydłużony odpowiednio, jak na przyjęcie większej ilości biesiadników. Przykręcają siatkę. Jacek zostawił oglądanie ilustracji w „Przekroju” i patrzy, co się dzieje.

- Nie przeszkadzaj sobie, krewniak, w lekturze - doradza Janusz.

- Daj spokój, niech popatrzy.

Zaczynają grę. Pierwszego seta partaczą niemożliwie. Zwłaszcza Janusz.

- Brak kondycji, braciszku - szydzi Magda.

- Jeszcze się nie rozgrzałem i ten kibic mnie wnerwia.

- Nie zwalaj na dziecko. Przyznaj się, że złota rączka zawodzi ostatnio - Magda używa sobie, bo zazwyczaj Janusz ogrywa ją bez umiarkowania. Pierwszego seta wygrała minimalną ilością punktów, drugiego znaczną, a co do trzeciego, to jeszcze nic nie wiadomo. - Kto nie ma szczęścia w grze, może mieć w miłości. Nie jesteś zakochany?

- Odczep się, zaraz ci pokażę, jak się gra.

Ale nic nie pokazał. I trzeciego seta wygrała Magda. Rzecz niespotykana w dziejach. Janusz ziewa.

- Człowiek się ostatnio nie wysypia. Daleko jeszcze do obiadu?

Do obiadu niedaleko. Przy stole humory dopisują. Nawet ojciec dowcipkuje, co mu się ostatnio rzadko zdarza.

Po herbacie następuje zbiorowe łupanie orzechów włoskich. Starsi używają do tego celu żelaznego „dziadka”, odziedziczonego po przodkach, Magda łupie sposobem gospodarczym, wsadzając orzechy między drzwi a framugę, natomiast Janusz po prostu miażdży je w rękach.

- Ty, Herkules, nie boisz się odcisków?

- Małe piwo, nie takie trudności pokonywało się w życiu.

- Chcesz się posiłować? - pyta ojciec.

- Czemu nie? - Janusz jest pewny siebie. Podają sobie prawe dłonie, łokcie opierają na stole i następuje próba sił. Ojciec trochę pochopnie wystąpił z propozycją, Januszek to już nie dziecko. Poczzerwienieli obaj z wysiłku, ale jeszcze nie wiadomo, na czyją korzyść przechyli się szala zwycięstwa. Zdaje się, że już-już syn ojca rozłoży i... nic podobnego.

- Trzymaj się, tato! - dopinguje Magda.

Babcia też jest za zięciem, tylko Jacek nie ma swojego faworyta. I mama nie wie, komu życzyć wygranej. Wychodzi, bo nie chce patrzeć na porażkę żadnego z nich.

Zwycięża ojciec. W samą porę. Widać, że ten wysiłek niemało go kosztował. Na pewno więcej nie stanie do rozgrywki. Już nie te lata i nie te siły.

Poniedziałek wielkanocny zapowiada się jeszcze bardziej sennie niż niedziela. Najbardziej wyspany okazuje się Jacek, który urządza wszystkim śmigus-dyngus.

- Mam dyngusa dla nagusa, mam dyngusa dla nagusa - powtarza w kółko, biegając od jednego śpiocha do drugiego.

- Zmiłuj się, Jacek, daj spać - błaga Magda nieprzytomnym głosem.

- Nie dam spać, nie dam spać, wody mogę dać... - śpiewa chłopiec na melodię własnej kompozycji.

Biedne dziecko nie ma zrozumienia nawet u babci. Wszyscy ponakrywali się kołdrami, Janusz postraszył chłopca, robiąc wyjątkowo udanego zeza, słowem nikt nie chce wziąć udziału w zabawie.

Magda złapała Jacka i wsadziła pod kołdrę.

- Spij grzecznie, jeszcze rano.

Ale on już się wyspał.

- No to ubierz się i ustawiaj klocki.

- Nie umiem się ubierać.

- Taki duży i nie umie!

Magda widzi, że o spaniu nie ma co marzyć. Ubiera Jacka w takie różne dziecinne ciuszki i daje mu do zabawy przyniesione ze strychu, dawno nie używane zabawki, a więc: nakręcaną kolejkę i drewniany samochód Janusza, pudło klocków i dwie sfatygowane lalki, wierne towarzyszy jej dziecięcych zabaw.

„Było się kiedyś dzieckiem” - Magdzie przypominają się wspólne z bratem igraszki, kończące się na ogół wcale nie sielankowo. Niezgodność charakterów ujawniała się już we wczesnym dzieciństwie. Ofiarą starć była najczęściej lalka Kuku. Na niej Janusz zwykle eksperymentował w zakresie anatomii. W efekcie interwencji lalka przechodziła z rąk do rąk, tracąc dużo ze swej urody.

Kiedy Magda skończyła siedem lat i na rękawie jej pojawiła się niebieska tarcza z numerem 2, mama zaproponowała oddanie lalek Januszkowi, który wtedy chętnie wchodził w posiadanie wszelkich babskich skarbów, jak papierki od cukierków, nici do haftowania czy lalki, uważając to za normalne. Ale Magda nie miała zamiaru rozstawać się z lalką Kuku. Brała ją po cichu pod kołdrę i szeptała najczulsze słowa przeprosin za wyrządzone krzywdy. Przypomina sobie, jak się wtedy bała, czy ktoś nie zauważy, że dorosła uczennica klasy pierwszej praktykuje takie dziecinne zabawy.

Natomiast bez żalu oddała bratu dwa miśki: dużego, różowego i mniejszego, brązowego. Nigdy nie lubiła miśków. Skąd to przeświadczenie u dorosłych, że dzieci lubią niedźwiadki? Te egzemplarze, które trafiły do rąk Magdy były nieatrakcyjne i niemiłe w dotyku. Wielkie twarde kukły bez wyrazu, wypchane trocinami, tułów jak kamień, kończyny jak protezy, a całość obciążnięta szorstkim pluszem. Janusz załatwił szybko te zwierzątka futerkowe, oddzielając ręce i nogi od korpusu, porozpruwał brzuchy, powydłubywał oczy. Nikt nie żałował miśków, natomiast bardzo lubianą zabawką był zajaczek z prawdziwego futerka. O tego zajaczka (a może króliczka?) szły ciągłe boje. W końcu gdzieś zaginął i przestał być powodem zatargów.

Lalka Kuku też była przyjemna w dotyku. Początkowo miała miękkie, jedwabiste blond warkocze, które straciła w wymienionych wyżej eksperymentach anatomicznych. Zostały one zastąpione sporządzoną przez Magdę peruką z włóczki w kolorze seledynowym. Opis wykonania peruki został wyczytany przez uczennicę klasy trzeciej w jakiejś książce i zastosowany bardzo dokładnie, z wyjątkiem koloru włóczki. Ponieważ innego tworzywa nie było pod ręką, więc Magda uważała, że seledynowe włosy będą zupełnie odpowiednie.

Wszyscy się śmieli, że Kuku taka supernowoczesna, bo wtedy akurat zaczęły wchodzić w modę kolory włosów: różowy, błękitny, fioletowy. U awangardowych pań oczywiście, nie u lalek. Nie było zresztą o co kruszyć kopii, bo seledynowa włóczka przybrudziła się wkrótce przybierając bliżej nieokreślony kolor. W tej postaci Kuku dotrwała do chwili obecnej. Magda dochodzi do wniosku, że lalce należy się modna kreacja.

Jacek ładuje pełną ciężarówkę klocków i robi rajd dookoła stołu. Misternie ułożona piramida chwieje się i rozsypuje z hałasem na trasie szafa-stół, co wywołuje u śpiącego Janusza odpowiednią reakcję.

Magda zabiera Jacka do kuchni i tam zaczyna rozmyślać nad ubiorem dla Kuku. Projektuje mini spódniczkę i bluzkę z żabotem. Wyciąga worek z różnymi gałgankami. Wybór duży, a więc decyzja niełatwa. Jacek pomaga jej grzebać w czeluściach worka. Wyciąga białą flanelę w niebieskie różyczki. Ścinki od nie istniejącej już piżamy. Magda zmienia fason kreacji. Nie będzie bluzki i spódnicy, tylko suknia-koszulka z golfem. Jacek wyraża zgodę. Już nie robi kursów samochodem ciężarowym, jak przystało na mężczyznę, tylko przygląda się robocie krawieckiej. Zanim rodzina wstała na dobre, Kuku otrzymuje efektowną suknię i Jacek oświadcza, że weźmie lalkę do Chojnic, żeby pokazać Marioli.

Po południu przejaśnia się i ojciec proponuje spacer po Zalesiu. Magda wolałaby przelecieć się do Sławki czy Heleny, ale nie może odtrącić wyciągającej się z zaufaniem ręki Jacka. Nie może zostawić dziecka, skazać go na towarzystwo dorosłych. Po prostu nie może. A na Janusza nie ma co liczyć. Już się odmeldowuje do Antosia. Brat Antosia ma krótkofalówkę, co jest bardziej interesujące od towarzystwa nieletniego kuzynka.

Magda dochodzi do wniosku, że lubi dzieci. Zajmowanie się Jackiem nie sprawia jej przykrości. Obranie zawodu nauczycielskiego wydaje się zupełnie nie najgorsze.

Babcia zachwycą się Zalesiem. Chwali ładne położenie, estetyczne domki jednorodzinne w cieniu sosen i dębów, porządek w ogródkach, prawie taki sam, jak w Chojnicach. To „prawie” mieści w sobie pewne zadowolenie, że powiatowe Chojnice nie są wcale gorsze od powiatowego, podstołecznego Piaseczna.

Magda kieruje wycieczkę w stronę domu Sławki. Chce wstąpić do koleżanki, nawet z Jackiem. Czuje potrzebę porozmawiania z kimś ze „swoich”. Chce pogadać o Zyguncie. Do takich zwierzeń jedynie Sławka się nadaje. Ale nie ma jej w domu. Skręcają w Modrzewiową. Niedaleko mieszka Zygmunt. W ogrodzie przed jego domem gra w piłkę dwóch chłopców i dziewczynka. Jacek zatrzymuje się przy siatce i patrzy na grających, chłopcy nie zwracają na to uwagi, tylko dziewczuszka spogląda do tyłu, co złości jej towarzyszy. Zwłaszcza że przez nieuwagę pozwala piłce wylecieć na ulicę. Przeturlawszy się przez chodnik i jezdnię piłka ląduje w rowie zaśmieconym zeszlórocznymi liśćmi. Jacek ujawnia błyskawiczny refleks. Wskakuje do rowu, wyciąga piłkę i oddaje dziewczynce. Ona dziękuje, ale nie wraca do kolegów. Chłopcy się niecierpliwiają:

- Idziesz grać, Gośka, czy nie?
- Zaraz. Piekarnia?

A więc to jest Małgosia, siostra Zygmunta. Nawet trochę podobna do niego. Magda ryzykuje pytanie:

- Czy Zygmunt już wrócił?

Dziewczynka jest trochę zdziwiona, ale odpowiada rezolutnie:

- Nie ma Zygmunta. On pojechał do Łodzi.

Przygląda się Magdzie, ale większym zainteresowaniem darzy Jacka. Niestety, koledzy uniemożliwiają bliższą znajomość i Małgosia wraca do przerwanej zabawy, a Magda z kuzynkiem dopędzają towarzystwo. Babcia przejawia duży hart ducha i ciała, nie okazując zmęczenia. Kolacja po takim spacerze smakuje jak nigdy.

Wszyscy są w nastroju wiosennym. Nawet Janusz patrzy mniej wrogo na Jacka. Próbuje nawiązać rozmowę:

- Powiedzieć ci bajkę o Jacusiu?
- No!
- Ja coś wiem, ale nie powiem.
- Nie mówi się coś, tylko coś!
- Skąd wiesz?

- Właśnie że wiem, no mów bajkę o Jacusiu!
- Już mówiłem. Ja coś wiem, ale nie powiem.
- Nie mówi się coś!
- Ty, krewniak! Kto komu miał opowiadać? Ja tobie czy ty mnie?
- Ja chcę bajkę o Jacusiu!
- Dwa razy ci opowiedziałem. Nic nie rozumiałeś. Jesteś strasznie zielony.
- Ja chcę bajkę!
- No dobra. Opowiem ci inną. O Mięciu.

Jacek zgadza się na wszystko. Niech będzie o Mięciu, tylko prędko. W tym miejscu protestuje Magda.

- To nie są dowcipy dla sześciolatniego dziecka.
- Tym gorzej dla niego - Januszowi wystarczy, że sam się dobrze bawi. Zwraca się do małego: - Chcesz o Mięciu?
- O Mięciu - Jacek siada wygodnie na krześle, buzię podpira pulchnymi rączkami i cały zamienia się w słuch.

Janusz zaczyna:

- Po wielkim, bezkresnym oceanie płynie okręt. Wiesz, co to okręt?
- No!
- Zapytaj, czy wie, co to bezkresny ocean? - wtrąca Magda.
- Cicho bądź. Nie tobie opowiadam bajki. A więc po morzu płynie okręt. Płynie sobie i płynie, aż dopłynął do bezludnej wyspy.
- Nie tak zaraz. Najpierw była burza.
- A słusznie. Okręt płynie, na morzu szaleje burza, sztorm zatapia statek i z całej załogi uratował się tylko jeden marynarz.
- I koza.
- Marynarz i koza. Wyrzuciło ich na bezludną wyspę. Po kilku latach inny statek płynął koło tej wyspy. Załoga patrzy przez lunety i widzi...
- Mniejsza o to, co widzi - Magda nie pozwala bratu dokończyć. - Wszyscy, którzy byli na wyspie, zostali zabrani na okręt i wrócili do ojczyzny.
- Ale ty umiesz opowiadać kawały - złości się Janusz. Przedrzeźnia siostrę: - ...wrócili do ojczyzny. To ma być dowcipne. W którym miejscu się śmiać? Bo ja nie wiem.

Jacek też nie wie, więc się nie śmieje. Magda podkreca Janusza:

- Mówiłam ci, że to nie jest dowcip dla dziecka. Nie dysponujesz czymś odpowiednim? Janusz nie dysponuje. Repertuar ma dość ograniczony. Magda szpera w pamięci, ale też nie może nic wymyślić. Nie będzie przecież streszczać dzieciakowi przygód gąski Balbiny, bo on je na pewno zna lepiej od niej: Janusz bierze gitarę i ma zamiar zaśpiewać piosenkę.

Na dźwięk gitary zbiega się cała rodzina. Januszowi jest trochę głupio, ale kiedy zaczął, musi dokończyć. Pierwsza zwrotka brzmi następująco:

*Nad brzegiem morza, przy brzegu morza,
Nad brzegiem morza, przy brzegu,
Nad brzegiem morza, przy brzegu morza,
Nad brzegiem morza, przy brzegu.*

Druga zwrotka nie różni się ani tekstem, ani melodią od pierwszej. Przy trzeciej Jacek ośmiela się zaprotestować:

- To już było.

Janusz udaje obrażonego:

- Ach, tak? Nie podoba ci się piosenka „Przy brzegu morza”? Koniec. Nie śpiewam więcej.

Dziecko jest zawiedzione. Rodzina wyszła już w połowie koncertu. Po dłuższych pertraktacjach Janusz zgadza się jeszcze powiedzieć wierszyk:

*Na ulicy księdza Siemca
Pewien człowiek miał tasiemca.
A że był to facet byczy,
Więc prowadził go na smyczy.*

To się Jackowi podoba. Nareszcie usłyszał coś ciekawego. Zaczyna opowiadać, jak u nich w Chojnicach jeden pan miał jamnika i zawsze wyprowadzał go na smyczy na spacer. Janusz kiwa głową z uznaniem i powagą, jakby tasiemca i jamnika uważał za stworzenia pochodzące z tej samej rodziny. Rozdokazywali się chłopcy na całego.

Magda wymyka się po cichu do łazienki. Stwierdza, że dowcipy Janusza są płaskie i głupie, jej pomysł felietonu rozrywkowego wygląda w porównaniu z nimi jak perła humoru i satyry. Długo nosiła się z zamiarem napisania czegoś satyryczno-obyczajowego. Pomysł narodził się zaraz po wydaniu pierwszego numeru „Echa”, ale od pomysłu do przyobleczenia go w kształt literacki droga bardzo daleka.

Siada na taborecie koło wanny, pod kartkę papieru podkłada „Życie Literackie”, a kiedy okazuje się, że to jeszcze za mało, również „Tygodnik Kulturalny”, i smaruje na kolanach, aż się kurzy.

Czasem usiądzie nad białą, nie zapisaną stronicą i mimo niezłomnego postanowienia nie napisze nawet dwóch sensownych zdań, a czasem, tak jak dziś, ołówek sam biega po papierze i nie nadąża notować rozbieganych myśli. Magda pisze, kreśli, poprawia. Zdanie zupełnie dobre zmienia na jeszcze lepsze i jest z siebie bardzo dumna. Dochodzi do wniosku, że jej drogą życiową powinna być nie praca pedagogiczna, jak jej się niedawno wydawało, ale twórczość literacka. Czuje w sobie tę iskrę talentu, która, jeśli ją skutecznie rozdmuchać, może zapłonąć wielkim, jasnym, nie gasnącym płomieniem. Marzenia o karierze literackiej zostają brutalnie przerwane. Ktoś dobija się do łazienki. Ojciec.

- Tu pracujesz? - zapytuje, widząc pokreśloną kartkę. - Już nie ma odpowiedniejszego miejsca na naukę?

- Nie uczę się. Tworzę, a do tego każde miejsce jest dobre.

- Co robisz?

- Tworzę.

- Mianowicie?

- Artykuł do gazetki.

- Aha. Do „Echa”? No to powodzenia.

Magda przechodzi do pokoju, gdzie Janusz goni już ostatkiem sił. Jacek domaga się coraz to nowych opowieści. Janusz doprowadzony do ostateczności zaczyna decydującą rozmowę:

- Słuchaj, krewniak! Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną. Wyżyłowałeś ze mnie wszystkie siły. Odstąpiłem ci swoje spanie (Jacek śpi na tapczanie Janusza, a ten koczuje na dmuchanym materacu). Włóczyłeś mnie o głodzie po zoo, zmuszając do oglądania przeróżnych bydłaków, opowiedziałem ci wszystkie dowcipy, jakie znałem od urodzenia. Teraz już nic więcej ode mnie nie żądaj. Mnie się też coś od życia należy. Jasne?

Jacek, oszołomiony tak przytłaczającą przemową, nie odważyłby się kwestionować zawartych w niej argumentów. Siada grzecznie przy stole wpatrzony w piszącą Magdę.

- Co tak piszesz i piszesz? - pragnie się dowiedzieć.

- Ććć... piszę artykuł.

Jacek nie wie, co to jest artykuł, ale Janusz wie. Natychmiast się ożywia:

- Na temat?

- Spokój! Dowiesz się, jak przyjdzie odpowiednia pora.

Nie z Januszem te numery. To nie mały Jacuś, który da się spławić byle odpowiedzią. Janusz chce już teraz wiedzieć, czym siostra błysnie w kolejnym numerze „Echa”. Janusz w ogóle interesuje się szkołą Magdy, bo od września ma zamiar wstąpić w jej podwoje.

- Pokaż ten bestseller, niech się dowiem z pierwszej rączki.

Może by i pokazała, gdyby nie wyczuła ironii w słowach brata. A ponieważ jest bardzo wrażliwa na punkcie swojego pisania, więc nic nie ujawni przed czasem. Ale Janusz to chłopak zaradny. Dla uśpienia czujności Magdy pobrzękuje na gitarze i dopiero, kiedy ona nie spodziewa się niczego, porywa jej kartkę ze stołu. Nie pomaga szybki refleks. Brat jest zwinniejszy. Zdążył się zamknąć w łazience, blokując wyjście będącemu tam właśnie Jackowi. Szturm do drzwi nie daje efektu. Magda widzi, że znajduje się na straconej pozycji. Próbuje lżyć brata najwymyślniejszymi przezwiskami, jak: „Szczeżuja, turkuć podjadek, jętka jednodniówka”. Myśli, że w ten sposób sprowokuje go do rękoczynu, czyli wyjścia z łazienki. Ale skąd! Janusz nie reaguje na żadne wiązanki. Z mozołem odczytuje niewyraźne bazgroły:

Jak cię widzą, tak cię piszą.

Wczoraj miały być tylko cztery lekcje, więc przyszedłam do szkoły opanowana, pogodna, gotowa rozumieć wszystko i wszystkich...

- Jacek! Nie słuchaj, co on czyta - Magda próbuje zbuntować dziecko. - Dobrze, Jacusiu? Zrób to dla mnie. Nie słuchasz?

- Nie słucham...

- Słuchaj! - rozkazuje Janusz. - Kiedy starsi mówią, dzieci muszą słuchać.

- Nie słuchaj, Jacusiu, proszę cię!

- Ja nie słucham - dzieciak bez żalu gotów jest zrezygnować z tej imprezy. - Ale samo mi się słyszy - mówi płaczącym głosem.

- Ty sadysto! Męczysz dziecko, które ci nic nie zawiniło.

- Czy nic, tego bym nie powiedział. Zamiast wbijania na pał, stosuję nowoczesny system tortur. Wybrałem sposób jak najbardziej humanitarny - i Janusz kontynuuje czytanie.

XI

Pierwszy dzień po świętach jest wyjątkowo ładny. Wymarzony na wycieczkę rowerową. Wypadło inaczej. Siła wyższa, a jednak żal tego zmarnowanego dnia. Zygmuntowi zapewne jeszcze bardziej.

Przed południem Magda przystępuje do odrobienia wszystkich zaległości. Instaluje składany stolik w ogrodzie między pączkującymi krzakami porzeczek. Ciepłe wiosenne powietrze pozwala na głębszy oddech. Głowa zaraz inaczej pracuje.

Babcia z mamą pojechały dokonać reszty zakupów, a Jacek z Januszem, jak równy z równym, oglądają tele-ferie. W programie leci film „Wielka, większa, największa” według Broszkiewicza. Miły film. Magda oglądała go w kinie trzy lata temu. Wtedy ją interesował. Teraz już wyrosła z takich rozrywek. Trzy lata to jednak kawał czasu. Człowiek zmienia się do niepoznania. Ze smarkacza przeistacza się w dorosłą, myślącą istotę. Tyle że nie zawsze myślącą o tym, co trzeba.

No właśnie! Nie rozpraszać się, tylko planowo i systematycznie wkładać w głowę kolejno: matematykę, fizykę, chemię, a na deser coś z literatury polskiej i obcej. Trzeba podciągnąć się w angielskim. A po obiedzie... Magda jeszcze nie wie, co będzie robić po obiedzie. Może powtórzy historię, a może nie powtórzy. Ostatecznie trudno wymagać od siebie ślęczenia całymi dniami nad książką. Po obiedzie pójdzie na spacer. Z Jackiem.

Z poobiedniej drzemki Jacek wstaje rześki i sam proponuje przechadzkę.

- Dokąd chcesz iść? - podpytuje Magda.

- Zaprowadzę cię.

Idą wczorajszą trasą. „Ciekawe, czy Jacek trafi na Modrzewiową?” Prowadzi bezbłędnie, ale Małgosi nie ma na podwórku. Nie ma nikogo. Dom wygląda na opustoszały. Idą dalej w kierunku rzeki i zrobiwszy kółeczko znowu wracają znajomą ulicą. Bez zmian. Okna i drzwi pozamykane. W dalszym ciągu nie ma nikogo. Magda naciska klamkę u furtki. Zamknięta.

- Bolą cię nogi, Jacusiu? Chcesz wracać do domu?
- Ja? Mnie żadne nogi nie bolą. Zobacz! - uderza się pięścią w kolano. - Nic mnie nie boli. Widzisz, jakie mam twarde nogi?

- Dobrze. Zuch z ciebie. Wobec tego wstąpimy do jednej pani.
Zachodzą do Sławki.

- Cześć!

- Cześć! Czyje to dziecko?

- Moje. Niepodobne?

- Ani trochę. Przerzuciłaś się ostatnio na kidnaperstwo?

- Jak mam to rozumieć? Z czego się niby przerzuciłam?

- Nic, nic, tak sobie powiedziałam. Nieobowiązująco.

- Nigdy nie mówiłaś „tak sobie”. Wał prosto, o co chodzi?

- Zdziwiło mnie tylko, że cię widzę w takim towarzystwie, a nie w innym. To wszystko... Zygmuntovi już przeszło?

Magda nie lubi tego tonu u koleżanki. Ma ochotę odpowiedzieć: „Jak mu przejdzie, to cię zawiadomię”. Ale mówi co innego:

- Zygmunt ma kłopoty. Rodzinne.

- Zawsze miał. Czy coś nowego wynikło?

- Matka wezwała go listownie. Zawiodła się na tym swoim wybranym i przypomniała sobie, że ma syna.

Siedzą na ławce przed domem. W ogródku kwitną narcyzy i żonkile. Sławka przynosi talerzyk kruchych ciastek. Są wyśmienite, ale Magda nie ma chęci na jedzenie. Za to Jacek ma. Trochę się nudzi, a że konsumowanie jest w tej chwili jedyną dostępną rozrywką, więc oddaje się jej bez skrępowania.

Sławka wraca do przerwanoego tematu:

- Znając Zygmunta domyślałam się, że pojechał bez wahania.

- Pojechał.

- Kiedy? Opowiadał ci wszystko?

- Wpadł do mnie w sobotę przed wyjazdem. Nie wiedział, kiedy wróci. Jeszcze go nie ma.

- Magda! Powiedz, czy wy już na serio?

- Co na serio?

- Nie udawaj! Kochacie się?

- Bez wielkich słów. Po co od razu z armatą na wróbla. Nie wystarczy przyjaźń?

- Przyjaźń to między narodami. A jeśli chłopak i dziewczyna, to miłość. Po co się oszukiwać?

- Doświadczenie przemawia przez twoje usta. Musiałaś kochać się nieraz, co, Sławeczko? Opowiedz!

- Też znalazłaś moment! Dziecko się zgorszy.

- Dziecko jest zajęte ciastkami i kotem.

- Co ci mówić? Jak się kochałam w trzeciej klasie, kiedy miałam dziesięć lat?

- Czy naprawdę w tym wieku można się kochać?

- Można. Nie wierzysz, to mogę nie mówić. Nie zależy mi. - Sławka udaje obrażoną.

- Ależ mów, to bardzo ciekawe. Nigdy bym cię nie posądzała, że możesz być taka kochliwa. W kim się mogłaś kochać mając dziesięć lat?

- W Jurku Staniszewskim. Na pewno go już nie pamiętasz. Chodził z nami tylko do czwartej klasy. Potem nie zdał.

- I wtedy się odkochałaś? Jak się przekonałaś, że jest tuman?

- Nie, jeszcze wcześniej, kiedy stwierdziłem, że to kleptomani.

- Czyżby? Jurek Staniszewski? Pamiętam go jak przez mgłę. Łobuz był z niego okrutny, ale złodziej?

- Ukraść mi rękawiczki. A ja myślałam, że mnie lubi.

- Widocznie lubił do tego stopnia, że chciał mieć jakąś pamiątkę od ciebie.

- I dlatego ukraść?

- Sama byś mu przecież nie dała. Więc poszedł na sposób. Ale powiedz, co cię w nim zainteresowało. Przecież zawsze byłaś rozsądną dziewczyną?

- W miłości nie ma mądrych. Najrozsądniejsi ładują uczucia w obiekt nie zasługujący na to zupełnie.

- Tak myślisz?

- Uhm.

- Czy teraz też się zaangażowałaś w jakiegoś łobuza?

- Jeszcze gorzej. W takiego, co mnie wcale nie dostrzega. Jakbym była powietrzem.

- A to podły! Powiedz, kto to jest, a wygramę mu taką mowę, że natychmiast cię zauważy.

- Dziękuję, obejdzcie się.

- Sława! Powiedz, co za jeden, bo mnie ciekawość zjada.

- Nieważne.

- Mnie nie powiesz? Swojej przyjaciółce? Taka jesteś?

- Ostrożnie z tą przyjaźnią. Wszystkich po kolei nią obdarzasz, a chyba jest różnica między mną i Zygmuntem?

- Zasadnicza. On mi mówi wszystko.

- A ty jemu?

- Też. Nie mam tajemnic ani przed nim, ani przed tobą.

- I naprawdę go nie kochasz? - W głosie Sławki przebija niedowierzanie i jakby nadzieja.

- Już ci mówiłam, bez wielkich słów!

- Głupia jesteś!

- Tak sądzisz?... Sławka! - Magda bierze w dwa palce podbródek koleżanki i zagląda jej prosto w oczy. - Przyznaj się, chodzi o Zygmunta.

- No to co, że o Zygmunta?

- Taaakie kwiatki! To on cię nie dostrzega.

Następuje chwila ciszy. Teraz już jest wszystko jasne.

Wszelkie niedomówienia, powściągliwość Sławki w zwierzeniach, mają swoje uzasadnienie. Trudno się dziwić. W takiej sytuacji Magda też zamknęłaby się w sobie i nie otwierała serca przed szczęśliwą rywalką. Nie, zwierzeń nie można oczekiwać od Sławki. Ale nie można też zostawić sprawy tak, jakby nic się nie stało, trzeba coś zrobić.

Jacek wrębał wszystkie ciastka i trudni się gładzeniem kota pod włos, co jest zajęciem z rodzaju syzyfowych, ponieważ kociak po każdorazowej akcji strząsa się i jego uwłosienie wraca do pozycji wyjściowej.

„Jak dobrze być dzieckiem - myśli Magda, ale nie jest pewna, czy chciałaby zamienić się z Jackiem. - Trzeba coś zrobić z tą Sławką, trzeba coś zrobić” - powtarza w myśli, tylko że nie ma pojęcia, co mianowicie byłoby najlepszym wyjściem.

- Porozmawiam z Zygmuntem - zaczyna niezdecydowanie.

- O czym? - Sławkę podrywa z miejsca.

- No... o tobie.

- Zwariowałaś dokładnie. Jeśli prawdą jest, co bredziłaś o przyjaźni, to zostaw mnie w spokoju. Samo przyszło, samo przejdzie. Nie potrzebuję pośredników.

- Posłuchaj, Sławka! Ja Zygmunta lubię, cenię, ostatnio nawet szanuję, ale to nie miłość. Jeśli jesteś pewna, że go kochasz, uczynię wszystko, żebyście... no, żebyście... po prostu odstąpię ci go.

- Trzymajcie mnie ludzie, bo zrobię tej dziewczynie coś złego. - Sławka zgrzyta zębami.
- Odstąpię... odstąpię... - przedrzeźnia Magdę. - Odstąpić możesz mi te czarne czółenka, co były za małe na ciebie. Na mnie będą akurat.

- Już je rozdeptałam. Jakoś wchodzę w nie.

- No więc nie ma o czym mówić. Zmieńmy temat.

Magdzie robi się głupio. Jej pomysł nie był najmądrzejszy. Zygmunt to nie rzecz do odstąpienia. Wypowiadał się zresztą o Sławce bez entuzjazmu. Jakimi dziwnymi ścieżkami błędą ludzkie uczucia. I czego potrzeba, żeby nastąpiła wzajemność?

- Nie martw się, Magda! - Sławka klepie koleżankę po ramieniu. - Obdarzaj Zygmunta tą swoją „przyjaźnią”, a ja sobie poradzę.

Może i poradzi sobie. Przeszedł jej ten od rękawiczek, pewnie przejdzie i Zygmunt. Takie jest życie.

Następnego dnia Jacek znowu ciągnie Magdę na Modrzewiową. W ogrodzie nie widać nikogo, ale otwarte okna świadczą o obecności mieszkańców. Jacek bez skrępowania otwiera furtkę i maszeruje przed siebie, jakby codziennie tu bywał. Magda jest w głupiej sytuacji. Stoi niezdecydowanie na ulicy, podczas gdy Jacek podchodzi pod okno, w którym za chwilę ukazuje się Małgosia. Dziewczynka w podskokach wylatuje z domu i woła do Magdy:

- Zygmunt już wrócił, proszę pani. On jest na górze. Zygmunt! Zygmunt! Jedna pani do ciebie przyszła.

„Pani” widzi, że nie ma wyjścia. Trzeba przekroczyć furtkę. Wchodzi więc do ogrodu i zatrzymuje się przed klombem. Udaje, że podziwia tulipany i krokusy, które jej w tej chwili nic a nic nie obchodzą.

Zygmunt jest już na dole. Magda tłumaczy niezręcznie, że Jacek, że Małgosia, że właśnie przechodzili przypadkowo. Zygmunt słucha nieuważnie, cieszy się ze spotkania. Zaprasza na górę, ale Magda woli uniknąć ewentualnego spotkania z Emilką. Proponuje spacer nad rzekę. W porządku, tylko co zrobić z Jackiem? Zabrać ze sobą czy zostawić z Małgosią? Jacek woli zostać. Więc zostaje, a oni idą w milczeniu, przez chwilę Magda zbiera myśli, żeby sensownie zagaić.

- Mów, jak ci poszło. Co słychać?

- Niewesoło. Aha, te pieniądze oddam ci za tydzień, dobrze?

- No wiesz? Ja pytam o sprawy poważne, a ty o pieniądzech. Mów, co z matką?

- Głupia sprawa. Matka nie ma właściwie co robić w tej Łodzi. Z owym facetem nic już jej nie łączy, pracę rzuciła, a o drugą raczej trudno. Praktycznie biorąc jest bez środków do życia. Wrócić do Zalesia? Też uciecha! Ma jeszcze jakąś ciotkę w Górze Kalwarii, ale nie utrzymywała z nią specjalnie serdecznych kontaktów, więc rozumiesz... Jedyne, co mogę w tej chwili dla niej zrobić, to wysłać trochę pieniędzy, póki nie weźmie się w garść i nie znajdzie pracy.

- Bank rozbiłeś?

- Jeszcze nie. Na razie zatrudniam się w „przemysle artystycznym”.

- Czy nie zechciałbyś wyrażać się jaśniej?

- Dokładam swoją cegiełkę pod pomnik chałtury.

Magda w dalszym ciągu nie rozumie. Zygmunt przechodzi do konkretnych wyjaśnień:
- Sąsiedzi Marzanowscy produkują abażury. Zaciągnąłem się na ćwierć etatu. Trochę grosza wpada.

- Abażury? Jakie abażury?

- Ręcznie malowane. Picasso dla ubogich duchem.

Magdzie pojaśniało pod sufitem. Teraz rozumie, dlaczego Zygmunt czasem miewa ręce w różnokolorowe ciapki. Albo robi wrażenie śpiącego. Wszystko z powodu tej artystyczno-chałupniczej produkcji. Chłopak zarabia na sobie. Jeszcze i to potrafi. W Magdzie budzi się dla niego szacunek graniczący z podziwem.

XII

Jacek zadomowił się u Małgosi na dobre. Codziennie po południu każe się odprowadzać na Modrzewiową. Ponieważ Magda ma dużo zajęć, odprowadzanie spadło na babcię. Przy okazji doszło do znajomości z mamą Małgosi. Babcia określa panią Emilię jako „przyjemną kobietkę”. Magda nie wyprowadza babci z błędu, chociaż pragnęłaby powiedzieć: „Broń nas losie od takich przyjemniaczek”. Z daleka każdy wygląda inaczej niż z bliska. Niech babcia myśli jak najlepiej o Emilce. Niech wywiezie dobre wspomnienia o ludziach z Piaseczna.

W szkole, prócz normalnej dawki przedmiotów obowiązkowych, doszła seria rozgrywek międzyklasowych w siatkówce. Eliminacje mają wyłonić najlepszą drużynę męską i żeńską, które z kolei wejdą do zawodów międzyszkolnych. W pierwszą sobotę po feriach odbędą się ćwierćfinały dziewcząt. Klasie Ib w drodze losowania przypadły przeciwniczki z XI a. Niedobrze. Mocne zawodniczki. Żeby wyjść jako tako z honorem, drużyna Ib w składzie: Barbara, Mirka, Urszula, Jagoda, Wanda i Bożena oraz rezerwowo: Magda z Kazią trenują zawzięcie, wykorzystując każdą wolną chwilę.

Tak się ładnie składa, że w czwartki i piątki mają „okienka”, które normalnie bywają wykorzystywane na ściąganie oraz inne sposoby dokształcania. Teraz wszystko idzie w ką. Najważniejsze, żeby nie dać się zjeść klasie jedenastej.

W drużynie są trzy dobre zawodniczki: Jagoda, Bożena i Barbara, a pozostałe plus rezerwa zaledwie średnie, toteż startowanie z jedenastą jest dużym ryzykiem z minimalnymi szansami. Ale dopóki istnieje choćby jedna szansa na sto, ryzykować warto.

W piątek jest tylko pięć lekcji, więc dziewczęta postanawiają zająć boisko i poćwiczyć choćby ze dwie godziny. Na przeciwników do generalnej próby angażują chłopców.

- Tylko bez Markiewicza - głosuje Jagoda. - Jak się mnie rozśmiesza, z miejsca zaczynam partaczyć.

- Nie, to nie - kłania się Markiewicz. - Nie będę się narzucał. - Chce odejść, ale reszta dziewcząt opowiada się za jego udziałem. Chłopak waha się. Walczy w nim urażona duma z chęcią gry. Zwycięża duch sportowy.

Magda sędziuje. Początkowo chłopcy dają zwyciężyć dziewczętom. Przecież to one mają jutro startować w prawdziwych rozgrywkach. Należy je optymistycznie nastroić. Ich zwycięstwo czy porażka nie będą bez wpływu na reprezentację szkolną.

Ale dziewczęta nie chcą być traktowane według taryfy ulgowej.

- Gałęcki, nie bądź taki humanitarny! - protestuje Jagoda, kiedy kolega nie odbiera, jak należy, piłki od Bożeny.

- Nie rozumiem, o co idzie? - Gałęcki udaje niewiniątko.

- O to samo, co przedtem - zostaje poinformowany. - Albo gracie uczciwie, albo rezygnujemy z waszego udziału.

Wobec takiego oświadczenia chłopcy pokazują, na co ich stać, ale pierwszego seta i tak przegrywają.

Zmiana boisk. Mirka jest dziś nie w formie, na jej miejsce wchodzi Kazia. Markiewicz przypomina sobie, że ma pływanie w Pałacu Kultury, więc odmeldowuje się. I tak nie miał pola do popisu. Jagoda zabroniła wygłupiania się, a gra na poważnie to nie jego specjalność.

Zygmunt też się spieszy. Magda wrabia Mirkę w sędziowanie, żeby móc również przysnąć do domu. Jagoda się złości:

- Wiadomo, gdzie Zygmus, tam i Magda. A Markiewicz w charakterze przyzwoitki. Dobrane trio. Inni się będą za was męczyć, prawda?

- Nie złość się, bogini! - odpala Markiewicz. - Jutro czeka twe skronie wieniec laurowy. Jak się trochę przepracujesz, będzie lepiej smakował.

- Odpukaj w tej chwili, bo zapieszysz!

- Mogę odpukać, czemu nie? - puka się w czoło.

- Chociaż raz przyznałeś, że jesteś głupi.

- Nic podobnego. Pukałem we własną czaszkę, bo mam gwarancję, że nie malowana.

- Bez aluzji! Kto się niby maluje, ja?

- Nie wiem. Może węgiel nosiłaś mamie z piwnicy i oczy ci się przy okazji zakurzyły.

- Kretyn jesteś, wiesz?

- Nie...

Markiewicz dogania Magdę i Zygmunta.

- Jagoda jest głupia - zwierza się. - Nie ma ani na ciut poczucia humoru.

- Kolumbie! Pozwól uścisnąć sobie dłoń - zgadza się Zygmunt.

- Ale sprawności fizycznej ma na dwa ciuty - broni koleżanki Magda. - Zobaczycie, że one położą jutro XI a.

- Zakład?

- Chcesz przegrać? - Magda podaje dłoń Markowi, Zygmunt przecina.

- O co się założyliście, bo nie zauważyłem.

- Powiedzmy, że o lody „spumoni”. Nieważne.

- Ważne! - ożywia się Marko. - Ja wolę „cassata”.

- Dobrze, dostaniesz „cassata”, ale najpierw musisz wygrać zakład.

- Właściwie to wolałbym przegrać. Niechby nasze dziewczyny wykosiły jedenastkę.

- W porządku. Porcja „spumoni” - sześć złotych. Tanio. Tyle, co bilet do kina. A nie musisz się półtorej godziny męczyć na byle jakim filmie. Czysty zysk - pociesza kolegę Zygmunt.

Zygmuntowi się podobno spieszyło, ale w tej chwili wcale tego nie widać.

- Tempo macie olimpijskie - zauważa Markiewicz. - Przez was się nie wyrobię. Czy wolno się pożegnać?

- Śmiało!

Akurat nadjeżdża autobus. Marek wskakuje, a oni wybierają spacer. Dzień jest ciepły. Słońce nie zdążyło się jeszcze uprzykrzyć, więc z przyjemnością wystawiają twarze na jego działanie.

- Dostaniesz piegów - troszczy się Zygmunt.

- No to co?

- No to nic!

- Na pewno nic?

- Na pewno.

Głos Zygmunta brzmi zdecydowanie i Magda wie, że najintensywniejsze piegi nie będą w stanie zmienić jego uczuć. Jest to miłe, a jednocześnie trochę przeszkadza. Jak to Jagoda powiedziała? „Gdzie Zygmunt, tam i Magda”. Już zostali skojarzeni, wszyscy przyjęli fakt do wiadomości, jakby nigdy nic, a przecież nie padło między nimi ani jedno słowo na temat uczuć. Ani „kocham”, ani nawet „lubię”. I tak po prostu, bez żadnych deklaracji słownych „chodzą” ze sobą już pół roku i nikogo to nie dziwi.

Do szkoły jeżdżą rano tym samym autobusem, w klasie Zygmunt stara się umiejscowić jak najbliżej Magdy, na każdej przerwie ma jej coś do powiedzenia i do domu też na ogół wracają we dwójkę. Magda usiłowała włączyć Sławkę do tego duetu, ale nie wyszło. Teraz już wiadomo dlaczego. Sławka ma swoją ambicję i nie pcha się tam, gdzie nie jest najlepiej widziana. Z charakterem dziewczyna. I kocha się w Zygmuncie, chociaż on jej nie dostrzega. Magda by tak nie umiała. Dla niej ktoś niezainteresowany w ogóle się nie liczy. Powietrze.

Słoneczko grzeje przyjemnie. Są już pod Zalesiem. Zapach nielicznych ocalałych od wyrębu sosen działa rozleniwiające. Nie chce się nawet rozmawiać. Przydałyby się już wakacje.

Magda jest zaproszona na lipiec do Chojnic. Janusz też, ale podziękował za „wczasy rodzinne”, wybierając obozowanie pod namiotem.

Magda nie spodziewa się rewelacji po wakacjach w Chojnicach, ale zaplanowała, że musi nauczyć się pływać. Bo jeśli nie teraz, to kiedy? Janusz pływa świetnie. Ojciec chciał i Magdę nauczyć, ale gdzie? W Jeziorce? W największy upał woda jest w tej rzeczulce lodowata i odbiera chęć do zanurzania się. Basen w Górnym Zalesiu owszem, niezły, lecz tak w nim gęsto, że wchodzi się jak do wspólnej wanny. A w pobliżu Chojnic znajduje się Jezioro Charzykowskie, w którym podobno każdy musi nauczyć się pływać. Tak twierdzi wujek. Nawet swoją żonę nauczył, kiedy jeszcze żoną nie była. I podobno tylko dlatego za wujka wyszła, że zaimponował jej świetną techniką pływania. Tak opowiadała babcia. Kto wie? Może i prawda?

- Zygmunt, umiesz pływać?

- Raczej tak.

- Co znaczy: raczej?

- Do zawodów bym się nie pchał, ale te dwieście metrów stylem dowolnym przeplnę.

- Kto cię nauczył?

- Sam.

- Można samemu?

- Jak ktoś bardzo chce...

- Kiedy się nauczyłeś?

- W zamierzchłej przeszłości. W czwartej lub piątej klasie.

Magda przypomina sobie mizernego chłopczynę z dawnych lat, z nie zawsze czystym kołnierzykiem przy fartuchu. Kto mógł przewidzieć, że wyrośnie z niego „taki” Zygmunt i że to będzie jej chłopak.

Więc znają się od czwartej klasy. Ile to lat? Liczy na palcach. Wypada jej sześć.

- Co rachujesz?

- Wróżę sobie: kocha, lubi, szanuje...

- I do jakich wniosków doszłaś?

- W myśli...

- Myślenie ma wielką przyszłość.

- Podobno. Teraźniejszość również i dlatego pomyślałam sobie, że powinnam wziąć Jacka do teatru. Nasi goście jutro wyjeżdżają, niech dzieciak zobaczy jeszcze i tę atrakcję wielkiego miasta. U nich w Chojnicach nie ma takich możliwości. Mogłabym zabrać również Małgosię...

- To jest myśl! Wcale nie mam pewności, czy ona wie, co to teatr, chociaż ma go blisko. Kiedy się wybieracie?

- Dziś. Na piątą do Pałacu Kultury. Grają: „Wilk, koza i kozłeta” czy coś w tym rodzaju. Przyrowadź małą na przystanek o wpół do czwartej. Jacek się ucieszy. Zagustował wyraźnie w twojej siostrze.

- Popatrz, popatrz! W tym wieku...

- Wyobraź sobie. A w Chojnicach zostawił Mariolę i teraz jest w rozterce.

- Niegroźne. Powróży sobie i będzie wiedział, którą woli. Entliczek-pentliczek, na kogo bęc...

- Aluzje do mojego wróżenia? Otóż dowiedz się, że wcale nie wróżyłam, tylko obliczałam, ile lat się znamy.

- Dlaczego skłamałaś?

- Bo nie lubię, kiedy ktoś chce znać moje myśli.

- Szkoda.
- Co szkoda?
- Że nie lubisz. Bardzo bym chciał wiedzieć, co sądzisz na przykład o mnie?
- Dobrze sądzę. To chciałeś usłyszeć?
- Wolałbym całym zdaniem.
- Ale wymagania! Czy wiesz, że znamy się już sześć lat? Jesteśmy starzy kumple.

Znając kogoś sześć lat i widując prawie codziennie, przestaje się go w końcu w ogóle zauważać. Trzeba dopiero jakiegoś niezwykłego wydarzenia, eksplozji, trzęsienia ziemi czy... bo ja wiem... rewolucji, żeby się obudzić i spojrzeć na tego kogoś innymi oczyma.

- Nie przypominam sobie ani rewolucji, ani trzęsienia ziemi w ostatnich dniach.
- A wyjazd do Łodzi?

Zygmunt poważnieje. Jest wdzięczny Magdzie, że sprawę jego matki potraktowała we właściwy sposób.

- Nie mogłem inaczej.
- Mogłeś. Miałeś prawo zrzucić odpowiedzialność na ojca.
- Nie. Matka odchodząc skrzywdziła przede wszystkim jego.
- Nieprawda. On był dorosły.
- Właśnie dlatego. Kochał ją bardzo. I długo nie mógł zapomnieć. Widziałaś kiedy

placzącego mężczyznę?

- Raczej nie...
- A ja widziałem, jak ojciec ukradkiem ocierał łzy.
- Szybko się jednak pocieszył.
- Nie można płakać w nieskończoność. Ale nie jest szczęśliwy.
- Powinien zająć jakieś stanowisko w sprawie matki.
- Wygląda na to, że zajmie. Nie lubi działać pochopnie. Będzie długo rozważał, ale jak

poweźmie decyzję, to murowaną. Wypytywał mnie o różne szczegóły. Nie wiem, co postanowił, ale prosił o tajemnicę przed Emilką. Boi się piekła w domu.

Magda podziwia Zygmunta, że potrafi w takiej atmosferze normalnie się uczyć, dorabiać wieczorami, znajdując przy tym czas na „chodzenie z dziewczyną”.

Idą ulicą Jarzębinową, na której nie ma ani jednej jarzębiny, za to na Dębowej jest ich kilka. Magda lubi jarzębinę, ale wczesną jesienią albo latem, kiedy czerwone kiście kontrastują z ciemną zielenią sosen i dębów.

W tej chwili ulice Zalesia stoją w delikatnej, seledynowej szacie, a nie rozwinięte jeszcze zawiązki biało-kremowych kwiatów jarzębiny (na Dębowej) nie zapowiadają soczystej czerwieni dojrzałych owoców.

- Czy mi się zdaje, czy naprawdę jest wiosna? - zaczyna Magda.

- Wygląda na to, że jest naprawdę, chcesz dowodów? - Zygmunt nagina gałązkę drzewa i ma zamiar ułamać kilka młodych pędów.

- Zostaw! Lubię jarzębinę dojrzałą. Przyjdziemy tu we wrześniu. Który dziś?

- Dziewiętnasty.

- Przyjdziemy dziewiętnastego września. Równo za... - liczy na palcach - równo za pięć miesięcy... Lubię liczbę dziewiętnaście. Jest dla mnie szczęśliwa. Urodziłam się dziewiętnastego lipca, co uważam za wyjątkowo udane zdarzenie.

- Popieram.

- O key. Więc dziewiętnastego września pod tym samym drzewkiem. Pamiętaj! A na razie pędzę do domu. Przyrowadź Małgosię na przystanek. O wpół do czwartej.

Żegnają się. Magda przyspiesza kroku. Jacek już niecierpliwie wygląda przez okno, ubrany wyjściowo, nakarmiony i usposobiony do przeżywania kulturalnych emocji. Na pierwsze skrzypnięcie furty (nikt się nią jeszcze nie zajął) wybiega przed dom i woła:

- Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz.

- Dlaczego tak myślałeś?
- Bo nie widziałem cię i nie widziałem.
- Spokojna twoja głowa. Jadłeś obiad?
- No.
- A ja nie. Muszę się pożywić. Potem odrobię chemię i dopiero ruszymy.

Jacek nie próbuje oponować. Wie, że kiedy Magda coś obiecuje, to słowa dotrzyma i do teatru się nie spóźni.

Na przystanku czeka już Zygmunt z Małgosią.

- Jadę do teatru - chwali się Jacek.
- Ja też.
- Małgosia jedzie z nami. Nie cieszysz się?

Jacek się cieszy, ale umiarkowanie. W tej chwili najważniejsza jest myśl o teatrze. Przeczucie czegoś niezwyklego przesłania wszystkie inne doznania. Autobus wkrótce nadjeżdża.

- Chodź, Małgorzata, dzisiaj będziesz pod moją opieką - oznajmia Magda. Ale Zygmunt nie puszcza ręki siostry.

- Co, nie masz do mnie zaufania?
- Wprost przeciwnie. Uważam tylko, że przyda wam się męskie ramię, i jadę z wami.

Czy macie coś przeciwko temu?

Jackowi jest jak najbardziej obojętne, kto jedzie i dlaczego, Małgosi podobnie, jedynie Magda uważa jego wyjazd za stratę czasu.

- Ale się ubawisz na tej „Kozie z kozłętami”.
- Podobnie jak ty.
- Ja muszę. Obowiązek.
- Wobec tego ja - dla przyjemności. Nigdy nie byłem w dzieciennym teatrze.
- Byleś, tylko zapomniałeś. Przypomnij sobie „Wyprawę po zielony metal” albo „Anię z Zielonego Wzgórza”. W piątej czy szóstej byliśmy całą klasą.

Zygmunt nie przypomina sobie, bo nie był. Z powodu trudności obiektywnych.

„Pewnie pieniędzy nie miał, a wstydził się prosić ojca” - domyśla się Magda.

Przed kasą teatru „Lalka” wije się kilkunastoosobowa kolejka.

„Jeszcze tylko tego brakuje, żebyśmy nie dostali biletów” - to przypuszczenie przyprawia Magdę o gęsią skórę. Zawód byłby ciężkim ciosem dla Jacka, dla Małgosi chyba też, chociaż ona mniej przeżywa tę wyprawę.

Obawa okazuje się nieuzasadniona. Bilety są. Miejsca co prawda nie najlepsze, ale dzieci się na tym nie poznają.

Przed wejściem na salę jest ekspozycja kukiełek w gablotach. Zza szyb wabią oczy strojne lalki w aksamitnych szatach i waleczni rycerze z wąsami. Jacek ciągnie Małgosię od gabloty do gabloty i głośno wyraża swój zachwyt. Rozlega się pierwszy dzwonek.

- Chodźmy już! - proponuje Magda.

Ale Jacek nie chce się oderwać od oglądanych cudów. Zygmuntowi udaje się z trudem wytłumaczyć chłopcu, że właściwa sztuka odbędzie się na sali, a oglądanie kukiełek to tylko dodatkowa atrakcja.

Sadowią się na swoich miejscach, krzesła skrzypią, światło gaśnie, jakieś dziecko zaczyna płakać i z podświetlonej reflektorami sceny powoli ustępuje kurtyna. Kilka nieskomplikowanych akordów muzycznych wpada w gwar nie uciszzonej jeszcze widowni. Na zalaną światłem scenę wtaczają się dwie różowe kaczuszki i zaczynają dialog. Do ostatnich rzędów dobiega on trochę zniekształcony i Jacek skarży się, że nie rozumie. Magda też nie bardzo wie, o co chodzi, ale sytuację ratuje Zygmunt improwizując coś na temat. Wkrótce młodociani widzowie wciągają się w akcję i komentator jest zbędny.

Perypetie pozostawionych bez opieki koźlątek pasjonują dzieci do tego stopnia, że kiedy groźne wilczysko rzuca pytanie do sali: „Powiedzcie, czy tam są koźlęta?”, zgodny chór zaprzecza: „Nie ma, nie ma”. Dzieci wiedzą, że należy solidaryzować się ze słabszym.

Wilk jest czarny, wielkości niedźwiedzia, z ogromnym pyskiem, a kłapiące szczęki ukazują ostre zębiska i długi czerwony język. Wilk jest w sztuce postacią negatywną i maluchy bezbłędnie to wyczuwają. Z upodobaniem wprowadzają drapieżnika w błąd, angażują się w widowisko, żywo reagują na objawy przemocy.

To już nie teatr z podziałem: aktorzy-widzowie. Dzieci stają się współuczestnikami spektaklu.

W czasie przerwy Jacek włącza się w gromadę rówieśników, biegających po sali. Na pierwszy dzwonek, zapowiadający drugi akt, wraca na swoje miejsce. Oczy mu błyszczą i ma wypieki na twarzy.

- To wcale nie jest wilk, tylko jeden pan przebrany - oznajmia o swoim wielkim odkryciu.

- Skąd wiesz?

- Otworzyłem tamte drzwi - wskazuje ręką wejście za kulisy. - Ten pan palił papierosa, a łeb wilka leżał na stole.

Tak wygląda pierwsza konfrontacja wyobrażenia z rzeczywistością.

W drodze powrotnej dzieci się kłóć.

- Właśnie że ładny! - dowodzi Jacek.

- Brzydki, paskudny! - Małgosia nie daje się przekonać. - Zygmunt, prawda, że ten wilk był obrzydliwy? Chciał zjeść koźlątko i kaczkę.

- No to co? Ładny był, miał czerwony język - Jacek nie ustępuje.

Świadcami dyskusji są nie tylko Zygmunt i Magda, ale również pasażerowie tramwaju. Uśmiechają się pobłaźliwie (dobrze być dzieckiem, ma się zapewnioną życzliwość dorosłych).

Na pytanie rzucone przez Małgosię Zygmunt musi odpowiedzieć autorytatywnie. Zadanie ma niełatwe, toteż namyśla się trochę nad odpowiedzią.

- Tobie się nie podobał, więc był brzydki, a dla Jacka był ładny i nie ma się o co sprzeczać.

Małgosia nie jest oszołomiona odpowiedzią, za to Magda wyraża Zygmuntowi swoje uznanie za Salomonowy wyrok. W autobusie mają miejsca siedzące. Jacek zwraca się do Magdy po imieniu, więc Małgosia również. Zygmunt uważa, że powinna używać zwrotu „pani”, ale dziewczynka nie chce.

- Mogę najwyżej mówić: ciociu!

- Zgoda. Mów mi ciociu. Nikt mnie jeszcze tak nie nazywał. - Magda zastanawia się, kim wobec tego będzie dla niej Małgosia. Bratanicą?

Tu Zygmunt się nie zgadza. Nie chce żadnych braterskich powiązań z Magdą. Zna ciekawsze związki rodzinne. Patrzy na koleżankę w sposób jemu tylko właściwy i nie musi już nic dodawać.

W domu odbywa się pakowanie walizek i ostatnie rozmowy z gośćmi.

- Cieszysz się, Jacek, że wracasz do domu? - pyta mama.

- Tak - dzieciak jest szczery.

- A za kim najbardziej tęskniłeś, za mamusią czy za tatusiem?

- Za mamusią i tatusiem.

- I za kim jeszcze?

- Za królikami.

- A za Mariolą?

- Też.

- Wolisz Mariolę czy Małgosię?

Jacek chwilę namyśla się i odpowiada wymijająco:

- Ja wolę Magdę.

Ogólne zaskoczenie. Magda rewanżuje się kuzynkowi: - Zawsze mówiłam, że to inteligentne dziecko.

XIII

Ćwierćfinały w siatkówce kobiet (XIa kontra Ib) gromadzą w sali gimnastycznej rekordową liczbę kibiców.

- Trzymajcie kciuki, błagam was na wszystko, trzymajcie kciuki! - zaklina Jagoda wszystkich sympatyków Ib.

Podobną agitację przeprowadza wśród swoich zwolenników reprezentacja XIa.

- Jak pokażecie klasę, obejdzie się bez kciuków - rozlega się jakiś głos rozsądku.

- Powiedział, co wiedział - wścieka się Jagoda. - Długo nad tym myślałeś?

Głos rozsądku chce podjąć dyskusję, ale ucisza go Markiewicz:

- Pssst... naszej czołowej zawodniczki nie wolno złościć, nie wolno rozśmieszać i jeszcze wielu innych rzeczy nie wolno.

- Co jeden to dowcipniejszy! - Jagoda jest dziś nastawiona bojowo.

- Złość się, Jagoda, złość! - zachęca Magda. - To dobry znak, rozgrzewka przed meczem. Niech jedenasta drży!

Markiewiczowi w to graj:

- Pozłościć wszystkie? Dawać je tu!

- Co znaczy dawać? - obrusza się Mirka. - Więcej szacunku dla płci pięknej.

- O sobie mówisz? Dobrze, że powiedziałeś, bobym nie wiedział, że mam cię uważać za piękność.

- Marko! - Magda przywołuje go do porządku. Mirka nie jest bóstwem, ale po co przypominać jej o tym.

- A co, źle ją zażyłem? Zobacz, jaka zła. Proszę! Następna do rozzłoszczenia.

Nie ma chętnych. Jagoda wraca do starego, wypróbowanego systemu:

- Kto trzyma kciuki? Niektórzy trzymają.

- A ty, Zygmunt, co? Oszczędzasz się? Magda! Każ mu trzymać! Mnie nie słucha.

- Ma rację! - Magda otwiera zaciśniętą dłoń. - Skończmy z tą dziecinadą.

- Sercem jestem z wami - zapewnia Zygmunt.

Zawodniczki losują boiska. Gwizdek sędziego oznajmia początek gry. Sędziuje profesor Sumik. Pierwsze minuty meczu przebiegają spokojnie i bez punktów. Dziewczęta podają sobie piłkę uprzejmie, elegancko, jakby nie chodziło o zawody.

- Przedrzemię się - grozi Markiewicz. - Jak zaczną grać serio, obudźcie mnie.

W tym momencie Barbara błyskawicznie ścina, zaskoczone przeciwniczki nie odbierają piłki i jest pierwszy punkt dla Ib.

- To lubię! - drze się Marko. - To lubię!

Z kolei jedenasta zdobywa punkt i wygląda na to, że gra rozpoczęła się na dobre.

„Och, żeby wygrały, żeby wygrały” - denerwuje się Magda i odruchowo zaciska kciuki.

- Zobaczysz, że wygrają - słyszy odpowiedź na swój wewnętrzny monolog. Zygmunt kładzie prawą rękę, na jej lewej zaciśniętej dłoni.

Podniecenie Magdy jest uzasadnione. Jako zawodniczka rezerwowa musi być w pogotowiu. Kondycyjnie i psychicznie. Może wejdzie do gry, może nie. Wolałaby nie. Duża odpowiedzialność. Widzi to dokładnie z pozycji kibica. Ciekawe, czy Jagoda, Barbara albo Wanda czują w tej chwili, jak wiele od nich zależy? Chyba nie. I dobrze. Teraz najważniejsza jest ich sprawność fizyczna, umiejętność skoncentrowania się i błyskawiczny refleks. Specjalistką od refleksu okazuje się Barbara. Jej system ścinania podjęty przeciwniczki, ale

nie z Ib te numery. Barbara odbiera wszystkie piłki i gra dziś w ogóle jak rakietka. Perpetuum mobile.

Pierwszy set kończy się zwycięstwem Ib. Huraganowe brawa. Ktoś usiłuje zagrać na organkach fragment „Marsza gladiatorów”. Fałszuje, ale to nic, bo hałas i tak głuzy wszystko.

Zmiana boisk. Drużyna jedenastej wymienia dwie zawodniczki. Skład pierwszej pozostaje ten sam. Zwycięstwo dodaje sił dziewczętom. Drugi set zostaje rozegrany w rekordowym tempie jedenastu minut. Znowu zwycięża pierwsza. Groźne przeciwniczki zostają wyeliminowane już w ćwierćfinałach. Do rozgrywek na tym etapie stają jeszcze cztery zespoły. Półfinały w następną sobotę.

Od soboty do soboty jest siedem dni. W ciągu tego czasu może się zdarzyć dużo albo nic. Nie dosłownie nic, bo przecież każdego dnia coś się dzieje. Chodzi o to, żeby to „coś” było ważne, znaczące, żeby zostawiało po sobie ślad, wspomnienie, żeby się liczyło.

Magda podzieliłaby wydarzenia znaczące na dwie zasadnicze kategorie: pozytywne i negatywne. Pozytywne - to sukcesy, a negatywne, wiadomo, porażki. Każdy to zna, każdy przeżywa.

W jej życiu więcej było zdarzeń pozytywnych niż negatywnych. Widocznie urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. „Urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą to połowa sukcesu życiowego” - dochodzi do wniosku. Myśl ta wydaje się jej tak odkrywczą, że postanawia ją zanotować. Niezły pomysł! Zapisywać oryginalne spostrzeżenia i uwieczniać własne, odrębne spojrzenie na świat. W tym celu nabywa dość gruby notes w zielonej plastikowej okładce, wydając na ten cel niebagatelną sumę siedemnastu złotych.

Na pierwszej stronie ma zamiar umieścić nagłówek: „Wielkie Myśli Małego Człowieka”. Po głębszym namyśle skreśla słowo: „Wielkie”, bo nie ma pewności, czy te myśli będą zasługiwały na miano wielkich. Potem zostają wyeliminowane słowa: „Małego Człowieka” i w rezultacie kończy się na „Myślach”. Wystarczy. Zwłaszcza że jak na razie myśl jest tylko jedna.

Tydzień między ćwierć- i półfinałami nie przynosi żadnych rewelacyjnych wydarzeń. Natomiast tak niecierpliwie wyczekiwane rozgrywki półfinałowe przynoszą klasie Ib niespodziewaną porażkę. Zwycięża reprezentacja Ia.

- Zabrakło Markiewicza - dochodzi do wniosku Magda. - Ten chłopak umie dodawać ducha.

Markowi wypadła akurat jazda. W szkole został zorganizowany kurs samochodowy. Prócz wykładów na temat budowy samochodu oraz przepisów ruchu drogowego, każdy uczestnik musi zaliczyć odpowiednią ilość godzin jazdy. Musi wykazać się umiejętnością operowania kierownicą, wskazane jest również odróżnianie sprzęgła od hamulca i znajomość szeregu pomniejszych detali, bez czego nie ma co marzyć o przejściu przez egzaminacyjne sito.

Z Ib zgłosiło chęć wzięcia udziału w kursie siedem osób, ale po wykładzie informacyjnym troje wycofało się. Zostało trzech chłopców i Wanda. A wiadomo, gdzie Wanda, tam i Zbyszek. Ci się afiszują razem już od ósmej klasy. Ścisłej - Zbyszek lata za Wandą. On podobnie jak Zygmunt nie zmienia obiektu uczuć co sezon.

Jagoda twierdzi, że dwie z ich klasy mogą się nie martwić o przyszłość w wypadku nie przyjęcia na studia. Ma na myśli Wandę i Magdę. Że niby mężów potrafiły sobie zaklepać. Jagoda marzy o zamążpójściu. Nie ma zamiaru dalej się uczyć, chce dociągnąć do matury, a potem zacząć żyć. „Życie” wyobraża sobie jako ciąg nie kończących się przyjemności. Bez obowiązków. Naukę w szkole uważa za zło konieczne.

Magda przeciwnie. Lubi szkołę i będzie jej smutno w chwili rozstania. A może wróci tu po studiach? W niejasnych, nie sprecyzowanych jeszcze planach na przyszłość widzi siebie w

charakterze nauczycielki języka polskiego, chociaż najgorętszym jej pragnieniem byłaby praca literacka. Zresztą, jedno nie wyklucza drugiego. Może być nauczycielką i pisać. Jeżeli okaże się, że jej skromny debiut w „Echu” nie był pomyłką, iskrą talentu, z której nie rozgorzał wielki płomień.

Magda wie, że nie należy stawiać wyłącznie na talent. Przede wszystkim praca. Studia nad przedmiotem, nad literaturą. Na razie jeszcze ma przed sobą trzy lata terminowania w gazetce szkolnej. Niezłe to wprawki. W poszukiwaniu tematów zaczyna się baczniej obserwować życie wokół siebie. Już kroi się ciekawy artykuł. Reportaż o szkolnym kursie samochodowym. Magda nie bierze w kursie udziału, bo i po co? Rodzina nie przewiduje kupna samochodu w najbliższej pięciolatce, w następnych też nie, chyba że Janusz kiedyś dorośnie i szarpnie się na wóz, co Magdę i tak niewiele urządzi.

U Wandy sprawa wygląda inaczej. Jej ojciec dysponuje „Wartburgiem”, dopuszczając czasem żonę do kierownicy. Obecnie przybędzie mu jeszcze jedna użytkowniczka. Ojciec Wandy ma stary model samochodu, myślał o kupnie nowego, ale się rozmyślił. Powiedział, że dopóki Wanda nie nauczy się wprawnie jeździć, nie zaryzykuje nowego wozu.

Na kursie jest wesoło. Mają młodego instruktora, który pozwala brać na jazdy kolegów. Szkolna „nysa” może pomieścić dużo łebków. Magda brała udział w takiej przejażdżce, na początku, kiedy uczestnicy kursu byli jeszcze zieloni i nie bardzo wiedzieli, co nacisnąć, żeby jechać naprzód, a czym hamować. Stwierdziła wtedy, że umiejętność prowadzenia samochodu nie jest rzeczą małą i na prawo jazdy trzeba się solidnie napracować.

Koniec roku nadszedł niepostrzeżenie. Może dlatego, że ostatnie tygodnie wymagały wzmoczonego wysiłku i czas nie miał się kiedy dłużyć. Wiosna ustąpiła miejsca latu - najodpowiedniejszy moment pożegnania szkoły na dwa miesiące.

Na sali gimnastycznej odbywają się przemówienia, wręczanie kwiatów i wyczytywanie najlepszych uczniów. Po przydługich ceremoniach oficjalnych następuje część artystyczna, produkuje się chór i soliści, a następnie wszyscy udają się do klas, żeby otrzymać z rąk wychowawców promocje do klasy następnej.

Profesorka Sowińska życzy swoim uczniom udanych wakacji, dziewczęta całuje w policzki, chłopcom ściska dłonie i jest bardzo wzruszona. Mimo zmęczenia wypisanego na twarzy, widać, że niechętnie rozstaje się z młodzieżą. Ci, co wyjeżdżają z miasta, obiecują przysłać wychowawczyni widokówki, a inni mają odwiedzać profesorkę w czasie wakacji.

Magda zwija w trąbkę świadectwo ukończenia klasy Ib i żegna się z koleżankami oraz kolegami. Spozrzega przy tym, że nie ma Zygmunta. Widziała go na sali gimnastycznej, a w klasie już nie. Czyżby zaraz po uroczystości prysnął do domu nie żegnając się z nikim? Musiało mu coś ważnego wypaść. W przedwakacyjnym rozgardiaszu nikt nawet nie zauważył jego nieobecności.

Do domu wracają całą bandą. Autobus prawie pęka w szwach, ale dziś nawet konduktor jest pobłażliwy i nie krzyczy: „Miejsc nie ma, odjeżdżamy!”

Ostatnim pasażerem, któremu udaje się wcisnąć do przepełnionego wozu, jest Zygmunt. Nad głową trzyma pieczołowicie jakiś badył zawinięty w bibułkę.

„Pewnie ma uroczystość rodzinną - myśli Magda. - Może matka przyjechała. Tylko gdzie? Na łono Emilki?”

Wszystko się wyjaśnia po wyjściu z autobusu. Zygmunt nie skręca w Modrzewiową, ale towarzyszy Magdzie w kierunku jej domu. Mniej więcej w połowie alei 3 Maja zdobywa się na odwagę:

- Chciałem ci podziękować za współpracę w samorządzie. Nie obraź się, że robię to na ulicy, zamiast w klasie przy świadkach, ale rozumiesz... niezręcznie jakoś. I w ogóle... nie wiem, jak ci to powiedzieć... - miętosi w rękach bibułkowe zawiniątko.

Magda przychodzi mu z pomocą:

- Nie znęcaj się nad tymi kwiatami. Jeśli przewidziałeś je dla mnie, to dawaj, tylko wyjaśnij po co?

- No, po prostu... męczyłaś się przez cały rok jako gospodyni klasy, a ja w charakterze „wice” nic właściwie nie robiłem, więc chciałbym w ten sposób... no rozumiesz? - pozbywa się wreszcie uciążliwego bukietu, a teraz Magda nie wie, co powiedzieć. Rozwija bibułkę i widzi trzy czerwone gerbery.

- Śliczne! - wrywa jej się okrzyk, ale zaraz mówi co innego: - Musiałeś szarpnąć się aż na trzy? Jeden by nie wystarczył?

- No wiesz? Jest nawet o czym mówić!

- Pewnie!

I znów rozmowa się rwie. Na szczęście Zygmunt zaczyna z innej beczki:

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W przyszłym tygodniu.

- Zobaczymy się jeszcze?

- Nie wiem. Mam dużo roboty przed tym wyjazdem. Muszę nabyć ekwipunek, obszyć się, odprasować...

- Aha.

- A ty wyjeżdżasz gdzieś?

- Pojutrze sprowadzam matkę.

- Do ojca?

- Nie. Skądże! Ojciec załatwił jej tę Górę Kalwarię. Ciocia wykazała wyjątkowe zrozumienie. Nawet mnie zaprosiła na wakacje.

- Jedziesz, oczywiście?

- Tak... póki się mama nie przyzwyczai.

- Cieszysz się, że będziecie razem?

- Chyba tak... nie wiem...

- Rozumiem... Przysyłać ci widokówki z Chojnic?

- Pewnie!

Idą coraz wolniej, ale w końcu i tak dochodzą pod dom Magdy.

- Więc żegnamy się już na dobre? - Zygmunt jest smutny.

Ona próbuje żartować:

- Na dobre czy na złe... No, nie rób takiej grobowej miny. Za dwa dni zobaczysz się z mamą.

- Tak. Oczywiście... Magda!...

- Słucham!

- Pomyślisz czasem o mnie?...

- Pomyślę. We wtorki, czwartki i soboty. Zgoda?

Zygmunt się nie śmieje, a ona jest wściekła na siebie za to idiotyczne zachowanie. Że też w takiej chwili nie potrafi się zdobyć na nic innego, na żadne serdeczniejsze słowa. Z drugiej strony śmieszy ją powaga Zygmunta.

- No, uśmiechnij się. W sierpniu pogadamy, jak wrócę. Trzymaj się!

- Baw się dobrze. Cześć!

XIV

Wakacje to najmądrzejsza rzecz pod słońcem. Pewnie dlatego, że bywają raz do roku. Pociąg osobowy Warszawa-Gdańsk wiezie Magdę do Bydgoszczy. Opatrzona biletem z trzydziestotrzyprocentową zniżką, walizką przedmiotów osobistego użytku, prezentami dla rodziny oraz arsenalem troskliwych rad, jest nieco markotna, chociaż wie, że będzie przyjęta z otwartymi ramionami. Babcia to przecież osoba wypróbowana, wujostwo też podobno nie najgorsi. Pomyśleli o towarzystwie dla siostrzenicy.

Znajomi cioci dysponują córką w wieku przedmaturalnym, zaangażowano ją na miesiąc pobytu Magdy w Chojnicach. Bożena jest podobno „dobrze ułożona”. Babcia donosiła o tym listownie, żeby rodzice nie mieli oporów co do wysłania córki na wakacje. Magda nie ma pewności, czy jej najgorętszym marzeniem jest towarzystwo osób „dobrze ułożonych”. Poza tym zawsze czuje niechęć do nowych znajomości, pragnąc jednocześnie nowych przeżyć i wzruszeń. To niekonsekwencja, ale widocznie jest ona właściwa jej naturze.

Do pociągu w Warszawie załadował ją ojciec. Na stacji byli jeszcze przed podstawieniem wagonów na odpowiedni tor. Miało to zapewnić Magdzie siedzące miejsce, bo do Bydgoszczy jest prawie pięć godzin jazdy. Udało się nawet złapać miejsce koło okna, co było kolosalnym osiągnięciem, zważywszy, że lipiec i sierpień są miesiącami szczytowymi w planach przewozów PKP.

Mniej więcej do Kutna rozkoszuje się nielekko zdobytym miejscem. Wygląda przez okno, nie wychylając się (w myśl przepisów), bo i po co? Przegląda „Dookoła świata” i „Panoramę Północy”, ponieważ towarzystwo w przedziale wygląda na mało ciekawe.

Za Kutnem drzwi uchyla starsza pani i z nieśmiałą 171prośbą zwraca się do siedzącego przy wejściu mężczyzny w średnim wieku (około trzydziestu):

- Czy państwo zechcieliby posunąć się trochę, może zmieściłabym się jeszcze? Na korytarzu tak ciasno i nogi mnie bolą... - Starsza pani jest drobna i wiele miejsca nie zajmie, poza tym prosi grzecznie i z uśmiechem, nie dając do zrozumienia między wierszami: „Ustąpcie mi, bo jesteście młodszy”. Nie! Starsza pani nic takiego nie sugeruje, nie powołuje się na siwy włos i podeszły wiek.

Ale pan siedzący przy drzwiach jest nieugięty. Złapał miejsce, jego szczęście, nie będzie się dzielił z nikim. Mruczy niechętnie:

- Są cztery miejsca siedzące, więc jak może się zmieścić pięć osób?

Siedzące po przeciwnej stronie dwie nieszczępłe blondyny (właściwie tylko jedna zdecydowana blondwenus, a druga o trudnym do zidentyfikowania kolorze włosów) kiwiają głowami twierdząco, że racja, miejsc jest po cztery z każdej strony i siłą rzeczy starsza pani nie ma szans. Magda uważa, że przy dobrych chęciach zmieściłyby się nawet dwie starsze panie, nie tylko jedna, ale wobec niechętniej postawy współtowarzyszy podróży pozostaje najwyżej ustąpić staruszce miejsca. Tak też czyni.

Starsza pani jest zaskoczona. A tego się nie spodziewała. Dziękuję wylewnie i zapowiada, że tylko trochę odpocznie, a potem wróci na korytarz. Miła staruszka! Czy można takiej nie okazać życzliwości? Pasażerowie gapią się na Magdę jak na kogoś bardzo dziwnego. Myny mają niezbyt mądre, a już najgłupiej musi być temu panu przy drzwiach, bo mówi:

- Posuniemy się. Będzie miejsce dla pani.

- Dziękuję. Miejsc tylko cztery - mści się „pani” i wychodzi na korytarz.

Rzeczywiście tłok nie z tej ziemi. Przy oknie stoi młody wojak z jedną belką na ramieniu. Widocznie znudziło mu się oglądanie krajobrazu albo był świadkiem rozmowy w przedziale, bo ustępuje Magdzie swojego miejsca. Widoki z tego okna są takie same, jak z przeciwnej strony, czyli nic nadzwyczajnego.

Żołnierz nawiązuje rozmowę. Dostał kilka dni zwolnienia i jedzie do Bydgoszczy na wesele brata. Służbę wojskową odbywa w Górze Kalwarii.

- To jesteśmy z jednego powiatu. Zna pan Piaseczno?

- Jasne! - wojak zna. Bywa w klubie „Ruchu”, jak uda mu się zdobyć przepustkę. Ma jeszcze rok do zakończenia służby. Uważa niezłomnie, że powinni się spotkać w klubie.

- Nie bywam.

Młody człowiek jest zdziwiony:

- Mieszkać tak blisko i nie bywać?

- Chroniczny brak czasu. Poza tym narzeczony nie pozwala (taki „narzeczony” przydaje się czasem, jako straszak).

- Narzeczony to jeszcze nie mąż. Dziś jest, jutro może go nie być. Umówmy się koniecznie. Jak pani nie chce w klubie, możemy spotkać się gdzie indziej.

Namawia, molestuje, nudzi o adres. Magda wykręca się usilnie. Spogląda na zegarek. Jest za piętnaście pierwsza. O pierwszej przesiadka w Bydgoszczy. Byle przetrzymać wojaka do tego czasu.

W przedziale robi się jakiś szum. Pan siedzący koło drzwi woła:

- Wody!

Zasłabła staruszka. Wody nie ma. Ktoś służy kompotem. Ktoś wzywa konduktora. Wojak wyciąga z chlebaka butelkę oranżady, wypija pozostałość i przeciska się do toalety. Po chwili wraca z wodą.

Magda robi starszej pani zimny okład, żołnierz wachluje ją „Życiem Warszawy”, a dwie blondynki (jedna nie całkiem) z przeciwka komentują wydarzenie:

- W tym wieku nie powinno się wybierać w drogę bez opieki. Jak można robić kłopot obcym ludziom.

Po chwili staruszka wraca do przytomności. Pan siedzący przy drzwiach proponuje herbatę z termosu. Herbata dobrze robi tej pani. Kruche ciastka domowej roboty również.

- Jesteśmy prawie w Bydgoszczy, zbierajmy się - zawiadamia wojak.

Magda prosi pana przy drzwiach, żeby miał oko na staruszkę (mimo wszystko, on jest najodpowiedniejszy do tej roli) i ponaglana przez żołnierza przepycha się do wyjścia.

Dworzec w Bydgoszczy przypomina wielkością dworce warszawskie, ale styl ma nieco inny. W każdym razie i tu można się zgubić, zwłaszcza kiedy się nieczęsto podróżuje. Pociąg do Chojnic będzie za czterdzieści pięć minut. Wojak nie jedzie dalej, ale niezłomnie dotrzymuje Magdzie towarzystwa. Wołałaby, żeby sobie poszedł. A on naprasza się i naprasza o domowy adres, grozi, że pojedzie z nią do Chojnic. Niewiele brakuje, a spełniłby groźbę. Wyskakuje w biegu i jeszcze z peronu woła:

- Napisz do mnie do jednostki!

Akurat! Magda nie ma nic lepszego do roboty, tylko pisywać listy.

Na dworcu w Chojnicach czeka wujek z Jackiem.

- Dobrze zrobiłem, biorąc go z sobą. Sam za nic bym cię nie poznał. - Wujek widział ją kilka lat temu, czyżby przez ten czas zmieniła się do niepoznania? Za to Jacek wygląda poważniej niż w kwietniu.

- Urosłeś czy mi się zdaje? W ogóle wyglądasz jak prawdziwy mężczyzna.

„Prawdziwy mężczyzna” rumieni się z zadowolenia. Wujek pyta o podróż. Magda opowiada o staruszce. Wujek potępia znieczulicę.

Wkraczają do domu, prosto w objęcia babci czekającej z uroczystym obiadem. Rosół, kurczak w potrawce, a na deser placek z wiśniami zalany galaretką. Rozkosz.

- Babciu! Niech babcia nie przyrządza takich wspaniałych rzeczy, bo stracę sylwetkę.

- O czym ty mówisz? Jeszcze w ogóle nie masz sylwetki - wtrąca wujek. - Jesteś chuda jak tyczka do fasoli. Spójrz na ciocię. To jest figura!

Rzeczywiście. Ciocia ma kształty opływowe, rzec by można aerodynamiczne. Nic dziwnego, tyle lat na babci gospodarowaniu! Za to jest pogodna i nie obraża się. Zamiast cisnąć w wujka czymś mocnym, choćby słowem, uśmiecha się i podsuwa mu placek z wiśniami. Wujek nie daje się namówić.

- Na słodycze to ja mam długie zęby - uzasadnia. Jacek przeciwnie. Konsumuje z niewiarygodną żarliwością.

- Gdzie ty mieścisz tyle jedzenia?

Chłopiec klepie się po brzuszku, ujawniając miejsce gromadzenia zapasów.

Magda zostaje dokwaterowana do pokoju babci. Będzie spała na składanym łóżku turystycznym (zakupionym prawdopodobnie z okazji jej przyjazdu).

Przed kolacją zostaje doprowadzona Bożena. Na wieczorek zapoznawczy. Okazuje się zupełnie” znośna. Ustalają, że jutro będą zwiedzać Chojnice. Magda nie wie, co tu jest do zwiedzania, ale widocznie coś musi być.

Pod koniec wizyty dziewczęta przyznają się do wielkiej tremy, jaką miały przed sobą.

- Kiedy wchodziłam w drzwi, żegnałam się w duchu, jak przed diabłem - mówi Bożena.
- Słusznie. We mnie siedzi diabeł. Przekonasz się.
- Nie strasz! Jakby wszystkie diabły były takie, to w piekle byłoby wesoło.
- Wierzysz w piekło z diabłami?
- Chyba tak... a ty?
- Niespecjalnie...
- Ty się pewnie niczego nie boisz?
- Wprost przeciwnie. Boję się pajaków, żmij i klasówek z matmy.
- U nas nie ma żmij ani klasówek - zapewnia wujek.
- A pająki?
- Jeśli są, to tak wytresowane przez babcię, że nie odważą się pokazać na światło

dzienne.

Słowom tym można wierzyć. Babcia wszystkiemu potrafi dać radę.

Chojnice wydają się większe od Piaseczna, a przynajmniej gęściej zabudowane. Poza tym nie widać wyraźnych różnic. Sklepy, jak wszędzie, kioski „Ruchu”, identyczne jak Polska długa i szeroka, kino, apteka, dwie kawiarnie.

Jeśli wążanie się po ulicach wypada nazwać zwiedzaniem, to w ciągu jednego przedpołudnia można załatwić kilka takich miast.

Okazuje się jednak, że jest coś ciekawego, mianowicie muzeum regionalne, znajdujące się koło zabytkowej Bramy Człuchowskiej. Niestety, muzeum chwilowo nieczynne.

Bożena ciągnie Magdę na lody do kawiarni. Jest dużo wolnych stolików. Kelnerka, w białym fartuszk i czymś plisowanym na głowie, przynosi im dwie ogromne porcje w szerokich, niskich kielichach. Lody są w trzech smakach: czekoladowym, śmietankowym i malinowym. Malinowy jest najgorszy, więc dobrze się składa, że zdobi szczyt piramidy i będzie zjedzony w pierwszej kolejności.

Magda zawsze zostawia najlepsze na koniec. Podobno czyni nierozsądnie, bo nigdy nie wiadomo, czy dobrnie do tego najlepszego. Tym razem doszło do finiszu.

- Nigdy bym nie pomyślała, że potrafię tyle wbić. Staję się żarłoczna jak mój kuzynek Jacuś.

Kelnerka podchodzi z rachunkiem. Należność wynosi czternaście złotych, osiemdziesiąt groszy.

- Bożena! Płacimy po połowie!

Bożena się ceregieli, ale Magda ma wprawę w uiszczaniu zadłużeń. Pakuje koleżance odliczoną sumę do kieszeni i załatwione. Po wyjściu przyznaje się, że do kawiarni nieczęsto chodzi. Lody, owszem, kupuje, ale w waflu, na wynos.

- Naprawdę? - cieszy się Bożena. - Ja myślałam, że u was nie jada się lodów na ulicy.
- Niektórzy nie jadają, większość jednak uważa za fason lizanie na świeżym powietrzu.

Bożenie kojarzy się lizanie z czymś innym, bo pyta zniżając głos do szeptu:

- Całowałaś się już z chłopakiem?

Magda opowiada o Zygmuncie, nie dając odpowiedzi na wyżej postawione pytanie. Ale koleżanka jest uparta, chce wiedzieć: tak czy nie?

- Coś ty! On nie jest taki.
- Jaki?
- No, taki, żeby się zaraz z dziewczyną całować.

- Wszyscy tak robią.
 - Wszyscy? I ty też?
 - Eee... U nas nie ma odpowiednich chłopaków. Wiesz? W zeszłym roku odwiedził nas kuzyn z Gdańska. Kiedy mu powiedziałam, że nikt mnie jeszcze nie całował, to najpierw się śmiał, a potem obiecał: „Nauczę cię!”
 - I co? Nauczył?
 - Eee... z kuzynem to nie jest całowanie.
 Magda nie wie, czy śmiać się z Bożeny, czy wstawić jej mowę. Wybiera drugie wyjście.
 - Poczekaj, aż ci się ktoś naprawdę spodoba.
 - Jak długo można czekać? Mam już szesnaście lat.
 - Życie przed tobą.
 - Właściwie to u nas nie ma w kim wybierać. Same laubzegi. W Warszawie prędzej można znaleźć kogoś do rzeczy.
 Magda parska śmiechem.
 - Przypominasz mi babcię. Przyjechała do nas na Wielkanoc z tasiemcową listą różnych zakupów. Myślała, że w Warszawie dostanie wszystko, czego nie ma w Chojnicach. Niestety, rozczarowała się. Uważaj! Z tobą może być podobnie. Przyjedziesz do nas w sierpniu? Poproszę twoją mamę, na pewno cię puści. Poznasz kilku moich kolegów i przekonasz się, że są tacy sami, jak wszędzie. Nie ma cudów!
 - Naprawdę zapraszasz mnie? Nie zrobię kłopotu twoim rodzicom?
 - Nie zrobisz! Brat wyjeżdża na obóz wędrowny, miejsce do spania będzie. Pokażę ci Warszawę i Piaseczno, a jak będziesz chciała, to nawet Żabieniec.
 - Co tam jest ciekawego?
 - Nic. Za to w Zalesiu Górnym jest basen kąpielowy. Umiesz pływać?
 - Trochę.
 - Ja też trochę. Przrzekłam sobie, że wrócę do Zalesia opalona i pływająca.
 - Zawsze dotrzymujesz przyrzeczeń?
 - Staram się.
 - Możemy jechać jutro do Charzykowych. Z samego rana, żeby mieć cały dzień przed sobą.
 - A jak nie będzie słońca? - Magda martwi się, co z opalenizną.
 - Popływamy kajakiem. Mama pracuje u rzeźników, oni mają dużo sprzętu. Pożyczymy sobie. Zgoda?
 - Zgoda, tylko wyjaśnij, co mają rzeźnicy do kajaków, bo nie pojęłam.
 Bożena wyjaśnia, że mama jej pracuje w Ośrodku Wypoczynkowym Przemysłu Mięsnego, jako kierowniczką kuchni, więc umożliwi im wypożyczenie kajaków.
 Następnego dnia jest rzeczywiście pochmurny, ale ciepły. Z Chojnic do Charzykowych będzie około sześciu kilometrów. Dziewczęta jadą autobusem.
 Ośrodek, w którym pracuje mama Bożeny, składa się z jednego dużego budynku, mieszczącego kuchnię, stołówkę i świetlicę, oraz kilkunastu domków campingowych. Prócz tego widać parę jednorodzinnych namiotów. Nie dla wszystkich starczyło miejsca w solidnych, murowanych domkach wczasowych.
 Pani Eugenia jest sympatyczna. Z ciekawością przygląda się warszawiance (Dlaczego oni wszyscy mają kota na punkcie tej Warszawy?). Widocznie oględziny wypadają pomyślnie, to znaczy nie stwierdza odchyleń od normy, bo mówi:
 - Cieszę się, że Bożenka będzie miała dobre towarzystwo. - W wyrazie „dobre” głoskę „r” wymawia gardłowo, jak wszyscy tutaj: babcia, ciocia, wujek. Wszyscy. Nawet Jacek. Kiedy był w Zalesiu, zwracał uwagę swoim akcentem.
 Nad jeziorem rozłożyły się gęsto domy wypoczynkowe różnych instytucji. Nie brak też prywatnych domków letnich, drewnianych, malowanych olejno na różne kolory, z małymi

oknami i ogródkami pełnymi kwieciami. Panuje tu współzawodnictwo w dziedzinie ogrodnictwa, jeden ogródek ładniejszy od drugiego.

Brzeg jeziora od strony wsi Charzykowy zagospodarowany jest na przestrzeni kilku kilometrów. Przy każdym ośrodku - moło i teren do kąpielii oznaczony bojami. Wszędzie pełno dzieciarni. Na odcinku „rzeźników” zainstalowano zjeżdżalnię, toteż pisku i hałasu tu najwięcej.

Przeciwległa strona jeziora zarośnięta jest na dziko trzciną i lasem. Tamten brzeg upodobali sobie harcerze. Widać kilka obozowisk. Można by podpłynąć do nich. Są wolne kajaki, ale brak kamizelek ratunkowych, a bez nich mama Bożeny nie pozwala dziewczętom wypłynąć na jezioro. Wiatr burzy powierzchnię wody, fale jak podczas sztormu i czarna flaga na maszcie. To wszystko odstrasza przed wycieczką.

Można natomiast zupełnie bezpiecznie obserwować z moła uwijającą się po jeziorze motorówkę ratownika, który zagania lekkomyślnych kajakowiczów w stronę brzegu. Niektórzy dają się bez oporu nakłonić do powrotu, a inni wprost przeciwnie. Na przykład dwaj uparci amatorzy mocnych wrażeń wymieniają gesty (słów nie słysząc) z ratownikiem, który konsekwentnie usiłuje skierować ich na moło. Po dłuższej dyskusji interwencja odnosi skutek.

Dziewczęta siedzą na drewnianym mostku, rozpryskując nogami fontanny wody. Niby nie zwracają uwagi na przycumowujących kajak chłopców, ale Magda poznaje po akcencie, że to warszawiacy. Nigdy nie zauważała tych rzeczy, dopiero teraz, słysząc gardłową pomorską mowę, zaczyna zdawać sobie sprawę z różnic zachodzących między poszczególnymi regionami kraju. Ci dwaj muszą być z Targówka albo pobliskich okolic.

- Poczekajmy, aż ten cerber pójdzie na obiad - mówi jeden siadając koło Magdy.
- Jak długo można czekać? - niecierpliwi się drugi. - Która godzina?
- Nie wiem, ale zaraz będę wiedział. Koleżanki na pewno orientują się w czasie?
- Teraźniejszym czy przeszłym? - sili się na dowcip Magda.
- W grę wchodzi tylko czas teraźniejszy.
- Szkoda, bo właśnie mój zegar stanął na godzinie dziesiątej, a teraz będzie koło pierwszej.

Znajomość zostaje zawarta. Chłopcy stwierdzają, że właściwie nie zależy im tak bardzo na dostaniu się na drugi brzeg, kiedy i tu można spotkać szałowe babki. Bożena jest nieco speszona obcesowością nowo poznanych kolegów, ale Magda zaczyna się czuć jak u siebie w domu.

- Przedstawcie się - proponuje chłopcom.
- Mirek.
- Kazik.
- Bożena.
- Magda. Założę się, że jesteście z Warszawy.
- Zgadza się. Po czym poznałaś?
- Przede wszystkim po dyskusji z ratownikiem.
- To on tak głosował, że aż tu było słysząc?
- Nie, ale z gestów odgadliśmy, że macie odmienne zdanie co do pływania kajakiem w czasie niepogody.
- Faktycznie, chciał nas zastraszyć, nie mogliśmy dać się zrobić w szachownicę.
- W co?
- No, w konia, żeby jakiś byle kto wymądrzał się i stawiał.
- Pewnie. Warszawskich cwaniaków nikt nie ma prawa zaczepić, bo kto im w drogę wejdzie, to już, pisz pan, zimny trup... co?
- No! Ale facet był cholernie twardy, nie mogliśmy podskakiwać. Z wiosłem na motorówkę?

- Bożena! Byłaś ciekawa chłopaków z Warszawy, to ich masz - informuje koleżankę Magda. - Patrz, a dobrze.

Po pierwszym onieśmieleniu Bożena się rozkręca i rozmowa przestaje być drętwa.

- Czego szukaliście na drugim brzegu?

- Szczęścia. Mamy znajome dziewczyny z dwudziestej siódmej warszawskiej DH.

- No, no, no, a brzydka pogoda popsuka wam zabawę?

- Nie bardzo. Wszędzie są dziewczyny.

- Pewnie. W samej Polsce siedemnaście milionów, a jakby doliczyć te z różnych Polonii, uzbierałaby się większa ilość - rzuca Magda.

- Rany boskie! W Polsce jest siedemnaście milionów dziewczyn?

- Nie wiedziałeś? W tym oczywiście niemowlęta i staruszki.

- A jak jeszcze odliczyć mężatki, wdowy i rozwódki, to ile zostanie?

- Trochę zostanie. Dla was starczy na pewno.

Na moło zaczyna się robić chłodno. Magda czuje lekki dreszczyk, a wołałaby nie złapać przeziębienia zaraz pierwszego dnia. Na szczęście Bożena przypomina o obiedzie. Chłopcy koniecznie chcą się umówić na popołudnie.

- Nieładnie! Chcecie wystawić do wiatru te z dwudziestej siódmej DH?

- Małe piwo! Chcieliśmy wmeldować się na obiad, akurat dziś nasze koleżanki mają dyżur w kuchni. Po południu już nieaktualne.

- Ale džentelmeni! Bożena! Przyglądaj się uważnie. Na obiad chcieli wstąpić, a poza tym mają wszystkie dziewczyny w nosie. Idziemy!

Ciągnie koleżankę za rękę i znikają szybko, nie chcąc słuchać zapewnień, że one to zupełnie inna sprawa, że bardzo im się podobają...

Stółówka Ośrodka Wczasowego Pracowników Przemysłu Mięsnego jest dość obszerna, ale nie może pomieścić wszystkich wczasowiczów jednocześnie. Na ogół jada się na dwie zmiany. Dziś, zapewne z powodu niepogody, frekwencja stuprocentowa. Część zdążyła złapać miejsca, a reszta czeka na wolne stoliki. Przed stołówką jest teren do gier i zabaw. Są huśtawki, karuzele i piaskownica, a trochę dalej boisko siatkówki.

- Co będziemy robić? - martwi się Bożena widząc, że na obiad trzeba trochę poczekać.

- Pójdziemy babki z piasku ustawiać. Świetny sposób na zabicie czasu.

- Zawsze musisz żartować?

- Wcale nie żartuję. Jak wakacje, to wakacje. Wszystkie chwytaki dozwolone. - Magda ciągnie koleżankę do piaskownicy i zaczyna napełniać porzucone foremki. Wychodzą jej zupełnie udane babki.

Bożena patrzy przez chwilę niezdecydowanie, a potem wybucha śmiechem i sama łapie kubek i łopatkę.

- Zobaczmy, kto więcej ustawi!

Zaczyna się robota na akord. Magda jest szybsza, ale produkcja Bożeny wygląda solidniej i staranniej. Po chwili ogłaszają remis, jedna ma większą ilość, druga wyższą jakość.

- Fajna jesteś! - stwierdza Bożena.

- Nie rozumiem.

- Jak mówię, że jesteś fajna, to jesteś. Z tobą jest wesoło.

Śmieją się obie i tarzają po piaskownicy, zapominając o czekającym obiedzie.

- Jak my wyglądamy! - przychodzi wreszcie moment opamiętania.

- Jak dwie panienki z dobrego domu, zostawione bez opieki przez flirtującą na osobności bonę.

Należy się jednak uczesać i otrzepać piasek z dzinsów.

- Po obiedzie zagramy w siatkę - proponuje Bożena.

- Koniecznie, tylko skąd weźmiemy piłkę?

- Skombinujemy.

W stołówce trochę się przeredziło. Bożena zgłasza swoją obecność w okienku i dostaje dwa obiady (Kotlety jakby większe niż u innych, ale może to tylko sugestia?). Wbijają posiłek ze zdwojonym apetytem. A po obiedzie są tak ociężałe, że nie ma mowy o piłce. Zresztą pada deszcz.

- Prześpijcie się - doradza mama Bożeny, dając im klucz do swojego pokoju.

Magda dochodzi do wniosku, że dziecinnieje kompletnie. Przedtem babki z piasku, teraz spanie po obiedzie, jak Jacuś. Do czego to dojdzie, jeśli zła pogoda utrzyma się dłużej. Nie można całych wakacji przespać. Zwierza się Bożenie:

- Nie musimy spać, możemy pogadać.

Rzeczywiście, spać nie muszą, jest zresztą tylko jedno łóżko, za to w kącie leżą dwa materace dmuchane.

- Jak nocuję u mamy, to śpię na materacu - informuje Bożena. - Wiesz co? Zatelefonujemy do twojej babci, że nie wrócisz na noc. Prześpisz się z nami. Może jutro będzie pogoda. Szkoda czasu na jeżdżenie tam i z powrotem.

Babcia nie chce słyszeć o żadnym nocowaniu poza domem. Przygotowała specjalną kolację, kto ją będzie jadł? Magda usiłuje argumentować, że czasowy pobyt w lodówce nie przyniesie uszczerbku babci smakołykom, przeciwnie, nabiorą mocy urzędowej i będą bardziej pożądane. Babcia nie daje się tak łatwo przekonać, dopiero interwencja mamy Bożeny odnosi skutek. No i deszcz. Magda nie ma płaszcza ani parasolki. Może się zaziębić. W tym punkcie babcia ustępuje, ale każe z samego rana zadzwonić.

Po kolacji stołówka zmienia charakter i cel przeznaczenia. Pojawia się adapter i parę płyt. Chętnych do tańca nie brakuje. Bożenę znają tu niektórzy i proszą w tany, ale ona odmawia, nie chcąc zostawić Magdy samej. Jeden ze sprytniejszych młodzieńców przychodzi z kolegą. Ten, który przypadł w udziale Magdzie, tańczy nieszczególnie, jest natomiast bardzo miły. Przeprasza, że tak źle mu idzie. Męczą się trochę oboje, lecz wytrzymują mężnie kilka kolejek. Bożena bawi się świetnie.

W pewnym momencie na salę wkraczają Kazik i Mirek. Rozglądają się trochę i po chwili Mirek posuwa w kierunku Magdy. Podchodzi z prawej strony do tańczących i klaszcze w dłonie. Partner Magdy nie reaguje.

- Cóż to, kolega udaje greka? - zaczyna Mirek.

- Jak się skończy płyta, to porozmawiamy.

- A ja chcę teraz!

- Zostaw, Mirek - interweniuje Magda. - Tu nie ma zwyczaju odbijania.

- Jak nie ma, to będzie - usiłuje rozdzielić tańczących.

- Uspokój się, jesteś gościem, co za obyczaje?

Inne pary zaczynają spoglądać podejrzliwie i chłopak orientuje się, że na obcym terenie za dużo podskakiwać nie należy. Po skończonej melodii podchodzi do Magdy i dość grzecznie prosi o następny taniec. Ona zgadza się dla świętego spokoju i przeprasza miłego chłopca, który tak dzielnie dotrzymał jej towarzystwa.

Mirek tańczy „po warszawsku”, okręcając partnerkę wokół siebie. Tu nie ma tego zwyczaju, więc niektórzy spoglądają na nietypową parę z ciekawością, a inni z dezaprobatą.

Ten Mirek nawet umie tańczyć i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zapach alkoholu zalatujący od niego. To się Magdzie zdecydowanie zaczyna nie podobać. Bożena już nie jest w towarzystwie swojego znajomego. Obskakuje ją Kazik, lansujący również styl „warszawski”. Taniec idzie im opornie. Jeszcze się nie zgrali.

„Ciekawe, czy Kazik też tankował? Zachowuje się lepiej od Mirka, ale jest widocznie spokojniejszy z natury” - myśli Magda i dochodzi do wniosku, że nie będzie dziury w niebie, jeśli wyparują z tej zabawy. Obie mają dość i bez żalu pójdą spać.

- Bożena! Czas do domu. Pożegnaj się z kolegą. Dobranoc! - wyciąga rękę do Mirka, ale on nie chce słyszeć o rozejściu się. Perswaduje podnieconym głosem, że jeszcze nie ma dziesiątej, że spanie to strata czasu i że w ogóle on się nie zgadza.

Dyskusji przysłuchuje się tęgawa jejmość, która zdecydowanie odstrasżająco działa na Mirka.

- Pokazać język tej babie?

- Jak ci serce dyktuje. Mogę cię nawet przedstawić, to moja mama - blufuje Magda.

- Nigdy bym się nie domyślił - jest nieco speszony, ale nie za bardzo. - No co, Kaziu, spadamy, żeby nas mamusia nie obiała - rzuca ostatnie, dość niepewne spojrzenie na „mamusię” i ciągnie Kazika do wyjścia.

Bożena patrzy z podziwem na koleżankę.

- Ale ty masz sposoby! Myślałam, że się od nich nie odczepimy do końca. Skąd wiedziałaś, czym ich nastraszyć?

- Intuicja. Zresztą tej pani każdy by się przestraszył. Taka to się może przyśnić.

Powiedziała w złą godzinę. Przez całą noc męczą ją senne majaki. A więc, Kazik i Mirek wyłowieni przez ratownika z jeziora. Zaczyna jednemu (nie pamięta, któremu) robić sztuczne oddychanie, a kiedy zabieg nie odnosi skutku, zjawia się ta pani z toporem rzeźnickim, w celu poćwiartowania zwłok. Z trudem udaje się Magdzie wytłumaczyć tej pani, że to nie są zwierzęta rzeźne, lecz uczniowie Technikum Kasprzaka w Warszawie. Na wzmiankę o Warszawie zjawia się na ustach tej pani błogi uśmiech i jej korpulentna postać odpływa w ukłonach w siną dal.

Magda przewraca się z lewego boku na prawy, mając nadzieję, iż w zmienionej pozycji nie nawiedzą jej te same upiorne sny. Materac okazuje się za krótki, więc podkurcza nogi, ale usnąć już nie może.

Po wczorajszym deszczu dzień wstaje mglisty i raczej chłodny.

„Ale mi się trafiły wakacje - rozmyśla. - Więcej takich. Bez żalu wrócę do domu”.

Wspomnienie domu kojarzy się z pocztówkami do rodziców, koleżanek i Zygmunta. Obiecała wszystkim, że będzie pisać często. Tymczasem trzy dni przeszły, a ona nie pomyślała jeszcze o wysłaniu pozdrowień. Postanawia załatwić to dziś.

Mama Bożeny już dawno dyryguje w kuchni. Do pokoiku, w którym śpią, dochodzą odgłosy porannej krzątaniny.

„Ciekawe, co będzie na śniadanie? Pewnie płatki owsiane albo kluski na mleku”.

Nic podobnego! Kawa (zbożowa) z mlekiem, chleb z masłem, po dwa jajka na miękko i dżem truskawkowy. Magda bardzo lubi chleb z masłem i dżemem. Nadmienia coś na ten temat mamie Bożeny, która kraśnieje z zadowolenia.

Przy kiosku „Ruchu” spotykają Kazika i Mirka. Nie można się wycofać, zresztą chłopcy zachowują się dziś przyzwoicie.

- Do kogo tyle makulatury? - zagaduje Mirek, widząc w ręku Magdy plik pocztówek.

- Do narzeczonego.

- Wyręczę cię. Napiszę na każdej kopercie, że jesteś cała i zdrowa, świetnie się bawisz, w moim towarzystwie oczywiście...

- Obejdzie się!

- Jesteś niegrzeczna. Wczoraj też byłaś niegrzeczna.

- Nie podoba się?

- Nie podoba. Skłamałaś, że ten Belfegor to twoja mama.

- Może nie?

- Nie. Facetka ma kupę rozwrzeszczanego drobiazgu i mówi do nich: „Masz mieć zjedzone za pięć minut. Zrozumiałeś?”

Magda nie może powstrzymać śmiechu. Mirek świetnie parodiuje pomorski akcent tej pani. Zarówno dykcję, jak i odchylenia gramatyczne, typowe germanizmy. „Masz mieć

zjedzone”, zamiast „Masz zjeść”. Tak mówi tu wiele osób. Mama Bożeny również. Natomiast Bożena używa poprawnego języka literackiego. Prawdopodobnie wpływ szkoły.

- A właśnie, że ta pani to moja mama, prawda? - mruga do koleżanki Magda.
- Guza! Ona przyjechała z Bydgoszczy.
- Ja też.
- Do kogo ta mowa? Warszawą od ciebie wieje na odległość.
- Nic z tych rzeczy.
- Zakład?
- Zakład!
- Stawiam lody.
- Twoja sprawa. Przecinaj, Bożena! - zakład zostaje przypieczętowany. - Ale się zrujnujesz. Dla mnie podwójne, śmietankowe. Powiedz mu, Bożena, skąd jestem.
- Z Zalesia.
- Zalesie leży w granicach wielkiej Warszawy.
- Jeszcze nie. Pomyliłeś z Międzyzlesiem. Zalesie leży na razie w granicach Piaseczna.
- Zalesie Górne?
- Nie. Dolne.
- W Górnym bywałem, a w Dolnym nie.
- Żałuj.
- A Bożena jest z Bydgoszczy.
- Nie zgadłeś. Stawiasz drugie lody. Bożena jest z Chojnic.
- O, to blisko. Co to za wakacje dookoła domu.
- Bożena przyjedzie do mnie w sierpniu.
- Rozumiem. Wymiana kulturalna. Kazik! Zmieniamy trasę. Mieliśmy jechać w Bieszczady, pojedziemy do Zalesia. Chyba znajdzie się parę metrów kwadratowych wolnej przestrzeni na postawienie namiotu? Jest tam jakiś las? Kilka drzewek, trochę trawki?
- Owszem, nawet więcej, niż się domyślasz.
- Będziemy się spotykać?
- Jeśli narzeczony wyrazi chęć. On jest w zasadzie towarzyski.
- Narzeczony mnie nie interesuje. Załatwisz go odmownie.
- Gruntownie się mylisz, nie sięgasz mu nawet do pięt.
- Ja nie sięgam??? Ty mnie nie doceniasz. Ty mnie jeszcze nie znasz.
- I cieszę się z tego powodu.

Idą na pocztę. Nie ma znaczków po czterdzieści groszy, tylko po dwadzieścia. Są znacznych rozmiarów, tak że zajmują sporą część pocztówki. W związku z tym zostaje niewiele miejsca na korespondencję. Nie szkodzi. Nikt nie będzie wypisywał elaboratów. Magda adresuje widokówki, potem zamyśla się nad treścią, a w końcu do wszystkich pisze jednakowo: Charzykowy są niebrzydkie, co widać na odwrotnej stronie. Pogoda niespecjalna, ale mimo wszystko postanowiłam się opalić. Na nudę na razie nie narzekam. Zobaczymy, co będzie dalej. Cześć! (Do rodziców: całuję).

Mgła opadła i coś w rodzaju słońca zaczyna się nieśmiało wychylać zza chmur.

- Słuchajcie, ludzie! - robi odkrycie Magda. - Jeszcze dziś będziemy się opalać.

Bożena jest pesymistką:

- Ziemia mokra.
- Można przynieść materace.

Materace są dwa. Jeden zostaje przydzielony chłopcom, drugi zajmują dziewczęta. Leżenie w dwie osoby jest niewygodne, za ciasno, więc opalają się na siedząco. Po chwili do dziewcząt przysiadła się Mirek. Zajmuje miejsce koło Magdy. Kazik zaprasza Bożenę na swój materac. Plaża jest jeszcze pusta. Nie ma amatorów kąpieli. Powierzchnia jeziora marszczy

się leciutko. Przy drugim brzegu widnieją nieruchome punkciki kajaków. Amatorzy rybołówstwa zajęli upatrzone stanowiska.

- Zobaczcie, chłopcy, jaka woda - proponuje Magda.

- Kaziu! - zarządza Mirek. - Sprawdź wodę!

Kazik wsadza nogę tuż przy brzegu i relacjonuje:

- Dobra. Mokra, można się kąpać.

- Zimna?

- Ciepłutka.

- Przy brzegu. A dalej?

Kazik posuwa się kilka kroków w głąb.

- Jeszcze cieplejsza!

- A dalej?

- Gorąca!

- Mirek! Sprawdź osobiście. On się nie zna.

Mirek wzięty pod ambit wchodzi do wody i demonstrowuje swoje umiejętności pływackie. Kazik stoi niezdecydowany i macha ręką na dziewczęta, zapraszając do kąpieli.

- Innym razem!

Po chwili wraca Mirek.

- No co, szczury lądowe, cykor was obleciał? Ale woda! Buzi dać! Radzę spróbować.

- Na pewno zimna jak w naszej Jeziorce. Nawet w lato stulecia miała temperaturę podbiegunową.

- Sprawdź osobiście. Kiedy, w jakich godzinach można cię tam spotkać?

- Różnie. Między jednym katarą a drugim.

- Widzę, że z wami można tylko w brydża grać. Wody się boją, z zabawy uciekają, chodzą spać z kurami...

- Masz pecha, w brydża też nie umiemy grać.

- Co za dziewczyny! - zaczyna podśpiewywać melodię „Czerwonych Gitar” „Co za dziewczyna”.

- Fałszujesz! I w ogóle Krajewski to ty nie jesteś.

- Jestem. Zakład? - ponieważ Magda nie podejmuje zakładu, Mirek pokazuje legitymację.

Rzeczywiście nazywa się Krajewski. Na wzmiankę o zakładzie wszystkim przypomina się, że miał stawiać lody. Ubierają się i ruszają na poszukiwania. Zielona budka z różowym napisem: „Bambino” - nieczynna. W kawiarni lodów chwilowo brak. Będą po południu.

- Tu można potańczyć! - ożywia się Mirek, zauważywszy podium dla orkiestry. - Musimy koniecznie przyjść wieczorem.

- Pod warunkiem, że będziecie trzeźwi - uprzedza Magda.

- Kto był nietrzeźwy i kiedy?

- Ty, wczoraj.

- Kłamstwo! Oszczerstwo! Zniewaga!

- Kazik! Piliście wczoraj?

Kazik spogląda na kolegę niepewnie.

- Możesz nie odpowiadać. Twoja mina wszystko powiedziała.

Chłopcy mają coś do załatwienia w Chojnicach i umawiają się na siódmą.

Popołudnie dziewczęta spędzają na plaży. Każda z nich ma osobny materac, jest ciepło, trochę sennie. Zapach olejków do opalania i kremów miesza się z zapachem wody i parującego piasku. Umiarkowany pisk dzieciarni, chlapiącej się w płytkiej wodzie, nie przeszkadza w słodkim lenistwie.

- Śpisz? - pyta Bożena.

- Aha.

Magda jest myślami w Zalesiu. Ciekawe, co robi Zygmunt? Teraz z odległości widzi go inaczej. I nawet trochę tęskni. Dobrze byłoby otworzyć oczy i zobaczyć Zygmunta siedzącego obok na materacu, zamiast Bożeny. Dobrze byłoby popływać z nim w jeziorze czy pójść na lody. Minęły dopiero trzy dni. Czy wytrzyma cały miesiąc?

- Bożena! Spisz?

- Aha.

- Idziemy z nimi na te lody?

- Jak uważasz.

- Umówiliśmy się, więc wypadałoby dotrzymać słowa. Ostatecznie nie mamy nic lepszego do roboty. Co sądzisz o chłopakach z Warszawy?

- Czy ja wiem? Chyba tacy sami, jak wszędzie.

- Właśnie. Ani lepsi, ani gorsi. Może trochę bardziej bezczelni, i to wszystko. Jak będą w porządku, możemy trochę potańczyć, ale niedługo, najwyżej do dziewiątej.

Wypadałoby zadzwonić do babci, że wszystko gra. Okazuje się, że nie trzeba, bo przyjeżdża wujek na inspekcję. Wraz z mamą Bożeny szukają dziewcząt na plaży.

- Mówiłam panu, że Magdusia jest cała i zdrowa.

- I opalona - uzupełnia Magda. - Prawda, wujku? Spiekłam się, co?

Wujek udziela światłych rad, jak należy postępować ze słońcem. Naświetlanie promieniami ultrafioletowymi dawkować rozsądnie, nie kozakować, nie szaleć, nie ryzykować od razu „na Murzyna”.

Magda zna ten paciorek na pamięć, ale udaje, że słyszy go po raz pierwszy. Niech wujcio ma satysfakcję.

- Dlaczego Jacek nie przyjechał? Tyle drobiazgu tu się pęta, miałby towarzystwo.

- Jacek ma odrę. Kiedy przyjechałaś, już był trochę niewyraźny, ale jeszcze się trzymał. Chciał koniecznie być na stacji. Bał się, że cię nie poznam. Następnego dnia miał gorączkę, a dziś był lekarz i stwierdził odrę.

- Na odrę każde dziecko musi zachorować, wcześniej czy później - zabiera głos mama Bożeny. - Bożenka miała trzy lata...

- Ja nie przypominam sobie takiej choroby - stwierdza Magda. - Wiem, że miałam świnkę i koklusz, ale odry chyba nie...

- To bardzo niedobrze - martwi się mama Bożeny. - Mogłaś zarazić się od Jacka.

- Przecież to dziecinna choroba, a ja, bądź co bądź - prostuje sylwetkę i wspiąwszy się na palce jest wyższa od wujka - jestem człowiekiem dorosłym.

- Tym gorzej, tym gorzej - mama Bożeny jest pesymistką. - Dzieci przechodzą odrę lekko, a starsi miewają powikłania.

- Niech jej mama nie straszy - prosi Bożena. - Przyjechała na wakacje, a nie po żadną odrę. Jak nie będzie się z Jackiem stykać, to nie zachoruje. Może przecież mieszkać z nami, aż on wyzdrowieje. Niech pan się zgodzi! - zwraca się do wujka.

Wujek się waha, ma obiekcje, nie chce obarczać kłopotem mamy Bożeny, ale jakie jest właściwie inne wyjście?

- Ależ to żaden kłopot. Magdusia jest takim dobrym, miłym dzieckiem - zapewnia pani Eufemia.

- Uhm, uhm... - chrząka Magda.

- Nie obrażaj się za dziecko. Bądźcie dziećmi jak najdłużej. Dorosłymi będziecie aż do znużenia.

Może ma rację mama Bożeny, ale nikt nie lubi być traktowany niepoważnie. Staje na tym, że dziewczęta zamieszkają w Charzykowych, aż odra skapitułuje, jakieś dwa do trzech tygodni. Szkoda Jacka, chociaż w ten sposób Magda uwolni się spod kurateli rodziny. Mama Bożeny nie wtrąca się do nich, nie wnika, jak spędzają czas. Ma zaufanie oraz własne sprawy na głowie.

- Wykapiemy się? - proponuje wujek.
- Możemy, ale powiem wujkowi na ucho, że ja szczególnie pływam - przyznaje się Magda.

- Dobrze wiedzieć. Już ja się za ciebie wezmę. Dziś pierwsza lekcja.

Przedzierają się przez płytką wodę i chmary dzieciaków. Trzeba przejść kilkanaście metrów, żeby osiągnąć głębokość powyżej pasa. Rozgrzana słońcem skóra cierpnie w zetknięciu z zimną wodą.

Wujek udaje zucha i popisuje się kraulem. Magda nie ma odwagi wejść głębiej. Najchętniej uciekłaby z powrotem, ale się wstydzi. Po małej rozgrzewce wujek przystępuje do nauki. Przypominają mu się młode lata, kiedy żonę uczył pływać.

- Była w twoim wieku, a nie umiała ruszyć ani ręką, ani nogą. Szła na dno w charakterze łodzi podwodnej, ile ja się napracowałem, żeby z niej zrobić człowieka. Teraz pływa lepiej ode mnie albo co najmniej tak samo. Żeby nie Jacek i ta odra, zobaczyłabyś ją tutaj.

Zanurzenie po szyję jest pewnym wstrząsem, ale potem woda wydaje się nawet ciepła. Po pierwszej lekcji wujek stwierdza, że Magdzie brak tylko treningu, bo teorię ma w zasadzie nieźle opanowaną.

- Będzie się trenować.

Po kolacji zjawiają się Kazik z Mirkiem, żeby zabrać dziewczęta na te lody.

- Wybaczcie, może innym razem - wymawia się Magda.

- Łamiesz się? Nie bądź żyła. Wygrałaś zakład. Idziemy!

- Zimno mi. Wolałabym kiedy indziej.

- Spokojna głowa. Zaraz ci będzie gorąco.

- Hej! - w Magdzie budzą się podejrzenia. - Chuchnij, chłopczyku.

Mirek chucha. - W porządku?

- Powiedzmy. Umówmy się od razu, żeby nie było nieporozumień, żadnego alkoholu. Zrozumiano?

- Tak jest. Nic z tych rzeczy nie zamówię, przysięgam. Zresztą, co tu jest poza kawą i oranżadą?

Magda czuje się spokojniejsza. Wchodzą. Rzeczywiście, nie widać żadnych butelek ze złoconymi kapslami.

- Kupcie mi ciastko zamiast lodów i będziemy kwita.

- Sie robi! Cztery ciastka i oranżada! - zamawia Mirek.

W głębi orkiestra przygotowuje instrumenty. Pianista od niechcienia brzdąka coś lewą ręką. Kelnerka przynosi cztery ogromne ptysie i dwie butelki oranżady. Zabawa zapowiada się ładnie. W takiej sytuacji można potaćzyć bez obaw. Kiedy opróżnili butelki, na stoliku pojawiają się pełne. Magda nie zwróciła uwagi, jak to się stało, ale kelnerka raczej nic nie przynosiła, więc skąd? Czyżby z kieszeni Mirka? Wszystko możliwe. Tak. Oczywiście. Ta „oranżada” ma zupełnie inny kolor. Trzeba mieć się na baczności. Mirek wypija swoje pół szklanki jednym haustem, Kazik zostawia trochę na później.

W Magdę wstępuje diabeł. Więc to tak? Sposobem robi się ją na szaro? Jeszcze nie wiadomo, kto tu wygra. Ona nie ruszy tego wina za nic. Niech nie myśli jeden z drugim, że ma z głupią gęsią do czynienia.

- Pijcie, oranżada stygnie - zachęca Mirek.

- Już wystygła i nawet uległa fermentacji. Zapytam, czy w tym lokalu znajduje się książka zażaleń.

- Nie rób draki! - Mirek łapie ją za rękę.

- Spokojnie. Klient ma prawo reklamować zepsuty towar.

- Coś ci się śniło - chłopak bierze szklankę Magdy i opróżnia duszkiem. - Z braku dowodów rzeczowych reklamacji nie uwzględnia się. Chcecie jeszcze po ptysiu? - zaczynają mu się szklić oczy.

Na tysie nikt nie ma ochoty. W szklance Bożeny jest jeszcze trochę wina. „A to cielę! Jak jej kazać, to i truciznę by wypila”.

Orkiestra odstawia jakąś kołysankę, Kazik ciągnie Bożenę na parkiet. W przyćmionym świetle lampionów snują się dwie czy trzy pary.

- Można cię prosić?

Nie czekając na zgodę Mirek bierze Magdę za rękę i włączają się w grono tańczących. Ją złość zalewa. Najchętniej uciekłyby stąd natychmiast, ale nie można zostawić koleżanki. Udali się ci chłopcy z Warszawy, nie ma co. Trzeba koniecznie przedstawić Bożenie innych kolegów, kiedy przyjedzie do Zalesia, żeby zmieniła zdanie, bo ci pokazali się naprawdę nie z najlepszej strony.

Mirek staje się w tańcu agresywny. Magda ma tego dość. Zawiadamia koleżankę, że wychodzi. Chłopcy idą za nimi.

- Nie fatygujcie się. Trafimy same.

- A jak nie?

Kazik prowadzi Bożenę pod rękę. Idą przodem. Na ulicy ciemno. Chodnik oświetlony jest tylko światłami z okien rozsianych rzadko przy szosie domów. Nawet księżyc nie ma, co nie przeszkadza Mirkowi poczuć się w nastroju romantycznym. Usiłuje objąć Magdę.

- Nie jestem butelką, żebyś mnie za szyjkę trzymał - warczy ona.

- Niedotykałska!

Chłopak nie rezygnuje i zbliża rozgrzaną twarz do jej policzka. Tego już za wiele! Magda wrywa się, ale on nie ułomek, a ponadto podniecony wypitym winem, chce ją koniecznie pocałować. W ruch idą kułaki i paznokcie. Słaba to jednak obrona. Chłopak ma przewagę. W uliczce jest ciemno.

Co robić? Krzyknąć na Bożenę? Nikogo nie widać. Nie! Jednak ktoś idzie. Światło z zastawionego pelargoniami okna pozwala dojrzeć zbliżającą się męską sylwetkę. Magda wzywa pomocy. Wysoka postać podbiega błyskawicznie i kilkoma wprawnymi ciosami kładzie Mirka na ziemię.

- Zdaje się, że ma dosyć. Nie powinien podskakiwać - stwierdza nieznajomy. - W porządku, możemy iść.

Magda poprawia włosy, chociaż po ciemku i tak nie widać, że są potargane.

Niechlubny bohater podnosi się ociężale.

- Chwileczkę!

Chce wziąć odwet za porażkę, ale jego cios zostaje zręcznie odparowany.

- No co? Podskakujemy dalej? - pyta zwycięzca. Magda idzie przed siebie bez słowa.

Dogania ją nieznajomy.

- Daleko pani ma do domu?

- Jeszcze trochę.

- Dwa kilometry? Trzy?

- Dwieście metrów.

- Ładnie. Mogę do końca udawać dobrego wujka, bo idę jeszcze dalej. Pozwolę sobie udzielić pani małej porady. Jak się nie opanowało dzudo w stopniu dostatecznym, należy wieczorami chodzić pod eskortą. Inaczej zdarzają się przykrości, nieprawdaż?

Wypada podziękować wybawcy:

- Miał pan dobry pomysł przechodząc tamtędy.

- Dobre pomysły to moje hobby.

- Dziękuję.

- Drobiazg. Nie będzie pani chodzić sama wieczorami?

- Nie będę.

- Ładnie. A niech się dowiem, że nie dotrzymała pani słowa. No!

- Co, no?

- Noga, ręka, mózg na ścianie... jak mówią Chińczycy.
- Oko na widelec, jak mówi mój brat.
- Dobrze mówi. Takiego brata można wykorzystać do eskorty.
- Na szczęście nieobecny. Obozuje w Bieszczadach.
- Harcerz?
- Harcerz.

Stoją przed bramą Ośrodka Wczasowego Pracowników Przemysłu Mięsnego i Magda widzi, że nieznajomy nosi taką samą bluzę instruktorską, jak Janusz.

- Czyżbym miała zaszczyt rozmawiać z druhem?
- Ma pani ten wątpliwy zaszczyt.
- Obozujecie po drugiej stronie jeziora?
- Nie, po tej. Jakieś dwa kilometry w kierunku Funki.
- Więc i tu są harcerze? Nie wiedziałam.
- Jest nas od groma. Aż siwo w oczach się robi.
- A ja mieszkam w tym dużym domu. Pierwsze piętro. Drugie okno od lewej.
- No, to już wiemy o sobie wszystko. Cześć!
- Do widzenia.

Wszystko? Nic o sobie nie wiedzą. Nie znają nawet swoich imion. Przed drzwiami wejściowymi czeka Bożena z Kazikiem.

- Gdzie Mirek? - interesuje się kolega.
- Trzeźwieje gdzieś po drodze. Znokautowałam go. Możesz sprawdzić.
- Nie mów! - Kazik nie zegnając się robi w tył zwrot.
- Co się stało? - Bożenę pożera ciekawość.
- Nic. Rzucił się, to oberwał.
- Od ciebie?
- Niezupełnie. Zdarzają się jeszcze prawdziwi dżentelmeni, tylko że coraz rzadziej.
- Opowiedz!

Magda opowiada. Cały czas stoją pod drzwiami. Jest ciemnawo, ale kocie oczy Bożeny świecą jak latarki.

- Umówiliście się?
- Zapomnieliśmy.

XVI

Następne dni są słoneczne i ciepłe. Pogoda się ustaliła i wszystko wskazuje na to, że Magda wróci do Zalesia w kolorze mlecznej czekolady. Systematycznie też ćwiczy pływanie. Dwa razy po pół godziny przed południem i dwa razy po południu. Jako miejsce treningu wybierają rzadko uczęszczany brzeg jeziora w pobliżu obozu harcerskiego. Jest to celowe z dwóch powodów. Po pierwsze: istnieje małe prawdopodobieństwo, żeby Kazik z Mirkiem tu trafili (Kazika to nawet szkoda, był możliwy i pasował do Bożeny), a po drugie: Magda żywi cichą nadzieję, że spotka niby przypadkiem swojego druha.

Ciągle o nim myśli i przymierza do jego osoby różne imiona: Jurek, Wojtek, Jacek. Dużo dałaby, żeby znać prawdę. Po kilku dniach daremnych wypatrywań postanawia działać.

Podpływają z Bożeną pod sam obóz. Dwie druhny szorują akurat w jeziorze okopcony kocioł.

- Cześć pracy!
- Cześć! - Dziewczęta nie są rozmowne. Pucują zawzięcie zasmolone naczynie, a miny mają nie zachęcające.
- Dziurę wywiercicie w tym kociołku, a jutro znów będzie czarny, nie?
- Ja też tak uważam - odzywa się jedna z harcerek. - Ale powiedz to naszemu oboźnemu, zaraz ci dosoli karną służbę.

- Taki twardy?
- Żelazo-beton. Trzy dni było spokoju. Pojechał z wycieczką do Kartuz, a dziś przyjechał i od razu wziął się za porządki. Akurat kiedy nam wypadł dyżur. Jak ktoś ma pecha, to już ma.

Magda odruchowo potakuje, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o tym oboźnym.

- Pewnie jest małego wzrostu i dlatego zgrywa ważniaka? - zadaje podchwytliwe pytanie.

- Wprost przeciwnie. Jest wysoki i zupełnie fajny, tylko chce się przypodobać lekarzycy i dlatego taki pies na porządki.

Przed jednym z namiotów widać jakąś starszyzną. Wśród zebranych, znajduje się i on. Żywo gestykuje i wygląda, jakby się złościł. Obok niego stoi nieduża blondynka.

- To wasza lekarzyca? - Magda wskazuje dyskretnie w tym kierunku.

- Aha.

- Co ona robi na obozie?

- Nic, poza dobrym wrażeniem i czarowaniem chłopaków. Jak kogoś głowa boli, to nie może doprosić się o lekarstwo. W apteczce nigdy nie ma tego, co potrzeba. Nikt jej nie lubi.

- Dlatego, że oboźny za nią lata?

- To ona za nim lata. On ma wszystkie dziewczyny w nosie.

- Przed chwilą mówiliście, że chce się przypodobać lekarzycy i dlatego taki pies na porządki.

- No chyba, za dużo się mądrzyła, więc on chce jej pokazać, jaką higienę potrafi utrzymać. Żeby przestała zadzierać nosa.

Magdzie robi się przyjemnie, kiedy słyszy, że oboźny nie lubi lekarzycy.

- Przyjdźcie do nas na wieczornicę - zapraszają harcerki.

- Kiedy?

- W sobotę.

Do soboty jeszcze trzy dni. Długo! Trzeba coś wymyślić, żeby dzień za dniem nie upływał bezowocnie. Bożena nie ma pojęcia, że wszystkie zabiegi i podchody pod obóz miały jeden cel: zobaczyć druha oboźnego. Choćby z daleka. Teraz, kiedy program minimum został osiągnięty, należałoby posunąć się dalej. Zaaranżować spotkanie, krótką bodaj chwilę rozmowy. Był tak miły tamtego wieczoru, że Magda nie może przestać o nim myśleć. Wspomnienie Zygmunta i jego spraw zaczyna blednąć.

Druhny doszorowały kociołek i jeszcze raz przypominają o wieczornicy. W sobotę, godzina dwudziesta trzydzieści.

Przy kolacji Magda łamie się i opowiada wszystko Bożenie.

- Wiesz? Ten oboźny to był on!

- Co za on?

- Już zapomniałaś? No, on!

- Aha. I co?

- I nic. Nie ma do niego dojścia.

- Spotkasz go na wieczornicy.

- Dopiero w sobotę. Tyle czasu.

- Rzeczywiście - Bożena szuka jakiegoś lepszego rozwiązania. - Mam! Mam pomysł!

Podejdzimy pod obóz, niby przypadkiem skaleczysz się w rękę albo w nogę, zwrócisz się do tej lekarki o pomoc, a ponieważ on bywa w pobliżu, więc... jasne?

- Odpada.

- Dlaczego?

- Po pierwsze: nie skaleczę się celowo, bo to przerasta moje możliwości, a po drugie: nie chcę ciągle przedstawiać się jak ofiara. Człowiek wymagający pierwszej pomocy jest niezachęcający. Wolę mu zaimponować czymś innym.

- Tylko czym? - Bożena jest jakby urażona odrzuceniem projektu.
- Jeszcze nie wpadłam na pomysł.
- Jak wpadniesz, to zawiadam. I Zygmunta też. Jak sądzisz, ucieszy się?

Magda jest zła na Bożenę za takie stawianie sprawy. Wygląda to na zazdrość. Czy chęć poznawania nowych, ciekawych ludzi może być rzeczą zdrożną? Każdy ma prawo wyboru, oceny, wartościowania. Zygmunt wybrał ją. Wolno mu. Jej też wolno wybierać, porównywać, sprawdzać samą siebie.

Następnego popołudnia Bożena jedzie do Chojnic z polecenia mamy. Magda zostaje sama i bierze kajak na samotną przejażdżkę. Płynie w kierunku Funki. W obozie poobiednia cisza. Dalej brzeg jeziora robi się coraz bardziej dziki. Nie ma piaszczystej plaży.

Przybrzeżne szuwary utrudniają wiosłowanie. W trzcinach i sitowiu królestwo ptactwa.

Ciepłe popołudnie nasycą się piskiem, szumem i świergotem. Fala kołysze lekko. Magda wiosłuje coraz wolniej i trafiwszy na małą zatoczkę ustawia się twarzą do słońca. Wiatr znad wody muska delikatnie jej policzki, a ciepło rozleniwia. Senną ciszę przerywa od czasu do czasu jakiś plusk, szmer czy dalekie nawoływania. Życie toczy się tuż obok, jakby za cienką, delikatną zasłoną.

W ten półsen, półjawę włącza się zdecydowany plusk wiosła. Ktoś płynie w pobliżu. Magda nie otwiera oczu, czeka, aż ten ktoś oddali się. To jednak nie następuje. Silniejsze kołysanie fali wyrywa ją z uspienia. Kątem lewego oka widzi, że ktoś ustawia kajak prostopadle do brzegu. Kto to jest? Oczywiście on! Wbił się dziobem w szuwary i manewruje kajakiem, szukając lepszego ustawienia. Po dłuższej chwili zdejmuje z ramienia małą ręczną kamerę filmową i zaczyna kręcić.

„Co on filmuje?” - zastanawia się dziewczyna. Serce jej zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Więc to, o czym marzyła, o czym tak długo myślała, spełniło się samo. Szczęśliwy przypadek. Kombinowała, jak doprowadzić do spotkania, i oto pragnienie stało się faktem. To naprawdę jest on! Tuż, tuż, w odległości trzech, czterech metrów, przesłonięty ażurową zasłoną wiotkich trzciny. Ale nie widzi jej. Jest odwrócony plecami, całą uwagę skoncentrował na obserwacji szuwarów. Po kilku minutach odkłada kamerę, sadowi się swobodnie w kajaku i zaczyna pogwizdywać.

Co on gwizdzie? Trudno się zorientować. Melodia przypomina trochę: „Chłop żywemu nie przepuści”, a miejscami: „Za trzydzieści parę lat”.

Czas płynie, a Magda nie może zdobyć się na zaczęcie rozmowy. Jest zła na siebie, widzi, że marnuje okazję, a druga taka nie nadarzy się szybko. Na szczęście, niechcący strąca wiosło, które z pluskiem uderza o wodę. No! Nareszcie jakaś reakcja.

On podnosi głowę i przebijając wzrokiem trzciny, spostrzega Magdę.

- Jak to się stało, że nie zauważyłem pani? - zaczyna, a w głosie jego brzmi niekłamane zdziwienie.

- Nie rzucam się w oczy.

- To zaleta.

- Jak kiedy. A poza tym miał pan pasjonujące zajęcia.

On kilkoma wprawnymi ruchami wiosła ustawia kajak blisko niej i wskazuje kamerę:

- O tym pani mówi?

- Właśnie. Był pan tak pochłonięty kręceniem, że bałam się głośniej oddychać. Co pan filmuje?

- Wstrząsający dokument z życia wyższych sfer. Ptasich.

- Z dreszczykiem?

- Może. Jeśli uda mi się podpatrzeć jakieś pikantne sceny. Obserwowanie przyrody jest pasjonującym zajęciem, niech mi pani wierzy.

- Studiuję pan biologię?

- Nie. Prawo. A pani?

- Na razie skończyłam dziesiątą klasę. - Przy tym niewinnym kłamstwie Magda rumieni się, ale on tego nie widzi, chociaż patrzy na nią w skupieniu.

- Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy? Pani głos wydaje mi się znany.

- Głos? Ach tak! - jest zdziwiona, że on nie kojarzy jej sobie z tamtym incydentem, ale przecież było ciemno, miał prawo nie zapamiętać rysów twarzy. Poza tym w tej chwili ma inne uczesanie i ubiór. Tylko głosu nie zmieniła. Postanawia nie przypominać mu tamtego wieczoru. Nic budującego. Wspomnienie Mirka i całej tej znajomości budzi w niej teraz niezadowolenie z siebie. - Jeśli nawet spotkaliśmy się gdzieś, to chyba przelotnie.

- Wobec tego poznamy się. Ryszard!

- Magda!

Podają sobie ręce i od razu jest inaczej. Więc on ma Ryszard na imię. Nigdy by na to nie wpadła. Poprzednie skrzępowanie znika, rozmowa staje się swobodniejsza.

- Jesteś już nieźle opalony.

- Czego i tobie życzę, to kwestia dni. Będziesz tu do końca wakacji?

- Nie, tylko w lipcu. Sierpień spędzam w domu. Zapraszam do siebie koleżankę z Chojnic, w ramach rewanżu.

- Gdzie mieszkasz?

- Pod Warszawą.

- A dokładnie?

- Zgadnij.

Ryszard próbuje metodą teleturniej ową:

- Czy twoje miasto jest powiatowe?

- Owszem. Skąd wiesz?

- Metoda dedukcji. Chodzisz do liceum, a takie placówki naukowe lubią występować w miastach powiatowych, unikając z reguły małych miasteczek i wsi. Dobrze mówię?

- Bardzo dobrze.

- Jedźmy dalej. Czy twoje miasto leży na trasie... na trasie... Warszawa-Mińsk Mazowiecki?

- Boję się, że nie leży. Co prawda kursuję tylko między Warszawą a hm, hm, hm...

- Hm, hm, hm... powiadasz? Czy zaczyna się na A?

- Nie.

- B?

- Nie.

Teraz już leci błyskawicznie, Doszedłszy do P, Ryszard od razu strzela:

- Piaseczno.

- Zgadłeś. Gratuluję.

- Znam Piaseczno. Mam w nim zupełnie udaną ciotkę.

- Jak się nazywa?

- Sowińska. Uczy polskiego w liceum. Pewnie ją znasz?

- Pytanie! Jest moją wychowawczynią. Bardzo lubi naszą klasę.

On zaczyna opowiadać o ciotce. Wyraża się w samych superlatywach, a Magda uzupełnia, że fajna, że rozumie młodzież, że na jej lekcjach nie wyje nuda.

Ryszarda wzywają obowiązki. Przed pożegnaniem umawia się na jutro. W tym samym miejscu i o tej samej porze.

Magda jest uszczęśliwiona, ale odpowiada niedbale, jakby jej nic a nic nie zależało:

- Może będę, jeśli nie wynikną jakieś przeszkody.

Wie, że nie będzie żadnych przeszkód, uważa tylko za stosowne podroczyć się trochę. Po odejściu Ryszarda przeżywa spotkanie po raz drugi. Rozpamiętuje każdy szczegół rozmowy, przywołuje jego twarz. Zastanawia się, co ją w nim tak zainteresowało? Przystojny, owszem, ale czy tylko on jeden? Zygmunt też nie jest brzydki, lecz na jego widok serce tak

mocno nie kołacze. Zygmunt, kolega znany od niepamiętnych czasów, przez wiele lat nie dostrzegany, odkryty dopiero niedawno i w okolicznościach nie sprzyjających romantycznym uniesieniom. Ryszard reprezentuje to, co banalnie można by nazwać smakiem letniej przygody. Uroku dodał jego postaci rycerski uczynek i chociaż Zygmunt nie postąpiłby inaczej, to miał pecha, bo nie dane mu było się wykazać. „Człowiek jest wart tyle, na ile okoliczności mu pozwalają”.

Postać Zygmunta oddała się, jest jakby przesłonięta mgłą, a w myślach Magdy króluje Ryszard. Ani Jurek, ani Jacek, ani Wojtek, jak poprzednio sądziła, tylko Ryszard. Lwie Serce. Skojarzenie wypada pozytywnie.

Wieczorem Magda nie może usnąć. Wierci się na tym przykrótkim materacu, czym wzbudza podejrzenia Bożeny.

- Założę się, że wymyśliłaś sposób na swojego harcerzyka i to ci spać nie daje.
- Zgadłaś.
- Nie można cię samej zostawiać. Zaraz coś kombinujesz. Opowiedz chociaż.

Nie musi długo namawiać. Po ciemku nie widać wyrazu twarzy Bożeny, ale na pewno maluje się na niej zazdrość. Bądź co bądź, nie było to takie zwykłe spotkanie, tylko wyjątkowy zbieg okoliczności.

- Jak czegoś bardzo pragnę, to mi się spełnia - rzuca Magda tonem usprawiedliwienia i usypia z obrazem niebieskookiego bruneta pod powiekami.

Zaczynają się prawdziwe wakacje i pierwsze w życiu Magdy prawdziwe uczucie. „Jestem zakochana” - może powiedzieć każdemu w oczy, bez odwoływania się do przyjaźni czy innych bliżej nie sprecyzowanych uczuć. To wreszcie musi kiedyś przyjść na człowieka. Czas i okoliczności sprzyjają rozwijaniu uczuć. Jest cudownie. Spotykają się codziennie po południu, w czasie poobiedniej ciszy w obozie.

Ryszard kręci te swoje sceny obyczajowe z życia ptaków, ale tak gdzieś po godzinie ma dość i zaczynają swobodną rozmowę. Mówią o wszystkim i o niczym. Jest niekrępująco, nieobowiązująco uroczo.

- Jesteś szczytowa dziewczyna w porównaniu z innymi - stwierdza on. - Rozmawia się z tobą jak z dorosłą - przekomarza się. - Na każdy temat. Nie tak, jak z naszą lekarką. Ta gada dużo, ale głupio.

Magda jest mile podbudowana pochwałami, stara się mądrze mówić oraz „inteligentnie” słuchać. Umiejętność słuchania to sztuka niełatwa. Nie każdy potrafi. Natomiast wszyscy lubią, kiedy się ich słucha uważnie. Ryszard zresztą potrafi ładnie mówić. Ciekawie.

- Czy ja cię nie zanudzam? - troszczy się od czasu do czasu.
- Skądże!
- Myślałem, że śpisz.
- Też wymyśliłeś. Opalam się i dlatego zamknęłam oczy. Mów dalej. Wybrałeś właściwy zawód. Będziesz adwokatem?
- Obrońcą. Tak się ostatnio mówi.
- Nie jestem w kursie. Nie posiadam w rodzinie nikogo z wysokiej jurysdykcji.
- Nic straconego. Możesz jeszcze posiadać.
- „Co on chce przez to powiedzieć? Czy to, że...”
- Ale on nie ma widocznie nic specjalnego na myśli, bo ciągnie dalej:
- A ty gdzie próbujesz po maturze?
- Chciałabym na polonistykę.
- Taaak? A po co?
- Jak to, po co? Dlaczego ty poszedłeś na prawo? - Magdzie robi się przykro, że Ryszard tak lekceważąco traktuje jej życiowe zamiary.

- Interesują mnie zagadnienia prawne.
- A mnie językowe.

- Chcesz zostać nauczycielką? Męczyć się z tępagłowymi? Co za perspektywy!
- Zapominasz, do kogo mówisz. Jeszcze noszę tarczę na rękawie i należę do grona tych tępagłowych.

Zanosi się na sprzeczkę. Pierwszą, ale poważną. Ryszard jednak łagodzi swoją wypowiedź:

- Nie bierz wszystkiego do siebie. Jesteś chlubnym wyjątkiem. Większość uczniów, przyznasz sama, to niestety twardy, nieprzeorany ugor, a praca na tym ugorze nie będzie najłatwiejsza. Wiem coś o tym, mam ciotkę nauczycielkę.

- Jeśli mówisz o pani Sowińskiej, to nie do mnie. Jest klasyczna i podobnych bzdur z cyklu: „Orka na ugorze” nie rozpowszechnia. Bardzo nas lubi i nigdy nie daje do zrozumienia, że ma nas za tępaków. Ty nie znasz swojej ciotki. Powinieneś zobaczyć ją na lekcji!

- Czy ona wie, jaki entuzjastyczny pogląd masz na jej osobę?

- Nieważne. Dowiedz się, że przede wszystkim jej zawdzięczam swój wybór. Nauczyła mnie myśleć i rozumieć siebie i innych.

- No, no, no, w jaki sposób? Czyżby przez literaturę?

- Pewnie.

- Nie chciałem cię urazić, ty entuzjastko, ale literatura to poniekąd hochsztaplerstwo, pokazuje życie zdeformowane, nieprawdziwe. Przynajmniej ja tak odczuwam.

- Bo patrzysz na życie nie od tej strony, co potrzeba. Uznajesz tylko suchą literę prawa, paragrafy, zza których nie widać człowieka. A człowiek jest istotą skomplikowaną, działającą pod wpływem rozmaitych bodźców, podlegającą złożonym procesom psychicznym.

Magda czuje się już jak pani nauczycielka. Wygłasza mowę, której Ryszard słucha uważnie. „Pewnie zaraz mnie czymś zagnie” - myśli. I rzeczywiście. Skoro tylko zrobiła przerwę dla złapania oddechu, on włącza się w jej wywód:

- W świetle tego, co mówisz, należałoby dla każdego człowieka stworzyć osobny kodeks prawny, bo każda istota ludzka jest odrębną osobowością. Praktycznie - niemożliwe.

- Masz rację. Temida jest niewzruszona i taka powinna być, ale zostawia wiele spraw nie załatwionych, dając pole do popisu literaturze. Weźmy dla przykładu „Nędzników”.

- No, tam znajduje się wyjątkowo ostra krytyka stosunków społecznych.

- Właśnie. Kogo broni ta literatura? Człowieka. Przeciwno krzywdzącym układom socjalnym. Uważasz to za hochsztaplerstwo?

- A nie! Wymieniłaś dla przykładu wyjątkową pozycję. Ale to klasyka. Literatura współczesna, łącznie z poezją awangardową, osiągnie tę rangę dopiero za kilkadziesiąt lat. Może z wyjątkiem pozycji pamiętnikarskich, ale te zajmują się na ogół sprawami odległymi w czasie. A weźmy taką poezję współczesną. Czytasz i nie wiesz, co poeta chciał powiedzieć. I nie ma pewności, czy on sam wiedział. Zestawił luźno ze sobą powiązane słowa, najlepiej tak zwane nowotwory językowe, dla uniknięcia banału, a niezorientowany, zagubiony w tym wszystkim laik ma się wzruszać. Czasem wydaje mi się, że byłbym zupełnie niezłym poetą, wprowadzając nowy styl, taką superawangardę.

- Mianowicie?

- Dam ci receptę. Jako przyszłej polonistce może ci się przydać. Zechcesz zapewne sama chwycić kiedyś za pióro.

- Może.

- Więc słuchaj! Bierzesz dowolne zdanie, na przykład z kodeksu karnego czy drogowego, i ustawiasz wyrazy od najdłuższego do najkrótszego albo odwrotnie. Jeśli trafisz na wyrazy jednakowej długości, szeregujesz je według alfabetu. Oryginalne, niezrozumiałe, a więc wartościowe. Czytelnik pięknie, a nie pojmie. Wtedy ocenią cię wysoko, bo nikt nie przyzna się, że nie rozumie. A za kilkadziesiąt lat, zapewne już po śmierci, zyskasz sławę poetki wyprzedzającej swoją epokę. Odpowiada?

- Nie! Wolałabym być zrozumiana za życia.. Twój pomysł fabrykowania poezji jest oryginalny, ale nie dla mnie. Na razie piszę tylko wtedy, kiedy muszę, nie potrafiłabym napisać nic na zamówienie.

- A wypracowania szkolne?

- To nie literatura.

- Zawsze nienawidziłem wypracowań. Wolałem wypowiadać się ustnie. A ty?

- Ja tylko na piśmie. Kartka papieru zawsze napełnia mnie ufnością.

Po takiej wymianie zdań nie ma nic lepszego, jak zanurzenie się w chłodnej wodzie jeziora. Magda już na tyle opanowała sztukę pływania, że prawie dorównuje Ryszardowi. On ma oczywiście lepszą kondycję, ale jej to nie wprawia w kompleksy. Lubi, kiedy chłopak imponuje. Płynąc tuż obok niego, na odległość ręki, czuje się bezpieczna i zdolna do największych wyczynów. Na szczęście on czuwa. Dobrze być pod taką opieką. Magda chętnie pokazałaby się z Ryszardem na wspólnej plaży. Niechby wszyscy, łącznie z Bożeną, wywracali gały, jakiego ona ma chłopaka. Ale chłopaka wzywają obowiązki. Mówi się trudno.

Nadchodzi sobota i zapowiadana wieczornica. Magda jeszcze nigdy nie była na takiej imprezie (strach pomyśleć, ile człowiek ma zaległości). W czasie popołudniowego spotkania próbuje tak pokierować rozmową, żeby Ryszard zaprosił ją osobiście na ognisko. Ale on nie miał tego widocznie w planie, bo nie reaguje na delikatne aluzje. Musi powiedzieć wprost:

- Zaprosz mnie na te wasze artystyczne produkcje.

- A to się ubawisz! Amatorszczyzna!

- Nieważne. Trzeba i to mieć na swoim koncie. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam na wieczornicy, chociaż mam brata harcerza.

- Zdarza się, że brat i siostra chodzą własnymi ścieżkami. Jak bardzo chcesz, to przyjdź. Na własną odpowiedzialność.

To ma być zaproszenie? Ale z braku lepszego i takie musi wystarczyć.

Ognisko jest rzeczywiście zlepkiem amatorskich produkcji. Poszczególne numery: śpiewki na temat życia obozowego, monologi i skecze, spięte są klamrą konferansjerki, którą prowadzi Ryszard. Magda zna go już trzy dni i potrafi wykryć w jego głosie tremę, z czego jest bardzo zadowolona. Teraz wie, dlaczego tak bez entuzjazmu ją zapraszał. Chciałby wypaść jak najlepiej, a więc nie jest mu obojętna. Bardzo dobrze! Dla niej mógłby się zacinać i mylić co drugie słowo.

Ryszard występuje również jako prestidigitator, uzupełniając stronę wizualną komentarzem słownym:

- Proszę państwa! Oto mamy butelkę. Prawdziwą, firmową, po oranżadzie. Wkładam do niej chusteczkę. - Wkłada i upycha patyczkiem. - Teraz drugą. - Jakaś drużyna dostarcza mi większej ilości chustek do nosa. - Trzecią, czwartą... - Przy dziewiątej butelka jest pełna. - A teraz proszę się uważnie przyglądać, ja nie mam nic do ukrywania. Czysta robota! Wkładam butelkę do kieszeni, można sprawdzić, nie dziurawa - wywraca kieszeń podszewką na zewnątrz, a po przywróceniu jej pierwotnego stanu wpycha w nią wyżej wspomnianą butelkę. - I proszę spojrzeć, co znajduję zamiast chustek do nosa w szklanym opakowaniu? - Wyciąga spod bluzy puszystego białego kotka (żywego). Wśród licznie zgromadzonej publiczności wybuchają śmiechy. Konferansjer ciągnie dalej:

- Państwo się śmieją? Zapewniam, że to nic wesołego. Zwłaszcza, jeśli ma się katar. - Kicha. - A jest się człowiekiem nie używającym rękawa do wycierania nosa. Wtedy każda czysta chusteczka liczy się na wagę złota. Jaki natomiast pożytek można mieć z otrzymanego stworzenia? - Z widowni rozlegają się niewyraźne głosy. Ryszard robi z dłoni trąbkę i przykłada do ucha, udając, że interesuje go głos widowni. - Aha! Państwo radzą założyć to stworzonko futerkowe na szyję w charakterze kołnierza i czekać, aż katar przejdzie? Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym.

Zarzuca sobie piszczący kłębuszek na ramię i oddala się przy akompaniamencie oklasków. Wtedy chór zupełnie znośnie śpiewających dziewcząt produkuje się w piosence: „Gdy ci kot przebiegnie drogę”.

Konferansjer, oddawszy kłopotliwy rekwizyt w odpowiednie ręce, zapowiada inscenizację Hamleta. Dowcipne dialogi tej parodii wywołują huragany śmiechu, zwłaszcza że tytułową rolę oraz ducha gra jedna i ta sama postać. Odtwórca Hamleta w ostatniej chwili zaniemógł, a nikt inny nie znał roli na pamięć. Cała parodia trwa około piętnastu minut, budząc przez cały czas wybuchy śmiechu.

Na zakończenie chór żeński śpiewa pieśń o sprawach dnia powszedniego: „Jak to na obozie ładnie, kiedy mysza w zupę wpadnie”. Magdę złości słowo „mysza”, ale gani siebie za brak poczucia humoru. Bożena jest zachwycona programem... i konferansjerem.

- Ty masz szczęście! - mówi z odcieniem zazdrości - Najlepsze chłopaki do ciebie Igna.
- Ilu ich naliczyłeś?
- Obożny - raz. Ten z Zalesia - dwa, Mirek...
- Tylko nie wspominaj o Mirku. Wstydzę się takiej znajomości.
- Czego? Że chciał cię pocałować? Tak wszyscy chłopcy robią.
- Nie wszyscy, nie wszyscy.
- Poczekaj. Jeszcze i twój harcerzyk nabierze drygu. Znaie się dopiero trzy dni.

Dopiero trzy dni! A Magdzie zdaje się, że całe wieki minęły od pierwszego spotkania, od pierwszej rozmowy. Gdyby Ryszard chciał ją pocałować, sprawa wyglądałaby inaczej niż z Mirkiem. Jest wdzięczna Bożenie za przepowiednię, iż „harcerzyk nabierze drygu”. Niech nabierze!

Następny tydzień jest równie piękny i słoneczny, jak poprzedni. Jacek zaczyna wracać do zdrowia, więc po południu zjawiają się w Charzykowych na zmianę - albo ciocia, albo wujek. Na szczęście, dopiero koło czwartej, kiedy Magda ma już czas dla rodziny. Druh obożny o tej porze musi być w obozie i najpiękniejszą część dnia, czyli spotkanie w zatoczce, mają za sobą.

Obecnie terenem obserwacji Ryszarda jest przeciwny brzeg jeziora, ten dziki, zarośnięty, mniej uczęszczany przez ludzi (jedynie przez rybaków), dający wymarzone schronienie najrozmaitszym gatunkom fauny wodnej.

Magda nie myślała nigdy, że potrafi bez ruchu spoglądać w toń i że rozgrywane się pod powierzchnią wody sceny mogą być tak pasjonujące. Pozornie nieruchoma tafla jeziora, marszcząca się lekko pod uderzeniem wiatru, jest miejscem starć, potyczek i walki o byt. Oto ryba błyskająca w słońcu srebrną łuską robi skok nad wodą, rzucając się na zdobycz. Albo szerokoskrzydła ważka, podobna do zwinnego samolotu myśliwskiego, pikuje z wierzchołka kołyszącej się trzciny w dół i spada jak jastrząb na upatrzony obiekt. Rządzi tu nie pisane prawo dżungli. Zwycięża silniejszy. Słabszy nie ma szans. Magda dzieli się swoimi myślami z Ryszardem.

- Podobne układy występują również w społeczeństwach ludzkich - odpowiada Ryszard.
- Przeciwdziała się im przepisami prawnymi.
- Mogłam się spodziewać, że usłyszę coś takiego. Zapomniałam, z kim rozmawiam.
- Chciałaś usłyszeć coś na temat okrucieństwa natury? Proszę bardzo. Prawa przyrody są nieubłagane. Żeby istnieć, trzeba zabijać. Na to nie ma sposobu.
- Smutne to, co mówisz.
- Niekoniecznie. Spróbuj sobie wyobrazić, że na przykład pająki zawiesiły działalność, zastrajkowały. W związku z tym muchy rozmnażają się bezkarnie. Jakbyśmy wtedy wyglądali? Albo koty stają się nagle jaroszami i gardzą mysim mięsem. Co wtedy? Wyobrazasz sobie ten nie kontrolowany przyrost naturalny? Jesz śniadanie, a tu na kolana wskakuje ci wielodzietna matka mysiej rodziny i stawia ultimatum: Albo dzielisz się kajzerką z szynką, albo...

- Albo?
- Wolę się nie domyślać, do czego jest zdolne głodne zwierzę, nawet tych rozmiarów, co mysza.
- Tylko nie mysza, błagam cię!
- Boisz się? Taka duża...
- Nie boję się, tylko nie cierpię formy: „mysza”.
- A co proponujesz?
- Zwyczajnie, mysz.
- Co za różnica?
- Zasadnicza. Tak jakbyś powiedział: boli mnie brzuch.
- Nie boli mnie.
- Co cię nie boli?
- Brzuch.
- Brzuch! Brzuch cię nie boli.
- Przecież cały czas mówię, że mnie nie boli.
- Gdyby cię nawet zabolął, to też niewielka parada. Masz pod bokiem lekarkę.
- Ścieliśmy się ostatnio. Nienawidzi mnie.
- Uważaj, bo cię czym struje.
- Na wszelkie trucizny jestem uodporniony. Dwa tygodnie na wikcie naszej kucharki zahartowało mnie na długo. Mam poczciwy organizm. Przyswaja każde świństwo.

- Widzę, że nie zginąłbyś nawet na bezludnej wyspie. Żywiłbyś się korzonkami i planktonem... - Magda chce sprowokować wyznanie: „Na bezludnej wyspie, ale nie sam”.

Niestety, Ryszard na to nie wpada i jej zabiegi trafiają w próżnię. Mimo dziesięciu dni znajomości nic się nie dzieje, nie dochodzi do żadnych wiążących wypowiedzi. Magda usiłuje jeszcze w inny sposób zapewnić sobie dalszy ciąg „letniej przygody”:

- Kiedy wywołasz film?
- Jak wrócę do Warszawy. W końcu sierpnia.
- Chętnie bym go obejrzała.
- Jeśli otrzymam adres, to cię zawiadomię.

Niestety, w tej chwili brak przyborów do pisania, ale przecież jeszcze się nie rozstają. Jeszcze mają tyle dni przed sobą. Ciepłych, słonecznych, przeglądających się w zielonej od trzciny i wodorostów wodzie jeziora.

W sobotę Ryszard ma wolne całe popołudnie i wieczór. Prócz codziennej porcji pływania i przejażdżki na drugi brzeg proponuje Magdzie niecodzienną frajdę: kino pod gołym niebem. Do tego kina już dawno wybierały się z Bożeną, ale pani Eufemia nie miała czasu, a samych dziewcząt nie chciała puścić, bo stali bywalcy kina znani byli z ekstrawaganckich wyczynów. Natomiast wycieczka w towarzystwie druha oboźnego gwarantowała bezpieczeństwo.

Bożena próbowała się wymawiać, że nie chce przeszkadzać, plątać się jak piąte koło u wozu, ale czyniła to nieśmiało i bez przekonania, zmuszając Magdę do podjęcia decyzji:

- Nie zwracaj głowy! Idziemy w trójkę.

Pewnie, że wołałaby spektakl we dwoje, ale Bożenie też się coś od życia należy.

Kino jest rzeczywiście pod gołym niebem. Płótno ekranu zostało rozciągnięte na tle alejki wysadzanej pnącymi różami. Wieczór niesie mocny zapach kwiatów.

Widownia składająca się z młodzieży chłonie przygody Beatlesów wzywających pomocy. W partiach wokalnych zespół jest wzmacniany głosami widzów, ponieważ piosenki z tego filmu zostały już wcześniej spopularyzowane przez radio.

Jest trochę chłodno. Magda czuje lekki dreszcz, ale Ryszard pomyślał o wszystkim. Dziewczęta otulają się kocem, podobnie jak większość kinomanów. Film jest średni. Zygmunt nie rwał się na niego, wybierając „Działa Nawarony” i miał rację. Ci okrzyczani

Beatlesi działają dziś Magdzie na nerwy. Boli ją głowa i zaczyna męczyć suchy kaszel. Myśl, że mogłaby zachorować, staje się w tej chwili nie do zniesienia. Teraz, kiedy powinna być w jak najlepszej formie, choroba stałaby się katastrofą. Pokasływanie zwraca uwagę Ryszarda.

- Oho, ktoś tu się zaziębił. Z jutrzejszego pływania klops. Panienka pójdzie do łóżka, dostanie mleka z miodem i wykuruje się.

- Nic mi nie jest. Pewnie się zakrztusiłam - nadrabia miną „panienka”, ale czuje się nieszczęśliwie, marzy o łóżku.

Kończy się wreszcie ten koszmary film. Ryszard odprowadza dziewczęta pod sam dom i zaleca kurację przeciwpriężeniową.

- Zobaczysz, że do jutra wszystko będzie o key! - zapewnia Magda, choć sama w to nie wierzy.

Noc jest wyjątkowo męcząca. Kaszel nie pozwala usnąć, a ponadto trzeba się powstrzymać, żeby nie budzić Bożeny i jej mamy. Rano wypożyczony od kogoś z wczasowiczów termometr wskazuje temperaturę: trzydzieści dziewięć i trzy kreski. Pani Eufemia telefonuje do wujka i zwołana doraźnie rada rodzinna orzeka, iż należy Magdę zabrać do Chojnic. Jej wszystko staje się nagle obojętne. Widzi świat w jakimś żółtym kolorze, otaczające przedmioty stają się natrętnie jaskrawe. W głowie czuje zwariowaną karuzelę i przeklina ten idiotyczny kaszel nie dający chwili wytchnienia.

Wujek patrzy z troską na siostrzenicę, Bożena ma smutną minę przy pożegnaniu.

- Nie mów nic Ryszardowi - prosi Magda szeptem. - Za dwa dni wyzdrowieję i wrócę.

Optymistka! Po dwóch dniach choroba zaczyna rozwijać się na dobre, a wezwany lekarz stwierdza odrę. Co za pech! Trzy tygodnie leżenia w łóżku! Teraz, kiedy każdy dzień jest taki cenny! Gorączka nadal wysoka. Bożena dowiaduje się o zdrowie koleżanki, ale nie zostaje dopuszczona do jej łóżka, ponieważ babcia twierdzi, że może się zarazić. Nie pomagają zapewnienia o przebytej w dzieciństwie odrze. Babcie bywają nieugięte.

Magda chce się dowiedzieć, czy Ryszard o nią pytał, niestety, nie wie jak.

Samopoczucie ma okropne, mimo że wszyscy chodzą na palcach, tylko Jacek dotyka od czasu do czasu policzków kuzynki, pocętkowanych czerwonymi plamkami.

- Wyglądasz jak muchomor - cieszy się dziecko. „Wszystko przez ciebie, szczeniaku!” - chciałyby mu odpowiedzieć, ale na szczęście nawet gorączka nie mąci jej logicznego rozumowania, bo co niby biedny Jacek winien. Sprzedał niechący choróbsko, które sam nabył. Kto wiedział, że Magda nie zdążyła w dzieciństwie zaliczyć tak kompromitującej odry?

Po dziesięciu dniach następuje poprawa, tylko kaszel utrzymuje się nadal. O Charzykowych nie ma mowy.

- Nie będę się kąpać - zapewnia rodzinę rekonwalescentka. - Chcę tylko odwiedzić stare kąty.

- Nie kuś licha - tłumaczy babcia. - Dopóki nie wyzdrowiejesz zupełnie, zapomnij o jeziorze.

Rozpacz! Babcia nic nie pojmuję. Nie chodzi o żadne jezioro ani kąpiel. Chodzi o Ryszarda. Nawet w gorączce stał jej ciągle przed oczyma. Teraz po prostu nie wytrzyma dłużej. Skorzysta z nieobecności babci i wymknie się po kryjomu. Postanowione - zrobione.

Autobus zatrzymuje się przed znajomym domem wczasowym. Bożena jest akurat w Chojnicach. Pani Eufemia nie ma czasu na długie rozmowy, zdążyła jednak zauważyć:

- Wyglądasz biednie. Błada nawet pod opalenizną.

Ładna pociecha! Jak w takim stanie ducha i ciała iść na spotkanie z miłym? Magda mimo wszystko ryzykuje. Chęć zobaczenia Ryszarda jest silniejsza niż głos rozsądku. Kieruje kroki w stronę obozu. Coś tu się zmieniło. Namioty inaczej ustawione i w ogóle chyba nie ten obóz. Jasne! Zupełnie inne twarze. Zmienili się harcerze. A ona straciła rachubę czasu i szuka

tu starych znajomych. Robi jej się nagle ogromnie smutno. Jakby coś pięknego odeszło, rozwiało się we mgle, zniknęło na zawsze.

Nie popłynie już kajakiem do zatoczki ani na drugi brzeg, nie usłyszy trzasku kamery, nie usłyszy zwłaszcza jego głosu i nie zobaczy uśmiechu na twarzy. Koniec. Było, nie ma. Siada w pozie niedbałej na skraju łąki. Upływają minuty, należy podjąć jakąś decyzję, w domu pewnie zauważono jej nieobecność. Babcia będzie się niepokoić, ale nogi są jak z ołowiu, nie ma siły dojść do przystanku.

Jacyś młodociani druhowie przyglądają się z zainteresowaniem przytłoczonej zmartwieniem dziewczynie.

- Czy pani źle się czuje? - pyta jeden z nich. - Może w czymś pomóc?

- Dziękuję - odpowiada odruchowo, nie bardzo wiedząc, o co ją pytano. Przewycięża w końcu obezwładniającą słabość i wraca do Chojnic. Na progu czeka babcia z miną zatroskaną.

Magda uprzedza ewentualne wymówki:

- Pożegnałam, babciu, stare kąty, teraz mogę wracać do domu.

Wynikają komplikacje. Ciocia nie może dostać urlopu, wypadło jej coś niespodziewanego w pracy. Bożenie nie opłaci się jechać, bo za dwa tygodnie trzeba iść do szkoły. Obiecuje, że w przyszłym roku pewno odwiedzi koleżankę. Zostaje jedynie wujek do eskortowania niezupełnie jeszcze zdrowej siostrzenicy. Tak więc w połowie sierpnia Magda kończy wakacje w Chojnicach, przedłużone o całe dwa tygodnie.

W domu zdziwienie. Odra? Kto by pomyślał? W tym wieku? Dobrze, że wszystko skończyło się pomyślnie.

Pomyślnie? Jak dla kogo. Dla Magdy - fatalnie. Największa jej życiowa porażka. Pocięsa się, że jeśli Ryszard zechce, to zawsze ją znajdzie. Bywa przecież u pani Sowińskiej. A jeśli nie zechce? Też możliwe. Nic ich w zasadzie bliższego nie łączyło. To, co mówił: „Jesteś świetnym kumplem”, jeszcze do niczego nie zobowiązuje. Tak się mówi każdej babce, z którą czas się nie dłuży. Gdyby nie ta wyjątkowo nie w porę złapana odra, na pewno dogadaliby się. A tak? Niepewność. Dręcząca niepewność. I smutno. I żal czegoś cennego, niepowtarzalnego.

Warto by zajrzeć do Sławki i Zygmunta. Usprawiedliwić się, wytłumaczyć brak wiadomości z wakacji. Sławka pęknie ze śmiechu, kiedy usłyszy o odrze. A Zygmunt? Nie. On się nie będzie śmiał. W jego oczach zobaczy jedynie współczucie i zyczliwość. Pogrzebi ją swoją szlachetnością. A może przez te sześć tygodni już mu przeszło? Spotkają się jak dwoje obojętnych ludzi? Mało prawdopodobne, ale przecież możliwe.

Magda nie czuje się w porządku, chociaż z Ryszardem nie doszło do żadnych wyznań. Po prostu była to krótkotrwała znajomość wakacyjna. A jednak! Jak spojrzeć w oczy Zygmuntovi, kiedy ma się jeszcze pod powiekami obraz tamtego? I o nikim innym nie można myśleć. Miał być w Warszawie pod koniec sierpnia. Gdzie jest teraz? Pewnie w trampkach i z plecakiem zalicza co piękniejsze zakątki. Może góry albo jeziora? Polska taka długa i szeroka. Zawieruszył się wśród trzydziestu kilku milionów i szuka wiatru w polu!

- Dowiadywał się o ciebie jakiś kolega - informuje mama.

- Pewnie Zygmunt?

- Możliwe. Nie przedstawiał się. Powiedział, że jeszcze wpadnie.

„Więc mu nie przeszło” - Magda nie wie, czy to dobrze, czy źle. Jej ambicja zostaje mile pogłaskana, ale fakt, że Zygmunt pamięta, jest trochę zawstydzający. Gdyby zapomniał, miałyby wolne ręce i z czystym sumieniem mogła szukać kontaktów przez profesorkę Sowińską. W ostateczności, bo wierzy, że wszystko się samo ułoży pomyślnie.

Początek września jest mglisty i pochmurny. W wilgotnej aurze zaostrzają się objawy powikłań chorobowych. Magda nie zgubiła jak dotąd męczącego kaszlu, schudła, a lipcowa opalenizna ustąpiła miejsca bladeści. Dziewczęta orzekły, że wygląda interesująco.

- Jak śmierć na chorągwi! - uzupełnia Markiewicz.

- Odstąpiłabyś mi tej odry - zgłasza się Urszula. - Utyłam niemożliwie przez te dwa miesiące.

Tylko Zygmunt nie zwraca uwagi na nie najlepszy wygląd Magdy. Mówi natomiast:

- Myślałem, że te wakacje nigdy się nie skończą. Wyjątkowo długie było lato.

- Bo nie odpoczywałeś. Co z twoją mamą?

- W porządku. Pracuje w Mrożonkach. Chciała, żebym się przeniósł do ogólniaka w Górze, ale uważam, że to nieroztropne zmieniać teraz szkołę.

- Dałbyś sobie radę wszędzie, jestem o to spokojna. I bylibyście razem.

- Dojeżdżam często. Trochę się przydadę...

- Domyślam się. A ojciec?

- Czasem wpada, wtedy, kiedy ja jestem. Sam nie ma odwagi. Nie wiem, czy boi się matki, czy siebie. A już na pewno nie chce rozbić drugiego małżeństwa. Bardzo kocha Małgosię.

Magda zaczyna rozumieć Zygmunta. Ojciec kocha Małgosię, a jego nie bardzo. Emilka go raczej nie cierpi, więc siłą rzeczy łączy się do matki. W niej szuka uczuciowej ostoi. Jest to tym pewniejsze teraz, kiedy matka potrzebuje go. Każdy chce być kochany. Każdy szuka dróg porozumienia, szuka miłości, przyjaźni, uczucia.

Magda próbuje wyliczyć tych, którzy ją kochają. A więc: matka, ojciec - gwarantowane. Brat? Problematiczne. Wujek, babcia, ciocia? Umiarkowanie. A Zygmunt? Kto wie? W każdym razie to zupełnie inny rodzaj uczucia. Ryszard? Wątpliwe. Czyje uczucie ceniliby sobie w tej chwili najbardziej? Właśnie to wątpliwe.

Zachodzi potrzeba uzupełnienia ekwipunku szkolnego. Na wuef potrzebne są tenisówki, których w Piasecznie aktualnie brak. Jest powód, żeby wybrać się do Warszawy. Magda żywi niejasną nadzieję, że spotka Ryszarda na ulicy, w tramwaju, a może w sklepie. Najlepiej byłoby na ulicy. Na przykład na Marszałkowskiej. Zobaczyliby się z daleka i potrąceni przez obojętnych przechodniów, nie dowierzający własnym oczom, zahipnotyzowani doszliby wreszcie do siebie i ze wzruszenia nie mogliby wykrztusić ani słowa. To byłoby piękne. Zbyt piękne, żeby mogło się sprawdzić. Toteż nie sprawdziło się. Ale za to jaka odświętna stała się zatłoczona Marszałkowska, jak sympatycznie wyglądał przeludniony bazar na Koszykowej czy nabity tramwaj. Cała Warszawa zrobiła się nagle piękna, bo w każdym miejscu mogło dojść do spotkania. Że nie doszło? Trudno. Może następnym razem, bo tenisówki też okazały się artykułem trudnym do spotkania. Podobno będą za dwa tygodnie.

W szkole zaczyna się orka. Sowa zrezygnowała z tradycyjnego tematu wypracowania: „Jak spędziłem(am) wakacje?” na rzecz ponadczasowego: „Przyroda w literaturze”.

Magda cieszy się, że nie będzie musiała wymyślać fantastycznych przygód, jak co roku, bo przecież nie podałyby za nic do wiadomości ogółu swoich prawdziwych, głębokich przeżyć. Nie będzie się z nikim dzielić wspomnieniami, zachowa je wyłącznie dla siebie.

Za to profesor od rosyjskiego wpadł na odkrywczy pomysł i zadał „Wspominanijsz iz kanikuł”. Trzeba będzie nawstawiać jakichś bujdy, byle prawdopodobnych. Na temat Ryszarda Magda nie rozmawia z nikim. Ale obraz jego nie znika, nie zacierają się nawet w nawale zajęć.

- Co tobie? - troszczy się koleżanka, widząc szaloną zmianę w jej usposobieniu. Chodzi zamyślona, na pytania odpowiada niecałym zdaniem, nie reaguje na docinki. Jak to dobrze, kiedy można wszystko zrzucić na przebytą chorobę.

- Musisz się przeświecić - dochodzi do wniosku Sowa. - Widocznie ta odra spowodowała powikłania.

Spowodowała, oj, spowodowała! Żeby nie przyszła w takim niefortunnym momencie, wiele rzeczy zostałoby wyjaśnionych. A tak, wszystko jest niepewnością. Ryszard powinien się odezwać, obiecał pokazać nakręcony film. Dotrzymanie słowa to sprawa honoru, na słowie harcerza podobno można polegać. Jak na Za-wiszy.

Widocznie Ryszard jeszcze nie wrócił z wakacji. Przecież wykłady zaczyna dopiero w październiku. Trzeba się uzbroić w cierpliwość. Jeszcze wszystko może być dobrze. Tylko nie wpadać w panikę! Cóż, kiedy Magda tak bardzo nie lubi sytuacji niepewnych.

Jagoda, ta ma „Wspominania z kanikuł”. W Międzyzdrojach poznała Murzyna studiującego w Łodzi i statystującego w filmie (polskim), kręconym na Wybrzeżu. Murzyn znał słabo język polski, za to swobodnie władał angielskim, natomiast Jagoda odwrotnie i podobno w ten sposób doskonale się porozumiewali. Teraz wystarczy usiąść i spisać po kolei co ciekawsze wypowiedzi.

- Masz dobrą podbudówkę - zazdrości Markiewicz. - Na temat zbliżenia między narodami można pisać tomy.

- Żebyś wiedział, że zacznę od przyjaźni polsko-murzyńskiej. Kto mi powie, jak będzie Murzyn po rosyjsku?

- Murzyn... Murzyn... - głowi się kilka osób. Każdy ma to słowo na końcu języka, ale tylko Zygmunt pamięta, że Murzyn to Niegr.

- O właśnie, Niegr! - rozlega się chóralne westchnienie ulgi i Jagoda może przystąpić do pisania.

Klasy drugie licealne jadą na „Madame Butterfly”. Magda nie czuje się najlepiej. Kaszel nie ustępuje. Magda ma stan podgorączkowy, ale za nic nie zrezygnuje z wyjazdu do Warszawy. Bądź co bądź znowu możliwość spotkania Ryszarda. Ostatnio Warszawa stała się wybitnie sympatyczna. Śmieszne! Śmieszne i sentymentalne, lecz prawdziwe.

Autokary przywożą ich przed czasem. Można się spokojnie rozebrać, przyczesać i obejrzeć labirynty Teatru Wielkiego.

- Nie pogubcie się - ostrzega Sowa. - Ja muszę poczekać w hallu na rodzinę.

Magdzie zaczyna żywiej bić serce, ale ucisza je, nie wierząc, że chodzi o „niego”.

- Poczekasz ze mną? - pyta wychowawczyni.

- Naturalnie, pani profesorko.

- To może potrwać nawet piętnaście minut. Nie zanudzisz się?

Magda zapewnia, że nie. Jeszcze nigdy nie była tak szczerą, jak w tej chwili. Chętnie przeczekałaby cały spektakl, żeby tylko mieć gwarancję zobaczenia Ryszarda. „Na pewno przyjdzie jakaś starsza pani ze starszym panem” - tłumaczy sobie (Sowa dzierży trzy bilety w rękę).

Przez hall przewija się mnóstwo osób. Panie na wysoki połysk, panowie również odświeżeni. Każda osoba wchodząca w drzwi może być tą, na którą czeka profesorka Sowińska. Minęło już chyba dziesięć długich jak wieczność minut. Rozmawiają o rzeczach nieważnych.

- Czemu ich nie widać? - denerwuje się Sowa. - Jest za dziesięć siódma. Zaraz początek przedstawienia. Co im się stało? - Mówi coś jeszcze i zastanawia się, czy nie zostawić biletów u portiera.

- Dobry wieczór, ciociu!

Monolog Sowy zostaje przerwany w pół zdania. Magda czuje lekki szum w uszach. Więc nie żadni starsi państwo, tylko on! We własnej osobie. Tyle, że nie sam. Z szykowną blondynką u boku.

„Co to za pluskwa? - szarpie coś wewnątrz Magdą, ale zaraz przychodzi refleksja: - Może siostra, chociaż niepodobna”.

Sowa wita się z nimi serdecznie, nawet nie strofuje za spóźnienie, i przedstawia nowo przybyłych:

- To jest mój siostrzeniec, a to...

- My się znamy - przerywa Magda i wyciąga rękę do Ryszarda nie zwracając uwagi na jego towarzyszkę.

On jest odrobinę zaskoczony, ale przyjrząwszy się wnikliwiej stwierdza:

- Ależ tak, znamy się. Zaliczyliśmy wakacje w Charzykowych. Pozwól, Moniko, to jest... - chwilę się zastanawia, marszczy brwi, wreszcie szeptem, który wszyscy słyszą, zapytuje: - Jak ci na imię, bo zupełnie zapomniałem?

Magdzie robi się szaro przed oczami, ale widząc wyciągniętą dłoń Moniki, machinalnie wyciąga swoją i obcym, zmienionym głosem rzuca:

- Eulalia!

Ryszard jest zmieszany.

- Nie żartuj! Eulalia to była mama twojej koleżanki.

- Mamie Bożeny było Eufemia.

- Możliwe. Nie mam pamięci do imion.

Idą szerokimi schodami, skręcają w lewo, potem w prawo, kluczą tu i tam, wreszcie znajdują właściwe miejsca.

Magda za nic nie trafi z powrotem do szatni. Boli ją głowa, czuje się rozbita i nieszczęśliwa. Chciałaby teraz być w domu, wypłakać się w samotności, zostać wyłącznie ze swoimi myślami. Nie wie, jak wytrzyma na tej operze (chodzi oczywiście o „Madame Butterfly”).

„«Nie mam pamięci do imion» - powtarza niefrasobliwe sformułowanie Ryszarda. - Ale Monikę pamięta. No pewnie, to jest imię! Nie takie byle co, jak Magda”. Co z oczu, to i z pamięci. Typowo po męsku. Oni wszyscy tacy nieczuli. Wszyscy? A Zygmunt? Powiedział: „Żadne wakacje nie dłużyły mi się tak bardzo, jak te”. Szczerze mówił. A ona? Czy nie zachowała się podobnie jak Ryszard? Ledwie straciła Zygmunta z oczu, już zainteresowała się innym chłopakiem. Co prawda, nie ślubowała Zygmuntowi wierności. Ani Ryszard jej. Więc o co chodzi? Wszystko w porządku, tylko dlaczego serce tak boli? Za wiele nadziei wiązała z tą „letnią przygodą”. Zaangażowała się uczuciowo, nie bacząc, jakie ma szanse. Dochodzi do wniosku, że była zbyt zarozumiała, licząc na wzajemność.

Na scenie akcja rozwija się planowo. Ktoś odstawia swoją arię, ktoś inny deklamuje dramatycznym głosem, starając się przekrzyczeć orkiestrę. Magda słucha nieuważnie. Zgubiła wątek i nawet nie usiłuje go odnaleźć. Dyskretnie przygląda się Ryszardowi. Jest zasłuchany, lekko zwrócony w stronę Moniki. Wcale nie taki przystojny, jak jej się dotąd zdawało. Nos ma odrobinę za długi, dolną szczękę zbyt wysuniętą do przodu, a w garniturze i pod krawatem wcale nie wyróżnia się wśród innych młodych ludzi. W Charzykowych wyglądał lepiej. Był kimś. Druhem oboźnym, przed którym drżał cały obóz, filmowcem-amatorem, uprawiającym oryginalne i pożyteczne hobby, a przede wszystkim bohaterem (skrzyżowanie Klossa ze Świętym), ratującym lekkomyślne dziewczęta z opresji.

Magda szuka na siłę usprawiedliwienia dla siebie za to niemądre zadurzenie się. „Na moim miejscu każda by się zakochała, a że on woli tę cukierkową Monikę, to już jego sprawa”.

Efektowne uczesanie „w chałkę” upodabnia Monikę do śpiewającej gejszy. Tyle, że w wydaniu polskim, ponieważ w kolorze blond. Właściwie, to ona wcale nie jest taka zła. Może koleżanka ze studiów, mają wspólne zainteresowania, na pewno łączy ich przyjaźń.

„Kiedy skończy się ta opera?” - Magda nie może doczekać się finału. W głowie ma karuzelę, z trudnością powstrzymuje męczący kaszel.

- Złe się czujesz? - pyta Sowa po skończonym spektaklu.

- Drobiazg, pani profesorko - trzeba nadrabiać miną, żeby wychowawczynie nie domyśliły się prawdziwej przyczyny złego samopoczucia.

W szatni jest tłok, więc wymyka się niepostrzeżenie do autokaru, unikając pożegnania z Ryszardem i jego blond-wenus. Koniec. Kropka. Nie ma powrotu. Wspomnienia zostaną wspomnieniami. Z biegiem czasu zbledną, zszarzeją i serce przestanie boleć. Trzeba zachować twarz i godność.

A głowa w dalszym ciągu ciężka jak kamień. Ktoś siada koło Magdy i bierze ją za rękę.

- Dziewczyno! Ty masz gorączkę. Cały czas wydawałaś mi się niewyraźna - Sowa jest szczerze zmartwiona. - Jeśli jutro będziesz miała temperaturę, nie przychodź do szkoły. Komplikacje po odrze mogą być niebezpieczne.

Jej w tej chwili jest wszystko jedno. Chciałaby tylko jak najszybciej znaleźć się w łóżku i o niczym nie myśleć. Ale czy można od razu przestać myśleć? Tak już, na zawołanie? Skądże! Zawsze jakieś natrętne skojarzenia będą się płatać po głowie.

W czasie jazdy Sowa przechodzi na tył autokaru, gdzie chłopcy zachowują się zbyt swobodnie, a jej miejsce zajmuje Jagoda.

- Dawno znasz tego faceta? - zaczyna bez wstępu.

- Jakiego faceta?

- Nie udawaj. Dobrze wiesz, o kim mówię, tego, co siedział między Sową a tą szczytową blondynką.

- Ach, Ryszarda? Znamy się od wieków - Magda odpowiada półprzytomnie, nie podejrzewając, że każde słowo może świadczyć przeciwko niej.

- Że też wcześniej nie domyśliłam się całej kombinacji - w głosie Jagody przebija złośliwość.

- Czy nie chciałabyś wyrażać się jaśniej?

- Już zapomniałaś? Jeszcze rok nie minął...

„O co jej chodzi? Co zapomniałam przez rok? Niektórzy w ciągu dwóch miesięcy potrafią zapomnieć...”

- Wolno ci o mnie myśleć jak najgorzej, ale naprawdę nie kojarzę.

- Przestań się zgrywać! Przede mną nie musisz odstawiać opery, gdzie wszyscy wszystko wiedzą, a udają, że jest przeciwnie.

- Nie rozumiem...

- Słuchaj, ja ci zwrócę te trzysta złotych, które wtedy założyłaś.

- Założyłam? Trzysta zło... - Magda z trudem usiłuje przypomnieć sobie fakty sprzed roku. - Bredzisz, Jagoda! To nie ja mam gorączkę, tylko ty!

Mówi nienaturalnie podniesionym głosem. Wszystkie głowy zwracają się ku nim, Jagoda nie zważa na grono kibiców, nie krępuje się, rąbie mowę oskarżycielską pewna swoich racji:

- Poznałam go od razu. Takiego chłopaka się nie zapomina. Myślałaś, że się nie wyda? Taaaką masz głowę, a wpadłaś. Nie udało się przestępstwo doskonałe. Podrzuciłaś pieniądze, żeby wyjść z honorem, bo nie wierzyłaś, że złodziej się załamie. Więcej takich naiwnych jak ty!

- O czym ty mówisz? O czym ty mówisz?

- O tym, co wiemy obydwie doskonale. Pamiętasz, jak zadzwoniłam do ciebie? Telefon odebrał jakiś młody człowiek. To na pewno był on. A ty zastawiałaś się braciszkiem z podstawówki. Naiwne kłamstwo. Dałam się nabrać, chociaż czułam, że coś nie gra. Potem, kiedy wszyscy kombinowali, kto poszedł na złodziejstwo, ty jedna nie chciałaś prowadzić śledztwa. Wiedziałaś, kto ukradł.

- Daj mi spokój! Nic nie wiedziałam. I dalej nic nie wiem...

- Aha, wolałaś więc stracić forszę, żeby tylko był spokój. Tak się zdobywa autorytet?

Jagoda jeszcze coś chlapie tym swoim męczącym wysokim głosem, ale Magda nie słucha. Nie ma nawet siły tłumaczyć się. Dobrze chociaż, że koleżanka nie posądza jej o kradzież, bo wtedy naprawdę nie miałyby alibi.

- Słuchaj, wszystko może pozostać między nami - mówi na zakończenie Jagoda, nie uwzględniając kilkunastu osób przysłuchujących się rozmowie. - Tylko musisz mnie koniecznie poznać z tym Ryszardem. On od roku za mną chodzi. To musi być fantastyczny chłopak, co?

- Owszem, głęboko fantastyczny.
- Kiedy mi go przedstawiś?
- To będzie trudne, ostatnio nie kontaktujemy się.
- Dla mnie możesz się poświęcić - w głosie Jagody słychać lekki ton pogróżki.
- Poproś panią profesorkę, to jej siostrzeniec - Magda czuje ogromne zmęczenie. - A ja z tymi pieniędzmi naprawdę nie miałam nic wspólnego. Bardzo mi przykro. - Odwraca się do okna i patrzy przez zamgloną szybę na długie smugi reflektorów, jadących z przeciwka samochodów.

Jagoda wygląda na zawiedzioną. Sowa, która słyszała całą rozmowę, potwierdza słowa Magdy:

- To prawda, ona nie miała nic wspólnego z tymi pieniędzmi. Jeśli chcesz, porozmawiamy obszerniej na ten temat.

Autokar z lekka trzęsie. Skończył się asfalt, zaczęła się kostka. Witaj, kochane Piaseczno! Teraz prędko do domu i do łóżka. Jutro będzie lepiej!

Gdzie tam! Jutro jest jeszcze gorzej. Słupek rtęci w termometrze osiąga czterdzieści stopni. Lekarz stwierdza zapalenie płuc. Aplikuje zastrzyki, antybiotyki, witaminy. Mama chodzi stroskana. Ojciec od progu woła codziennie:

- Jak się dziś czuje moje dziecko?

Nawet Janusz stąpa na palcach, a treningi muzyczne odbywa w łazience.

Jak przyjemnie chorować, kiedy ma się w pobliżu oddanych ludzi. Po tygodniu już jest lepiej. Antybiotyki robią swoje.

Magda próbuje wstać z łóżka, ale czuje się bardzo osłabiona. Najchętniej przesiaduje w fotelu, patrząc bezmyślnie w okno. W ogródku zaczynają żółknąć drzewa. Jakie odległe wydają się teraz Charzykowy. W czasie i przestrzeni. Minęły dopiero dwa miesiące, a wydarzyło się w nich tyle, że starczy na całe życie. Wielka miłość! Rozstanie. Oczekiwanie. Nadzieje. Rozczarowanie. Finał. I to wszystko w ciągu siedemdziesięciu dni!

Po południu wpada Sławka. Przynosi zeszyty z notatkami oraz wiadomości z ostatniej chwili.

- Pamiętasz tę historię z pieniędzmi Jagody?

Pytanie! Kto miałby lepiej pamiętać niż Magda?

- Dziewczyna ubzdurzyła sobie, że to ty podrzuciłaś forsę przez jakiegoś przystojniaczkę, byle mieć z głowy cały kram z dochodzeniem i szukaniem złodzieja.

- Jagoda wykazała głęboką szlachetność, eliminując moją osobę z kręgu podejrzanych.

- Ciebie posądzić o kradzież? Coś takiego!

- Jeśli uważała, że kryję złodzieja, to tak samo...

- Nie tak samo. Akurat odwrotnie. Zresztą, co ci będę wstawiać ideologiczną mowę.

Chcesz wiedzieć, jak było naprawdę?

- No chyba! Niech się dowiem chociaż ostatnia.

- Kto wydawałby ci się najodpowiedniejszy do zwinięcia pieniędzy? - podpuszcza Sławka.

- Nie widzę kandydata.

- Wiem, że to trudne, ale spróbuj się skoncentrować.

Magda nie potrafi, a przede wszystkim nie ma zamiaru głowić się dłużej.

- Albo mówisz, jak było, albo dzwonię do Jagody. Ona nie odmówi szczegółowych informacji...

Do takiej ostateczności Sławka nie dopuści. Chce osobiście oznajmić nowinę, ale droczy się, żeby wywołać większy efekt:

- Wyobraź sobie, nie było żadnej kradzieży!
- Nie?

- Nie! Ta gęś wytrząsnęła pieniądze z kosmetyczki, przed rozbieralnią. Przechodził tamtędy Józwiak, podniósł, chciał zapytać, czy któraś z naszych nie zgubiła, ale dziewczyny zaczęły wrzeszczeć, wygoniły go z rozbieralni, zanim zdążył otworzyć usta. Gdyby trafiło na innego, może sprawa od razu byłaby załatwiona, a Józwiak to Józwiak, powolny w działaniu, zresztą szedł do dentystki rwać ząb. Po wyjściu z gabinetu był podobno niezupełnie przytomny i zapomniał o tych pieniądzach. Nie wrócił już na lekcje, a po południu dowiedział się od Wandy, że była draka. Nie wiedział, co robić, platfus jeden, poszedł do Sowy, a u niej był akurat siostrzeniec, który został wykorzystany do dyskretnego podrzucenia pieniędzy. Koniec.

- Nie rozumiem, dlaczego Zbyszek sam nie odniósł.
- Przecież mówię, że go dziewczyny nie wpuściły do rozbieralni, a poza tym ząb go bolał i w związku z tym był mało przytomny. Nie rozumiesz? Nigdy cię zęby nie bolały?
- Nie... ale mniejsza o to. Dlaczego potem nie odniósł, tylko wyręczył się obcym człowiekiem? - Magda ze zdziwieniem spostrzega, że nazwanie Ryszarda „obcym człowiekiem” przychodzi jej bez trudu. Więc on już nic dla niej nie znaczy? Chyba nic. To i dobrze.

A Sławka ciągnie dalej swoją opowieść:

- O, to cała epopeja. Zbyszko ma niewesołe wspomnienia z dawnych lat. Kiedyś był zamieszany w nieprzyjemną historię. Ktoś coś ukradł, a jego posadzili czy coś w tym rodzaju. W sprawie tych trzystu złotych zaklinał Sowę, żeby go nie wydała, i jak widzisz, wszystko grało, dopóki ta wścibska Jagoda nie zaczęła rozrabiać. Żeby ratować twoje dobre imię, Sowa musiała wyjawic prawdę, ale Zbyszko niepotrzebnie się bał. Nikt go nie ma za złodzieja.

- Faktycznie.
- Aha, żebym nie zapomiała, Zygmunt się do ciebie wybiera.
- Tak? To ładnie, a kiedy?
- Jutro. Mówił o jakiejś ważnej dacie. Urodziny?
- Nic z tych rzeczy. Który dziś?
- Osiemnasty.
- Naprawdę nie mam pojęcia, o co mu chodzi.

Po wyjściu Sławki Magda się głowi nad zagadką jutrzejszej daty. Dziewiętnasty września z niczym jej się nie kojarzy. Ale uparci zawsze dopną swego. W końcu przypomina sobie, co powiedziała Zygmuntowi, kiedy stali pod kwitnącą jarzębiną. Umówili się, że przyjdą tu jesienią, gdy jarzębina dojrzeje. Jak mogła o tym zapomnieć? A Zygmunt pamiętał.

Całe przedpołudnie następnego dnia spędza w nastroju świątecznym. Po obiedzie siada w fotelu, przy oknie, z którego widać furtkę. Zygmunt przychodzi koło piątej.

Wkracza do pokoju trochę niepewnie, trzymając jedną rękę z tyłu. Co on tam ma? Wiadomo co!

- Cześć, jak się miewasz?
- Cześć! Świetnie, co widać na załączonym obrazku.
- Cała klasa martwiła się twoją chorobą.
- Jesteś pewny, że cała?
- Jak najbardziej.
- To ładnie z twojej... ze strony klasy.

Mówią jeszcze coś i jeszcze coś. Magda nie nawiązuje do tego, co on trzyma z tyłu, za plecami, chociaż bardzo chciałyby już dostać ten bukiet.

Wreszcie kończy się mało znacząca rozmowa, zapada milczenie i wtedy następuje właściwy moment. Zygmunt czerwieni się, jak gałązki, które trzyma w ręku, i mówi:

- Nie mogłaś pójść ze mną po jarzębinę, to ona przyszła do ciebie.
 - Pamiętałeś?
 - Pewnie. Chodziłem specjalnie na Dębową, żeby sprawdzić, czy dojrzeła.
- „Fantastyczny jesteś!” - chciałyby krzyknąć Magda, ale ogranicza się do banalnego:
- Dziękuję.

Wyrzuca z wazonu przywiedle georginie i na ich miejsce wstawia gałązki obsypane czerwonymi koralami.

Zygmunt nic nie mówi. Ona nic nie mówi. Po co? W tej chwili słów nie trzeba. Chociaż...

- Wiesz... zastanawiam się... ile czasu potrzebowałbyś, żeby zapomnieć, jak się nazywam?
- Słucham?... - Zygmunt nie bardzo wie, o co jej chodzi.
- No, ile czasu musiałbyś mnie nie widzieć, żeby ci wyleciało z pamięci moje imię?
- Bo ja wiem? Myślę, że pięćdziesiąt lat, a może sto... nie orientuję się dokładnie.
- To właśnie chciałam usłyszeć! - Magdzie robi się ciepło koło serca i jest taka szczęśliwa, jak nigdy jeszcze nie była.
- W przyszłym tygodniu przychodzę do budy.
- Klasycznie. Głupia ta buda bez ciebie.

Wrześniowy zmierzch otula szarością cztery kąty pokoju, tylko korale jarzębiny płoną czerwienią na tle białej firanki.

Ilustrowała BARBARA DUTKOWSKA

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia” Warszawa 1970. Wydanie I. Nakład 10 000+277 egz. Ark. wyd. 11,3. Ark. druk. 12,1. Papier druk. mat. kl. V, 65 g, 82X104/32, Częstochowa. Oddano do składania w lutym 1970. Podpisano do druku w lipcu 1970. Druk ukończono w sierpniu 1970. Zakłady Graficzne w Toruniu - Zam. 501 - P-13